ISSN 0023-5148

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Nr 5/632 2000

• « *La Culture* » • *Revue mensuelle* •

M. WILK: **KARELSKA TROPA (I)**
L. PODKAMINER: **...LECZ KONIEC ŻAŁOSNY**
K. WOLICKI: **„BUSINESS AS USUAL"**
A. POSPIESZALSKI: **DRAMATYCZNA SPOWIEDŹ KOŚCIOŁA**
M. SPANDOWSKI: **SPRAWA SKRADZIONYCH STARYCH DRUKÓW**

SPIS RZECZY

Mariusz Wilk: *Karelska tropa (I)* 3
Andrzej Koraszewski: *Na marginesie artykułu prof. Wyczańskiego* 21
Edward Możejko: *Moskwa–Krym. Wrażenia z podróży (II)* 31
Leon Podkaminer: *...lecz koniec żałosny* 41

WIERSZE

Tadeusz Chabrowski: *Muzy na mojej ulicy; Złotousty; Savonarola; Rozmowa z Bogiem* 53

ARCHIWUM POLITYCZNE

Janusz Mondry: *Militaryzacja przestrzeni kosmicznej* . 57

WYWIADY „KULTURY"

Aureliusz M. Pędziwol: *„Najpierw trzeba odrobić zadania domowe". Rozmowa z prof. Markiem Dąbrowskim o transformacji ukraińskiej gospodarki* 65

KRAJ

Krzysztof Wolicki: *„Business as usual"* 74
SMECZ: *Z ukosa* 82
Ewa Berberyusz: *Kartki ze skażonej strefy* 97

O RELIGII BEZ NAMASZCZENIA

Antoni Pospieszalski: *Dramatyczna spowiedź Kościoła* . . . 107

SĄSIEDZI

Algis Kaleda: Mozaika litewskiej świadomości . . . 114

NOTATKI REDAKTORA 118

CI, CO ODESZLI

Jerzy Pomianowski: *Irina Aleksiejewna Iłowajska 5 XII 1924 – 4 IV 2000* 124

KRONIKA KULTURALNA

Michał Spandowski: *Sprawa skradzionych starych druków* 129
L.S.: *Targi lipskie* 141

KSIĄŻKI

Andrzej S. Kowalczyk: *Stempowski i teatr* 144
Teresa Halikowska-Smith: *Wielka Niedźwiedzica... a sprawa polska, czyli spór o historię* 149
– *Nadesłane nowości wydawnicze* 152

●

– *Wydarzenia miesiąca* 154

●

– *List otwarty do Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego* 157
– *List do Prezydenta miasta Warszawy* . 158
Przemysław Zdziarski: *List do Redakcji* 158
– *Odpowiedzi Redakcji* 160

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Maj/Mai 2000

INSTYTUT LITERACKI

WPŁATY NA FUNDUSZ «KULTURY»

Rajmund Chaineta, Warszawa – £ 10,00 ..... F. 100,00

Ewa Hoffman Jędruchowa, Summit, N.J., (USA) – w sześćdziesiątą rocznicę śmierci mojego Ojca, dra Maksymiliana Hoffmana, adwokata lwowskiego, kapitana rezerwy, wywiezionego do obozu w Starobielsku, zamordowanego w 1940 roku w Charkowie – dol. 100,00 ..... F. 650,00

Jolanta Kołaczkowska, Warszawa – £ 10,00 ..... F. 100,00

Pamięci Tadeusza Ungara w 9-tą rocznicę Jego śmierci – siostra Jadwiga Ungar – dol. 250,00 ..... F. 1.625,00

Bohdan Paczowski, Luxembourg – po raz 6-ty ..... F. 1.000,00

K. Steve Rasiej, Teaneck, N.J., – po raz 22-gi – dol. 34,00 .. F. 200,00

W ósmą rocznicę śmierci Juliana Brysza – Wanda i Irena z Genewy ..... F. 500,00

W 19-tą rocznicę śmierci Stefana Strelcyna – Syn, Synowa i wnuczka z Paryża ..... F. 150,00

●

Zbigniew W. Kmitowicz, Leeds (Wielka Brytania) zamiast kwiatów na trumnę śp. Danuty Szymańskiej przesyła na Fundusz Pomocy Polakom w Kazachstanie – £ 30,00 ... F. 300,00

Zaznaczamy, że w końcu roku p. Kmitowicz przysłał do nas na ten sam cel zamiast kwiatów na grób śp. Ireny Baranieckiej również £ 30,00. Niestety, na skutek pomyłki, tego daru nie odnotowaliśmy – robimy to teraz zaznaczając, że na Fundusz Pomocy Polakom w Kazachstanie otrzymaliśmy łącznie £ 60,00 czyli ..... F. 600,00

DZIĘKUJEMY

Karelska tropa (I)

„Eti biednyje sielen'ja,
Eta skudnaja priroda..."
Tiutczew

Od autora:

O tej podróży myślałem od dawna. Przejść na jachcie od Morza Białego do Jeziora Ładożskiego to jakby przeczytać kraj, leżący wzdłuż wodnej tropy – jak książkę. Pisali ją ruscy kolonizatorzy Północy i angielscy podróżnicy XVI stulecia, raby Piotra I i zeka Biełamorstroja, a ilustrowała północna przyroda – kamień, woda, las – i karelski byt.

Jedynym problemem był Kanał, chodziły słuchy o dużych pieniądzach za każdą śluzę, których tam jest 19. Szukaliśmy sponsorów, niestety, na próżno. Jedna pani z TV odpowiedziała na moją propozycję sfilmowania Kanału, że ich interesuje świeża krew – nie zaschnięta. Nawet Redaktor niewiele mógł wskórać.

Dopiero honoraria za „Wilczy notes" otworzyły nam śluzy Kanału. Wyjaśniło się zresztą, że słuchy o dużych pieniądzach były przesadzone. A i formalności mniej mi dokuczyły, niż myślałem. Czasy, kiedy cudzoziemców do Kanału nie wpuszczano – minęły, acz nie powiedziane, że nie wrócą.

I tak „zrobiliśmy Kanał" w obie strony, przy okazji zaglądając do Miedgory, gdzie obecnie się mieści dyrekcja Kanału oraz muzeum, a kiedyś – sztab łagru, biura projektowe, teatr łagrowy i redakcja gazety Pieriekowka.

Dalej były wielkie jeziora Karelii – Onieżskie i Ładożskie – a także kilka monastyrów, w tym Koniewiecki, Swirski i Wałaam, i wyspy Oleni, Kiżi i Paleostrow, gdzie się spaliło samochcąc dwa tysiące siedmiuset raskolników, i Biesow Nos, gdzie zachowały się rysunki naskalne sprzed sześciu tysięcy lat, i wyspa Golec z pietroglifami XX wieku – rytami epoki Stalina, pozostawionymi przez zeka, którzy tam granit dobywali, i rzeka Swir z resztkami Swirłagu, i kanał Aleksandra II wokoło Jeziora Ładożskiego, i Stara Ładoga, najstarsza stolica Rusi i Sjas'stroj, zbudowany w latach 30-tych przy pierwszym w Sowietach kombinacie celulozy (dzisiaj go zwą „Seksstrojem", bo leżąc na trasie Petersburg-Murmańsk, jest miejscem uciech dla szoferów), i Pietrozawodsk, dokąd trafiliśmy na jubileusz miasta, i Pigmatka, przystań słynnej Wygorecji, i „Powieniec – świata koniec", i tak dalej...

Chodziliśmy na „Anturze". Tym, którzy nie czytali mego „Kanin Nosa" wyjaśniam, że „Antur" to pełnomorski jacht własnoręcznie zrobiony przez Wasię, od miecza do żagli. Ma 11 m długości, trzy kajuty, kubryk i kibel. Tudzież silnik o mocy 20 KM.

Chodziliśmy we trzech: Wasia, Junga i ja.

Podczas podróży robiłem zapiski – notowałem przebieg drogi i spotkania z ludźmi, jadło, zapachy i nazwy roślin, barwy obłoków i kierunki wiatru, oraz strzępy historii wyczytanych w zimie – słowem kładłem na papier bieżącą chwilę.

Po powrocie do domu zacząłem to porządkować, czyścić... po czym machnąłem ręką.

– Niech idzie, jak szliśmy.

●

Poniedziałek, 21 czerwca

Czaga – to grzyb, przypominający skrzepy soku brzozowego, zapiekłe na słońcu w brunatne gruzły. Jeśli ją zdejmiesz delikatnie ostrym nożem i rozdrobnioną zalejesz ciepłą wodą z cukrem i drożdżami, to po dziesięciu dniach będziesz miał bragę z czagi – napój o barwie jantaru, chmielny i rzeźwiący zarazem.

Brażkę przyniósł Wasilicz na pożegnanie. Pijemy ją na plaży przed domem, siedząc wokoło żarzących się węgli, na których dochodzą tuszki dorsza w liściach chrzanu. Krąg z kamieni okalających ognisko ustawiliśmy tak, aby przypływ morza zagasił ogień. Na razie morze jest daleko – my blisko.

Potem woda nas uniesie. Nareszcie pójdziemy na południe, a nie jak zwykle – na północ. Wasia się śmieje, że w ciepłe kraje leziemy, i rzeczywiście, w porównaniu z Białym Morzem – Karelia to niemal Taszkient.

Ryba gotowa. Słońce tymczasem się kładzie na fale i morze mży światłem. Powietrze pachnie brzozowymi pączkami. Wasilicz mówi, że od Iwana Kupały do Piotra i Pawła ścina się witki brzozowe do bani. Akurat, gdy nas nie będzie.

Syk węgli... zaczął się przypływ. Ruszamy.

Naprzeciw nam idzie burza. Niebo nad Zajęczymi Wyspami raz po raz drą błyski. Grzmi.

Sołowki są coraz mniejsze, ludzie na brzegu jak kropki sadzy na szkłach lornety. Wasilicz, Kiriłłowna, Weronika – zniknęli.

Lunęło... Deszcz bębni grubymi kroplami o pokład „Antura", niczym Marilyn Mazur w „Where the rivers meet". Okamgnienie i jesteśmy kompletnie przemoczeni. Stajemy wśród Sennych Łud. Według Wasi to dobry znak – zaczynać podróż w burzy. No cóż, niechaj mu będzie.

Pół godziny i po wszystkim. Burza skończyła się tak raptem, jak się zaczęła. Idziemy dalej.

Po lewej Zajęcze. Żyje tam Siergiej „Brityj" – samojeden na wyspie. Kiedyś dał mi dziennik podróży malarza Borisowa na Nową Ziemię do poczytania. Borisow pisał, że nazwa plemienia Samojedów nie pochodzi wcale do „sam siebie je" jak twierdzili niektórzy, ale od słów „sam jeden", czyli żyjący w odosobnieniu – oddzielnie od wszystkich. „Brityj" – były programista jednej z moskiewskich firm komputerowych, po rozejściu z żoną porzucił stolicę, zamieszkał na Zajęczych jako stróż skitu i maluje lód Białego Morza. Jakież było jego zdziwienie, gdy w XX wykładzie paryskim Mickiewicza pokazałem mu słowa poematu serbskiego w przekładzie polskiego wieszcza:

Jeno Pan Bóg i ja samojeden.

Mijamy Wielką Siennuchę, zwaną też Wilczą Głową – gołą łudę z szarego granitu w srebrnej „czapie" jagielu.

Północ, a jasno, jak w dzień. Miękkie, mleczne światło.

Wtorek, 22 czerwca

Za Żużmujem skręcamy na zachód... Teraz, kiedy przepisuję tekst tego dziennika z notesu na ekran komputera, a za oknem luta zawierucha – lepi śniegiem i wyje – to nie muszę na mapę patrzeć, Białe Morze znam jak swą kieszeń. Sześć lat łażenia na jachcie poprzek niego i wzdłuż jego brzegów, do każdej wioski, do każdej rzeki – robi swoje. Starczy przymknąć oczy, aby dowolny farwater odtworzyć, jak z dyskiety.

Najpierw ukazuje się Wygnawołok – północny cypel Zatoki Sorokskiej. Nieco z prawej strony majaczą szkiery Szujostrowa. Potem tuman wypełza od lądu i do Biełomorska podchodzimy o piątej nad ranem, w bladolila mgle. Woda z niebem się zlewa w kolorze młodego bzu, i tylko gdzieniegdzie falochron czernieje i ramiona dźwigów portowych wystają z mgły.

Biełomorsk powstał w 1938 roku na miejscu starej rybackiej osady, zwanej Soroką (rzekomo od 40 wysp, utworzonych przez rzekę Wyg, wpadającą tu do Białego Morza) i kilku posiołków, leżących opodal. To stąd inok Sawwatij popłynął w 1429 roku z ojcem Germanem na bezludne wówczas Wyspy Sołowieckie, by tam zapoczątkować życie pustelnicze, a po paru latach wrócił, by tutaj ducha wyzionąć. Podróżujący tędy w 1785 roku poeta Dzierżawin pisał w dzienniku podróży, że ludzie tu żyją biednie, krowy i owce karmią białym mchem z uchą, i dlatego mleko oddaje rybą. Dopiero wiek XX przyniósł Soroce zmiany, związane z budową dwóch tartaków, w których pracowali zsylni – oni byli zaczynem Rewolucji na tym terenie. Budowa Kanału zamknęła dzieje Soroki i rozpoczęła historię Biełomorska...

Stajemy w pobliżu 19 śluzy – tejże, o której Sołżenicyn pisał, cytując „Połżyzni" Witkowskiego, jakoby w betonie znalazły się kości zeka, zmielone ze żwirem w betoniarkach... Co prawda w wersji żurnała *Znamia* wzmianki o kościach

u Witkowskiego nie znalazłem, więc nie wiem, czy to „klukwa" Sołżenicyna, czy redakcja żurnała je wycięła?

Dziś o kościach trudno cokolwiek powiedzieć, za to z betonu sterczy obnażona armatura: jakieś pręty pordzewiałe, kątowniki. A przy brzegu żelazny ponton – w szlamie i wodorostach. Paru mużyków łowi zeń ryby. Nierealni, niby zgęstki mgły.

●

Myśl o budowie Kanału między Morzem Białym i Jeziorem Onieżskim od dawna zajmowała rosyjskie umysły. Już w 1800 roku inż. Dewolajt penetrował ten teren. A w roku 1824 kupiec Antonow z Kiemi przedstawił projekt Kanału i sporządził szczegółowy spis (po francusku!) rzek i jezior tej części Karelii, gdzie – według jego opinii – powinien przejść Kanał. W latach 1857-1858 pracowała tutaj ekspedycja z Petersburga pod kierunkiem inż. Lebiediewa, który tak rzecz zrekapitulował:

Połączenie Jeziora Onieżskiego z Morzem Białym, wymagające ogromnych sum, nie przyniesie żądanego efektu i nie opłaci się, zwłaszcza biorąc pod uwagę biedność i bezludność kraju, w którym Kanał miałby być przeprowadzony. Ani kosztowności, ani pożytku w Kanale tym nie widzimy.

Kanał zbudowano w latach 1931-33 na rozkaz Stalina: tanio i szybko. Zamiast cementu i stali – drzewo, piasek i kamień. Zamiast koparek, spychaczy, ciężarówek i dźwigów – łopata, łom, topór i taczka. Długość Kanału wynosi 227 km, w tym: 19 śluz, 15 zapór wodnych i 49 tam. Budowa trwała 20 miesięcy (dla porównania – Kanał Panamski długości 80 km budowano 28 lat, a Kanał Sueski długości 160 km – 10 lat).

Objętość ziemnych i skalnych robót: 21 mln. kubów. Dla wysadzenia skał wykuto 2600 km otworów strzałowych i wykonano 4,5 mln. wybuchów. Z wysadzonego kamienia można by wybudować siedem piramid Cheopsa. Objętość kaszyc: 921 tys. kubów, belek użyto tyle, że opasałyby pół Ziemi. Dla budowy Kanału utworzono zbiorniki wodne o pojemności 7,1 miliarda kubów. Taką ilością wody można by

poić całą ludzkość tamtych czasów przez 7 lat. Przy okazji zatopiono 42 wsie, tysiące ha pól uprawnych, łąk i lasów wokół Wyg jeziora.

Kanał projektowali i budowali zeka, około 280 tys. Zginął co trzeci, to jest około 100 tys. Biełomorsko-Bałtycki ITŁ (BBŁ) składał się z 9 „węzłów" (po 10-15 tys. z/k), odpowiedzialnych za konkretne odcinki trasy, z własnymi *łaggorodkami*, gdzie się mieścił zarząd, radiowęzeł, szpital, cmentarz, a także sztab przodownictwa pracy i RUR (*rota usilennogo rieżima*). Każdy „węzeł" miał oddzielne *łagpunkty* i *komandirowki*. BBŁ był swego rodzaju poligonem doświadczalnym, tu szlifowano nowy system pracy niewolniczej: wprowadzono tzw. „kotły", czyli zależność posiłku od wyrobionej normy i realizowano eksperyment *pieriekowki* – pierwszej na świecie „próby przekonywania ludzi przy pomocy trudu".

Niektórzy powątpiewają, czy rabski trud był wydajny? Szałamow pisał:

Doświadczenie Kanału pokazało efektywność pracy niewolniczej, starczyło wprowadzić 'skalę żołądka', to znaczy uzależnić rację żywnościową od wyrobionej normy, aby zeka pracował lepiej i szybciej, niż człowiek wolny.

●

Parę godzin snu na pograniczu jawy... Znajomy plusk morza pod głową. Zapach laminarii.

Pierwsze śluzowanie. Do betonowej komory trzeba wejść tak by burtą nie trzeć o beton. Komora jest krótka, my hamulca nie mamy i siłą bezwładności możemy nosem się werznąć we wrota śluzy. Do hamowania używamy wiadra na sznurku, wrzucając je do wody po wyłączeniu silnika i ciągnąc za sobą, niczym spadochron. Wasia steruje, Junga z pętlą czyha na *rym* (ruchomy hak do cumowania), a ja kołem burtę od betonu odpycham, balansując jak ekwilibrysta, by masztem ściany nie zaczepić.

Wchodzimy do kanału Morskiego, który łączy rzekę Szyżnia z Białym Morzem. Ryli go w rzadkiej, jak mydło, glinie, używanej potem przez łagierne praczki.

Przystań Biełomorskiego Portu Morskiego. Zasmarkany pacan prosi rubla na chleb. Na niewysokim wzniesieniu

drewniany dom śród rachitycznych brzóz, kapitanat Portu. Obok parenaście mieszkalnych baraków wzdłuż cienistej alei, sklep spożywczy i klub. Ot, cichy posiołek, niegdyś sztab „szyżnińskiego węzła". To gdzieś tu stała sążnista gwiazda na powitanie Stalina.

– Jeden żeglarz z Irlandii także o nią pytał – Michaił Iwanowicz, kapitan Portu, nie pamięta – bodaj Jimi mu było, a może John? W 1989 szedł tędy na jachcie „Grey goose". Pierwszy cudzoziemiec bez konwoju, ha, ha.

Prawdę powiedziawszy, pierwszymi cudzoziemcami byli tutaj angielscy żeglarze Thomas Southem i John Spark – ci sami, co zjawili się na Wyspach Sołowieckich 29 czerwca 1566 roku. Dwa dni później z locmanem z monastyra i listami polecającymi od starców ruszyli do Nowgorodu – tą drogą, co my! – najpierw do Soroki, gdzie się przesiedli ze swojego okrętu na miejscowe łódki, potem w górę rzeki Wyg z wieloma wysiadkami na jego progach aż do jeziora Woickiego, tam znowu wysiadali i przenosili łodzie i towary, omijając wodospad Padun, do Wyg jeziora i dalej, do Powieńca, a stamtąd przez Oniego i Swir do Ładogi, i po Wołchowie do Nowgorodu.

Praktyczni Anglicy zauważyli, że gdyby nie przeszkody w postaci skalnych progów i mielizn na trasie między Soroką i Powieńcem, to droga z Archangielska do Nowgorodu przez Karelię byłaby najkrótszą i najwygodniejszą.

Okazuje się, że ten Irlandczyk pokazywał Michaiłowi Iwanowiczowi angielską edycję słynnej książki „Biełomorsko-Bałtijskij Kanał imieni Stalina", z fotografią gwiazdy na 19 śluzie. Kapitan pytał potem miejscowych mużyków, gdzie ona się podziała, ale nikt nie wiedział.

Pewnie ukradli na złom – burknęła sekretarsza.

Bumagi gotowe. Płacę za Kanał, locman po błatu (sto dolców plus żratwa) i 20 map po 12 baksów każda. Przenośną radiostację dają nam za litra, do zwrotu.

Rzeka Szyżnia, rozwodzony most. Czekamy na „Naftorudowoz", rozwodzić most dla jachtu szkoda im fatygi. „Naftorudowozy" to specjalne tankowce do Kanału – tak pod względem gabarytów, jak i przeznaczenia: na Północ wożą naftę z Morza Kaspijskiego, z Północy rudę i apatyty. Od razu widać ruch na Kanale i gadki o jego zapuszczeniu wkładam między baje. Na moście podlotki jak motyle.

Wieś Szyżnia. Bezładnie rozrzucone chałupy, szare dachy na tle przeźroczystej zieleni, łódki przy brzegu i krzyk dzieciarni w wodzie, jak na kąpielisku. Aż trudno uwierzyć, że zeka się Szyżni bali jak mrozu – to skrajnie północny „węzeł" Kanału, latem tu noce były jeszcze bielsze, zimą – jeszcze ciemniejsze... Tutaj zsyłano *odkazczikow*, czyli odmawiających pracy.

Inaczej sobie wyobrażałem ten Kanał. Sądziłem, że to będzie sztuczne koryto, wyryte w błocie i skale pośród karelskiej tajgi, a tu wesoła rzeka, posiołki z dzieciarnią i radosne poszczekiwanie psów, uganiających się za kąpiącymi się. (W istocie tylko 47 km Kanału wiedzie sztucznymi korytami, reszta to rzeki, na które przypada 97 km i jeziora – 80 km.) Śluzy też wyglądają inaczej, niż w pamiętnikach zeka. Zamiast drewnianych – żelazne wrota, mechanicznie otwierane, komory wybetonowane, dyspozytornie oszklone, sygnalizacja świetlna.

18 śluza. 17 śluza. Jedna za drugą, nie ma czasu na rozglądanie się. Boje, nabieżniki... Powoli nabieramy wprawy.

16 śluza. Stop, czerwone światło. Z przeciwka „Naftorudowoz" się śluzuje. Wystaje z komory jak Guliwer z kojca Liliputów. Przystajemy z boku na papierosa. Locman Sania „Biełomorem" ugaszcza. To rytuał: dmuchasz w tutkę i zgniatasz ją, dwakroć na przemian, poziomo i pionowo, ciut ślinisz koniec, zapalasz i *kajf łowisz* – jak po anaszy – szum w głowie, oczy na łeb lezą i świat cię nęci tajemniczo.

A swoją drogą zagadkowa jest dusza ruskiego człeka i wszelkie porównania biorą w łeb, choćby to równające niemieckie kacety i sowieckie łagry. Wyobraźmy sobie na przykład papierosy o nazwie „Oświęcim" albo „Brzezinka".

– Piękny ten Kanał, co by nie mówić – wzdycha Sania – a że rabskim trudem zbudowany. Cóż, piramidy w Egipcie także niewolnicy budowali, lecz turystom to wcale nie przeszkadza.

Locman Sania całe życie na Kanale przepracował, jego ojca tu zesłali w czterdziestym czwartym...

– Ech, powodzić by tutaj wycieczki zagraniczne!

Za 16 śluzą zaczyna się Niżnij Wyg. Jego progi są teraz niegroźne, bo wodę zaporami spiętrzyli i na Wygu się zrobił menisk wypukły. W dole po prawej stronie Wygostrow, tam

ślady Biesa na skale (ryty sprzed 6 tysięcy lat) i sam Bies z wielkim prąciem w stanie wzwodu. Kiedyś w Wygostrowie żyli staroobrzędowcy. Zmarłych grzebali w piachu na pagórze. Piasek przywozili z daleka, za wiele wiorst. Potem ten piasek się przydał do budowy Wygostrowskiej zapory Kanału.

Rzeka jak lustro, osiny przeglądają się w nurcie – rozświetlone, gdzieniegdzie łódka z rybakiem nad wędą pochylonym, opar w zakolach, zapach trzcin. Tu i ówdzie sterczą z wody zatopione pnie. Wte i wewte ryby się pluszczą.

Na 15 śluzie bzy i porzeczki, w oknach dyspozytora firanki, hamak śród sosen. Obok dom z zielonym dachem, wokół żywopłot, kuta bramka. Jak na jazie odrzańskim we Wrocławiu, który nieraz mi się śni.

Między 15 i 14 śluzą kanał w skale, szerokości 40 m, w nim poziom wody wyższy, niż błota wokoło niego. Jakbyśmy szli po szklanym stole. W dali elektrownia wodna w Sosnowcu, jedna z pięciu na kaskadach Wyga.

Na 14 śluzie krzewy dzikiej róży i dyspozytorki – dziewuchy na schwał. Sprzedają nam świeże leszcze. Podśmiechujki.

Dalej Wyg się przelewa leniwie z boku na bok. Na wysokości posiołka Letniego z wody wystaje kamienna baszta. W ciemnokrwistej poświacie północnego słońca przypomina kułak, wygrażający niebu. Brzegi skaliste.

Środa, 23 czerwca

W białe noce po Kanale można chodzić nocą. Później, kiedy noce robią się czarne, a boje stoją nieoświetlone, bo mużyki osprzęt worują, ruch na Kanale po zmroku jest zabroniony.

Podchodzimy do 13 śluzy. Podczas roztopów wiosną 1933 r. omal tu nie przerwało grobli... 15 maja o piątej po południu na groblę rzucili *trudkolektyw* „Pobieditiel". Zeka pracowali piątkami, ładując wagonetkę w 4 minuty, czyli 15 wagonetek na godzinę. Pracowali 37 godzin bez przerwy, w błocie i wodzie po szyję. 17 maja o szóstej rano kończyli łatanie grobli. Wyłom zawalili 1270 kubami gruntu, co dawało 425% normy na każdego członka kolektywu.

Łagier na Kanale przypominał armię (marzenie Lwa Trockiego, wcześniej Arakczejewa...) – od głównego sztabu przez „węzły", oddziały, łagpunkty po falangi i brygady. O ile jednak brygady, to jest grupy 25-30 zeka do pracy jednego typu (wysadzanie skał, rycie gruntu, wyrąb lasu) i falangi, czyli parę brygad na jednym odcinku Kanału dla wykonania wszystkich robót – były tworzone odgórnie, przez administrację, o tyle kolektywy pracy powstawały samorzutnie – z inicjatywy więźniów. Organizować je mogli tylko zeka „socjalnie bliscy". „Kułakom i kontrze wara od samorządności – czytamy w jednym z numerów *Pieriekowki* – oni się jej dosyć na wolności najedli!".

Prócz pracy kolektyw organizował też swój byt (jego członkowie żyli w osobnym baraku i każdy wnosił do wspólnej kasy od 25% do 50% premii) tudzież samowychowanie – zapewniał aktywny udział w zajęciach politgramoty, rugował wredne prywyczki, jak pijaństwo i grę w karty, wdrażał poszanowanie łagrowej własności, w tym narzędzi pracy!

13 śluza – pech – wrota się zacięły, z nami w środku. Jest zatem sporo czasu, żeby się rozejrzeć. Zeka budowali komory śluz z *rjażej* – drewnianych zrębów napełnionych gruntem. Ich konstruktor profesor Masłow miał powód do dumy, takich wysokich zrębów (do 15 metrów) nie stosowano nigdzie w świecie. Tylko *gławy*, na których osadzano wrota, były z betonu. Wrota otwierano ręcznie – na korbę. W latach 50-tych wymieniono wrota na automatyczne, w latach 60-tych rozpoczęto betonowanie komór. Na dzisiaj do modernizacji pozostały dwie śluzy.

13 jest dwukomorowa. Rymy chodzą w żelaznych rynnach z dzikim grochotem, niekiedy zacinają się. Na ścianach komór napisy, kto i kiedy tędy przechodził, jakiś Sasza z Riazania, Luba z Wowką z Orła, Paszka kocha Anię, Jura na ch... wszystkich śle i polityczne: *Stalin wiernis', żdiom*, a obok: *Jelcin, my s toboj mudakom sriom*. Dopisujemy się: *Antur 1999*. Wrota naprawili, możemy iść dalej.

181 kanał – jubilerska robota, wyłożony po obu stronach szarym kamieniem – prawie inkrustowany.

Czwarta rano, pora pospać... Stajemy za 12 śluzą, naprzeciw Tungudy – tam była żeńska zona. Z lewej, na grobli, pomiędzy śluzą i zaporą wodną, gigantyczny napis z betonowych płyt, odlanych w litery: *BBK – pokaz udarnych tempow i wysokogo kaczestwa raboty*. Jakby wczoraj zrobiony.

Zbyt duszno, aby spać. Zlany potem, próbuję czytać:

Odziane byle jak, ta w łachmanach i łapciach, tamta w kartonie po papierosach, jedna w skórzanej kurcie i z gołym tyłkiem, druga w bieliźnie prosto z Paryża, trzecia w kusej fufajce. Szulerki, złodziejki i błatne baby, dziewki za rubel, łase na mienie cudzych kieszeni i portek.

– Aniuta Wyrwij-Oko?

– Ech, ty stary katorżniku, na skórce od arbuza z Sachalina tu przypłynąłeś? Tu ci nie mieszkanko z centralnym ogrzewaniem. To Tunguda, mać twoja...

●

Obudziłem się z mętną głową, lepki. Kąpiel nie pomaga, woda w Wygu jak odgrzane szczi... O dziewiątej wyruszamy.

Niżnij Wyg się rozszerza, wzdłuż prawego brzegu linia kolejowa, mijamy stacje: Krasnaja Gorka, Idel, Koczkoma. Z drugiej strony las, błota, uroczyska. Bezludnie.

Za Koczkomą do Wyga wpada rzeczka Onda, robi się wąsko i zawiło. Ruch tu obowiązuje jednostronny! Raptem zza zakrętu wynurza się...

11 śluza – jedna z dwóch jeszcze nie odremontowanych – zaiste, imponująca. W skale, drewniana, dwukomorowa, wrota nad wrotami (skrót perspektywiczny) – jakby dęba stała. Dają zielone światło i włazimy do... wewnątrz sztychu Piranesiego: skalne ciosy, żelazne skoby, klamry, i setki sączących się, szemrzących nitek wody. Nad nami kadr nieba z gałązkami osin i twarze bab, coś krzyczących. Brak rymów! Podchodzimy do skały, chwytamy za skoby. Puszczają wodę. Mam wrażenie, że się wspinamy, od klamry do klamry, to bosakiem, to rękami.

Na górze się wyjaśnia, że baby chciały nam spuścić liny.

Druga komora i ten sam sznyt naśladowców twórcy *Carceri*, którzy się podjęli „szalonego zadania zaprojektowania świata od nowa". Dziwne uczucie: własnymi dłońmi dotykać ciosów zeka, chwytać za skoby wbite tutaj 66 lat temu przez jakiegoś rozkułaczonego chłopa z Ukrainy lub nacmena z Kazachstanu... Słońce praży niemiłosiernie. Skoby parzą.

Za 11 śluzą Szawańska zapora – jedna z piękniejszych konstrukcji Kanału. Rzucamy kotwicę powyżej i schodzimy obejrzeć. Inżynier Zubrik, *bywszyj wreditiel*, dostał za nią Order Czerwonego Sztandaru Pracy. I rzeczywiście, zapora jest nie tylko piękna, ale i unikalna. Kliment Michaiłowicz otrzymał polecenie, by ją zaprojektować z drzewa, musiał zatem wymyśleć taki profil, żeby między wodą i drewnem nie było powierza, wtedy drewno nie gnije. Japońscy inżynierowie przyjeżdżali tu w ubiegłym roku i dziwowali się. Mówili, że Szawańska zapora jaszcze sto lat przeżyje bez remontów. Ot, co może ruski um.

Kanał projektowali inżynierowie starej szkoły. Między innymi: Orest Wiaziemski, potomek Rurykowiczów, *b. wreditiel*, autor Matkożnieńskiej zapory, za którą dostał Order Czerwonego Sztandaru Pracy, prof. Masłow, *b. wreditiel*, twórca drewnianych wrót, nagrodzony Orderem Czerwonego Sztandaru Pracy, prof. Chrustalow, *b. wreditiel*, w 1932 roku naznaczony głównym inżynierem Kanału, nagrodzony Orderem Czerwonego Sztandaru Pracy, Konstanty Wierzbicki, *b. wreditiel*, zastępca głównego inżyniera, nagrodzony Orderem Lenina. Wszyscy oni z początku nie wierzyli w możliwość zbudowania Kanału techniką i środkami starożytnego Egiptu, ale z czasem profesjonalna duma brała górę, i hazard przedsięwzięcia wciągał. Mimo przedterminowego zwolnienia z łagru, wszyscy pozostali na budowie Kanału do końca.

Kąpiemy się. Sania filmuje nas na tle mas wody, przewalających się z Jeziora Woickiego do Wyga bezszelestnie. Dopiero w dole huk i bryzgi piany na obłych występach granitu. Pusto... Po domach z fotografii na 541 stronie *Biełomorsko-Bałtijskogo Kanała imieni Stalina* – ni śladu. Jeno ziemianka na poły zasypana, i koło od taczki w mule.

Ba – koło od taczki! Główny mechanizm Kanału. Robili zeń wagonetki i zwrotnice, blok i telegi, i tylko obiadu z koła od taczki zrobić się nie dawało. Drugim, obok taczki, środkiem transportu był biełomorski „ford", czyli ciężka platforma na czterech pieńkach zamiast kół. Natomiast do wyciągania potężnych skalnych bloków z wykopów używali drewnianych dźwigów (jedynie detale trące były ze stali) lub sieci, w które zawijali kamienną bryłę i taszczyli na linach, namotywanych na kołowrót. Czasem za pomocą koni.

Podręczne narzędzia zeka to: *kuwałda, zubiło* i *kajło*.

Jezioro Woickie. Het, na horyzoncie kominy huty aluminium w Siegieży. Zbliżamy się do „nadwoickiego węzła". Z lewej suche łożysko Paduna. Jak na tablicy atlasu anatomii widać cielsko selgi – pożyłowane sploty granitu, niby potężne muskuły bez skóry. Selgami nazywają tu dukty lodowca – niewysokie pasma skalnych wzgórz, ciągnące się z północnego zachodu na południowy wschód. Z góry przypominają skiby zaoranego pola z jeziorami i błotami w bruzdach. Rytm skib i bruzd na przemian tworzy tę niepowtarzalną kadencję krajobrazu, którą ktoś kiedyś porównał do dobrej prozy, opartej na indywidualnym i niepowtarzalnym oddechu słów... Tam, gdzie rzeka trafia na selgę, nurt rozmywa grunt i wystaje próg. Po jednym z nich zlatywał w dół z hukiem Padun, póki mu tamą wód Wyg jeziora nie odcięli. W literaturze utrwalił go Priszwin.

Spoglądasz na słupki piany, jak znosi je pod okap czarnego głazu i tańczą tam na ciut kołyszącej się wodzie, każdy z nich inny, nie taki, jak drugi. A dalej wszystko jest zupełnie różne niż przed sekundą, i nie wiesz, jakie będzie za moment?

Widać jakieś tajemnicze siły rządzą padaniem wody i w każdej chwili wszystko się zmienia – wodospad żyje własnym, złożonym życiem...

– pisał Michaił Michaiłowicz w roku 1905, w swojej pierwszej książce pt. „W kraju niepuganych ptic". Książka cieszyła się powodzeniem na Kanale, sam Uspienski – główny czekista „nadwoickiego węzła" – ją czytał. Tak, tak – ten sam towarzysz Uspienski, co własnego ojca zastrzelił, aby o jednego popa w Sojuzie było mniej, a potem się wsławił okrucieństwem na Sołowkach. To według jednych. A według drugich – Uspienski był wybitnym czekistą, jednym z tych naczelników SŁON-a, którzy zastosowali nową, nieznaną dotąd na świecie, metodę wychowywania przez trud. I przy tym... rafinowanym intelektualistą – w *Biełomorsko-Bałtijskim kanale imieni Stalina* jawi się w Nadwoicach z książką Priszwina w ręku.

A rok później – w 1933! – sam Priszwin tu przyjechał, może zwabiony swoją sławą wśród budowniczych Kanału, a może już z zamiarem pisania kolejnej książki. Będzie to

„Osudariewa doroga", powieść-bajka o „narodzinach nowej świadomości ruskiego człowieka". Czekista Uspienski tam, pod postacią towarzysza Sutułowa, uosabia Władzę, która z ludzkich bryzgów i piany lepi na powrót Kolektywnego Człeka – jakim była ludzkość na Początku.

„Nadwoicki węzeł" to serce Kanału, on spiętrza wody Wyg jeziora i reguluje ich poziom dla potrzeb śluz i elektrowni, zrzucając nadmiar starym łożyskiem Paduna. „Węzeł" się składa z Nadwoickiej zapory, upustów wodnych i 10 śluzy, którą ryli w anabazie – twardej, ciemnozielonej skale magmowej. Dla zapory potrzebny był beton, dla betonu – kruszarki kamieni. Na anabazie zęby kruszarek się łamały. Należało je odlewać ze specjalnej stali: 50% żeliwa, 48% łomu żelaznego i 2% ferromanganu. Pytanie – skąd wziąć piec, który wytrzyma temperaturę wytapiania takiej stali? Odpowiedź – zeka polewali żeliwiak zimną wodą w czasie wytapiania. I anabazę skruszyli.

10 śluza w remoncie. Wchodne koryto już wybetonowane, w środku szalunek, drewniane stemple. Możesz-li sobie wyobrazić oszalowane więzienie Piranesiego?

Z cienia śluzy wychynęliśmy na zalane słońcem Wyg jezioro. Na prawo Nadwoicy, bieżymy wzdłuż brzegu. Śród szaropopielatych domów migają wyszki zony. W lornecie widzę kolczasty drut. Na pierwszym planie dźwigi, suwnice i sztaple desek, pomosty do cumowania, plaża z trocin, dzieci. Przybijamy.

Pył i gorąc. Grzęźniemy w trocinach. Pokrzywy, saraje, wraki barek. Dwie spocone dziewuszki nas zaczepiają, lecz nam nie do tego, u nas piwo w głowie. Junga zostaje *poszakalit'* we wrakach, Wasia na straży jachtu, a my z Sanią – do sklepu.

Zapyziały posiołek, dwie ulice na krzyż, jedna do zony, droga do portu. Ni żywej duszy. No i gdzie to miasto, o którym tyle pisali literaci z brygady Gorkiego? Była mowa o 50 tysiącach mieszkańców, miał być teatr, baseny, stadion... Ba, przy tartaku planowali stawiać gorzelnię spirytusu z opiłek, z jednej tony trocin – wyliczali – wyjdzie 360 litrów sosnowej wódy dla sowieckiej *rabsiły* (tak skracali roboczą siłę, lub rabską – jak kto woli, wszak w ruskim języku *rabota* i *rab* mają jeden rdzeń). A tu posiołek na pół wymarły, opiłki się

walają, w sklepie „katanka" z lewego szyła, podcięty koleś ze złotą „fiksą" i woń – ta specyficzna woń sklepów spożywczych w ruskiej głubince. Bierzemy karton ciepłego piwa i cztery batony chleba.

W drodze powrotnej zachodzimy do znajomka Sańki, byłego naczelnika portu w Nadwoicach. Zrazu widać, mużyk starej daty, obcemu nie dowierza. Pokazuję akredytację, tłumaczę, że piszę. Po chwili się rozgadał, może piwem rozkręcony. Że do niedawna żyli tu całkiem nieźle, w porcie pracowało 300 ludzi, barkami piasek z Wyg jeziora wozili, cztery regiony zaopatrywali – Biełomorski, Kiemski, Siegieżski i Miedwieżegorski – zapotrzebowanie mieli na półtora miliona ton, z tego ledwie połowę mogli realizować, więc sami wybierali klientów, aż nastąpił Jelcyn, budowy stanęły i piasek nikomu niepotrzebny. Ludzi skrócili do 55, ze stu poszło na rentę, a reszta została bez pracy. Co tu dużo mówić, nawet w zonie teraz bez roboty siedzą... Ech, Stalina by! Za Stalina w Nadwoicach odbywały się zloty udarników, występował teatr, dawali koncerty i gazetę *Pieriekowkę* mieli swoją... Wtedy życie miało sens – współzawodnictwo, wielka budowa, masa narodu. A teraz, sam popatrz, ludzie łażą jak muchy, jeno wypić szukają, żadnego celu w życiu, pełny marazm.

Raptem, ni stąd ni zowąd, zaśpiewał:

U burżuja za granicej
Skrjuczennyje palcy.
Popieriok im gorła stali
Krasnyje kanalcy.
Pust' nie wierit zagranica –
Oszibiotsja, dura,
Tut y każdogo bratka
Wo – muskulatura.

– Wy tam za granicą czytacie Sołżenicyna i ch... wiecie, jak tu naprawdę było. Stąd ukraiński mużyk słał rodzinie część swej łagiernej pajki, a górnik z Donbasu chwalił tutejsze baraki, bo u siebie gnił w podmokłej ziemiance. Lecz mużyki o Kanale książek nie pisali, o Kanale rozpisywali się inteligenci – lichaczowy, łosiewy, ancifierowy – a im tu lekuchno

nie było, przywykłym do stolicznych wygód i przywilejów. Weź dziś Jewtuszenkę czy Wozniesienskiego, mać ich..., niech tu pożyją z nami rok-drugi, ciekawym, co napiszą.

Później, czytając „Rossiju w konclagierie" Sołoniewicza, nieraz wspominałem słowa starego naczelnika z Nadwoic.

Pod wieczór, gdy żar nieco zelżał, opici piwskiem ruszamy w drogę. Do końca Kanału zostało 130 wiorst.

Wyg jezioro. Cisza, *bezmołwije*, jakby rzeczywistość nabrała wody w usta... To największy sztuczny zbiornik wodny na świecie. Poziom jeziora podnieśli na 7 m i otoczyli je groblami, żeby się nie rozlało na strony. Przyszło wywozić ponad 700 gospodarstw z 42 okolicznych wsi. Po bezdrożach, w pośpiechu. Brakowało podwód, nie starczało rąk. Dla staroobrzędowców, którzy tutaj żyli, nastał koniec świata. Wielu nie posłuchało czekistów, wierzyli w mądrość przyrody i zostawali.

Przecinamy jezioro wzdłuż, z północy na południe. Po obydwu stronach wyspy, niektóre do dziś mają łagierne nazwy – Pieriekowka, Izolator... ponoć Uspienski pod pozorem lazaretów trzymał na nich dziewki po 50 kopiejek za miłość – rodzaj premii dla przodowników pracy.

Z lewej resztki Karelskiego ostrowa – kępa traw, suche krzaki. Dawniej tam wrzało życie. Priszwin w stylu Marqueza ze „Stu lat samotności" opisał jego koniec. Gdy Wyg jezioro zaczęło się podnosić, na Karelskim ostrowie z całej wsi tylko babka Mironowna została, oczekując na Ogień Ostateczny, w którym, według staroobrzędowców, miał spłonąć świat. Jak przystało na ludzi starej wiary, Mironowna wszystko już miała przygotowane – w odświętnej komnacie stała trumna zrobiona z łodzi, i świece, ikony. Tymczasem, miast ognia, woda podeszła pod próg domu, wypłaszając po drodze polne myszy z nor. Mironowna legła w trumnę, mrucząc modlitwę Jezusową, jakby se chciała utkać całun z słów. Woda weszła w dom, przodem biegły myszy, coraz wyżej, i wyżej, po belkach, łączących schody, po poręczach, na piętro, do komnaty, i obsiadły babkę, jak wyrzuty sumienia, i wtedy Mironowna nie zdzierżała, chwyciła wiosło i przez okno wypłynęła w łodzi-trumnie z zatopionego domu...

Dawniej na Wyg jeziorze było tyle wysp, ile dni jest w roku, plus jedna (pewnie na zapas roku przestępnego).

Później, kiedy poziom jeziora się podniósł, większość wysp zatonęła. Lecz wystarczy nieco zejść z farwatera, by odnaleźć pod wodą zatopiony świat Wygorecji, tę Atlantydę starego obrzędu. Pomiędzy zmurszałymi domami pływają zdziwione karasie, dziurawy karbas leży na boku i... omal nie natykamy się na ośmioramienny krzyż, który stoi tuż, tuż pod taflą. Jakby z tamtej strony lustra.

Trochę dalej sterczy na pół sążnia z wody ostrów Gorodowoj z majakiem, owiany legendą o polskich panach. Było tak. Jesienią 1613 roku część polsko-litewskich oddziałów Samozwańca, które do tej pory łupiły zaonieżskie pogosty, ruszyły pod wodzą pana Baryszpolca i Sidora na Chołmogory. Po sześciodniowym, niefortunnym oblężeniu chołmogorskiej twierdzy, Polacy odstąpili, ominęli Archangielsk, rozgrabili Nikoło-Karelski monastyr, po czym, wracając przez Onieżską zatokę po lodzie, złupili po drodze kilka pomorskich sioł, oblęgali bez skutki Sumski ostróg, znowu napadli na zaonieżskie pogosty, osadzali ostróg Szungski i Tołwujski, i przy pomocy Szwedów zdobyli Ołoniec. W marcu 1614 roku wojska rosyjskie rozgromiły oddziały pana Baryszpolca nad rzeką Sermaksą pod Ołońcem, a niedobitki oddziałów pana Sidora uszły z placu boju w karelskie lasy. I w karelskie legendy... Jedna z nich głosiła, że polscy panowie żyli na Gorodowoju, skąd najeżdżali na pobliskie wsie, brali chłopów w raby, i rabowali dopóty, dopóki ich stary Kojko na Padun nie posłał, po skarb. Na skałach Paduna panowie znaleźli swą śmierć.

Mijamy kolejne wyspy: Kal, Kainskie, Kun i Pełd, zwany też Małym Babim, na zadnim planie widać Bolszoj i Małyj Janc, za nimi odchodzi w lewo na południowy wschód farawater na Wałdaj i Pietrowskij Jam – tamtędy, przez selgi i błota, Piotr I taszczył na plecach swych rabów okręty na wojnę ze Szwedami (do dziś między Niuchczą i Powieńcem zachowały się w tajdze ślady Gosudarewoj drogi i kości rabów pod darnią) – my zaś idziemy prosto, w stronę Sigowca i Locmańskiego, za którymi kończy się Wyg jezioro i zaczyna rzeka Telekinka. Długi dzień ugasa z wolna w krasnych tonach.

Farwater Telekinki wiedzie starym łożyskiem rzeki, miejscami „wyprostowanymi" przez zeka. Brzegi niskie,

błotniste, porosłe mieszanym lasem, u brzegów sterczą z wody zatopione pnie, na brzegach wałuny się walają... To z jednej, to z drugiej strony ostrowy: Worotnoj, Szowik, Kiw, Małyje, Muromskije, Urałowskije, Bliżnije. Pośród nich *limy*, czyli pływające wyspy z torfu – od parudziesięciu metrów kwadratowych do paru ha. Niektóre są pokryte roślinnością, inne, brunatne i ciężkie, na zimę opadają na dno. Te ostatnie bywają szczególnie niebezpieczne dla żeglugi, często dryfują poprzek farwatera pod powierzchnią wody, niewidoczne gołym okiem.

Jezioro Telekino. I znów ostrowy, ostrowy, ostrowy... Zanurzone w mętno-perłowej poświacie białej nocy, jakby się ze snu wysnuwały, jeden za drugim. Niektóre mają nazwy: Prokopnyj, Birżewoj, Drowianoj, inne są bezimienne, nie wiadomo, czy to wyspa, czy *lima*? Za małym archipelagiem Noskowa skręcamy w prawo na 9 śluzę, która się wynurza zza ostrowa Czigajewa.

Na 9 śluzie rośnie *czernobylnik* (bylica). Połyskuje nocna rosa. Śluzujemy się migiem.

Dalej małe jeziorko Toros oraz wąski i trudny odcinek Wołogży – z prawej wyspy Skalnyje, z lewej Majacznyj. Opodal łudy Griwa wydostajemy się na Matko jezioro. Dochodzi połnoc nocy Kupały, przed nami Maselgski Grzbiet – dział wodny między Bałtykiem i Morzem Białym...

Mariusz WILK

Na marginesie artykułu prof. Wyczańskiego

Profesor Andrzej Wyczański stawia bardzo istotny problem potrzeby zdefiniowania miejsca jakie Polska mogłaby zająć w Unii Europejskiej*. Pamiętając o tym, że Unia jest i pozostanie przede wszystkim wspólnotą gospodarczą, Autor zastanawia się nad możliwością wyboru polskiej specyfiki właśnie w dziedzinie gospodarczej. Już samo postawienie pytania jest niezwykle ważne. Nie dziwi, iż rozpoczyna On swój przegląd od problemów wsi i rolnictwa, ostrzegając przed niebezpieczeństwem gwałtownego przestawiania polskiego rolnictwa na gospodarstwa wielkoobszarowe. Gorzej, że powtarza wielokrotnie już przedstawianą propozycję stawki na tzw. rolnictwo ekologiczne.

Błąd tego rozumowania polega na założeniu, że rolnictwo ekologiczne to rolnictwo prymitywne plus wysokie nakłady pracy żywej. Tak nie jest. Rolnictwo ekologiczne wymaga wyższych, a nie niższych kwalifikacji niż rolnictwo „normalne". Zastępowanie środków ochrony roślin i sztucznych nawozów odpowiednimi środkami naturalnymi to wyższa szkoła jazdy. Co więcej, udaje się to z reguły tam, gdzie tzw. gospodarstwa ekologiczne są wyspami otoczonymi przez gospodarstwa, w których dzięki chemii skutecznie wytępiono

* Andrzej Wyczański: „Sprawa Unii Europejskiej – z perspektywy historyka", *Kultura* nr 4/631.

już chwasty i gdzie intensywnie zwalczane są wszelkiego rodzaju szkodniki. Ponieważ odbiorcami owej „zdrowej żywności" są ludzie motywowani ideologicznie, więc koszerność owych ekologicznych produktów wymaga całego systemu kontroli, specjalnych form pakowania, specjalnego systemu dystrybucji itp. Co więcej, popyt na ten typ żywności wcale nie jest nieograniczony. Niskie kwalifikacje, fatalne warunki sanitarne produkcji, brak maszyn, to wszystko brzmi być może jak naturalny sposób produkowania żywności, ale nie jestem przekonany o tym, że naprawdę powinniśmy sobie wybierać taką właśnie specjalizację w ramach Unii Europejskiej.

Na masową stawkę na nowoczesną ekologiczną produkcję żywności nie tylko nie stać Polski, ale nie stać również żadnego z państw najbardziej zamożnych, mimo tego, że płacą duże pieniądze za odłogowanie części ziemi. Jak dotychczas produkcja żywności organicznej jest stosunkowo największa w Danii, gdzie stanowi 4 procent rynku towarów rolnych. W Stanach Zjednoczonych żywność organiczna to 1,5 procent produkcji, a w Japonii 0,7 procent. Produkcja żywności organicznej jest (i musi być) silniej subwencjonowana niż produkcja normalna, a to z tego powodu, że plony są niższe, ryzyko ich utraty znacznie wyższe, wyższe są również koszty produkcji. Ceny żywności organicznej dotychczas częściowo kompensowały straty, ale już w niektórych krajach obserwuje się nasycenie rynku i spadek tych cen (np. w Austrii spadły ceny ekologicznie produkowanego mleka.) Pojawiły się na Zachodzie plany forsowania rozwoju produkcji żywności organicznej. W najbardziej zamożnych krajach Europy Zachodniej szacuje się, że być może za dziesięć lat uda się doprowadzić do tego, że 30 procent produkcji rolnej to będzie produkcja żywności organicznej. Mało kto w to wierzy, ale nikt specjalnie nie ukrywa, że dążenie do tego celu to z jednej strony próba dalszego ograniczenia wielkości produkcji rolnej, a z drugiej sposób na obejście nacisków instytucji międzynarodowych ograniczających możliwości subsydiowania rolników. (O ekologicznej niszy w rolnictwie pisał ostatnio londyński *Economist* z 25 marca br.)

W Polsce koncepcja dążenia do szybkiego przestawienia

całego rolnictwa na gospodarstwa wielkoobszarowe jest z pewnością groźna, gdyż oznacza to bezmyślną likwidację setek tysięcy warsztatów ludzi nie mających przygotowania do żadnej innej pracy. Jeśli nawet pominiemy względy humanitarne, to przemawia przeciwko temu zwykła kalkulacja ekonomiczna i polityczna. Oznacza to bowiem dramatyczny wzrost bezrobocia i obciążeń skarbu państwa oraz wzrost radykalizmu i niepokojów społecznych. Z tego punktu widzenia racjonalnym wydaje się poszukiwanie rozwiązań prowadzących do wzrostu specjalizacji w gospodarstwach rolnych, do wzrostu wydajności, a tym samym minimalnej chociażby opłacalności gospodarstw średnich, a nawet drobnych. Taką drogą poszły w pierwszych dziesięcioleciach reform rynkowych wszystkie azjatyckie tygrysy. Było to możliwe dzięki bardzo silnemu wsparciu przez państwo obsługi gospodarstw rodzinnych, spółdzielczości wiejskiej, drastycznej kontroli warunków produkcji i jakości towarów. To nie sentymentalizm dyktował takie rozwiązania, a konieczność stworzenia stosownych warunków dla kontrolowanej zmiany struktury zawodowej mieszkańców wsi. W ciągu kilkunastu lat praktycznie rzecz biorąc cała wiejska spółdzielczość (tak w Japonii, na Tajwanie, czy w Korei Południowej, ale również w Tailandii i Malezji) zaczęła łączyć obsługę produkcji rolnej z produkcją przemysłową i to nie tylko na rzecz rolnictwa.

Kryjąca się tu idea była następująca: ułatwić starszym rolnikom dostosowanie się do bardziej nowoczesnych form produkcji i wzrost wydajności, wdrożyć nieco młodszych rolników do bardziej wydajnej pracy w małym gospodarstwie i do łączenia jej z pracą na rzecz obsługi rolnictwa w wiejskiej spółdzielni, wykształcić najmłodszych do wysoko wykwalifikowanych prac poza rolnictwem (często nadal w tej samej wiejskiej spółdzielni). Takiej strategii sprzyjał system kredytów, system państwowego nadzoru, system kształcenia ludności wiejskiej. Strategia ta, w drugiej połowie lat siedemdziesiątych zaczęła być systematycznie krytykowana przez Stany Zjednoczone i przez część polityków z Europy Zachodniej, ale uchroniła kraje Południowo-Wschodniej Azji przed dramatem masowego wiejskiego bezrobocia. Wynegocjowanie takiej lub podobnej strategii wymagałoby

niebywale zręcznych negocjacji z naszymi zachodnimi partnerami, gwarancji, że nie będziemy dążyć do radykalnego wzrostu produkcji rolnej i wyraźnego połączenia kwestii modernizacji rolnictwa z polityką społeczną. Zapewne byłoby to trudne, ale możliwe. Większą trudność stanowiłoby przekonanie krajowych polityków o słuszności takiego wyboru strategii rozwoju wsi.

Wybór specjalizacji dla polskiego rolnictwa w ramach Unii Europejskiej nie jest oczywiście propozycją od rzeczy, chwilowo większość naszych rolników „specjalizuje się" w produkcji zbóż na drobnych poletkach, ziemniaków, rzadziej buraka cukrowego czy rzepaku. Polska ma szansę na poważną specjalizację w sadownictwie, zdecydowanie powinna wzrosnąć hodowla zwierząt, warzywnictwo. Nie wolno jednak zapominać, że jakakolwiek specjalizacja wymaga radykalnego podniesienia kwalifikacji rolników, których dotychczasowe umiejętności ograniczały się w większości do bardzo tradycyjnych form uprawy zboża i ziemniaków i tradycyjnych metod hodowli świń.

Chwilowo na wsi mamy do czynienia ze zjawiskiem całkowitego odrzucenia wszystkich rządowych strategii. Nie ma w tym nic dziwnego, na wczorajsze zaniedbania cywilizacyjne, edukacyjne i ekonomiczne, nakłada się dzisiejsza, oderwana od realiów, polityka rozwoju wsi i rolnictwa, której główną charakterystyką jest informacja, że samo istnienie lwiej części mieszkańców wsi jest rządowi (a raczej kolejnym rządom) zdecydowanie nie na rękę. Wyrwanie znaczącej części polskiej wsi z obecnego marazmu wymaga strategii, która mogłaby rozbudzić chociażby słabą nadzieję, że istniejące warsztaty pracy mogą dać szansę przeżycia i stopniowego wychodzenia z zapaści. Dopiero mając jakiś plan przerwania błędnego koła pogarszania się proporcji dochodów w miastach i na wsi możemy zacząć poszukiwać bardziej skomplikowanych strategii wkomponowania się w ciągle nieznaną przyszłość Unii Europejskiej.

Wydaje mi się, że dla stanu umysłów polskich elit politycznych, niebywale znamienny był tytuł artykułu w *Gazecie Wyborczej* z 24 marca br.: „Kto zapłaci za polską wieś?". Mam powody aby sądzić, że politycy państw Unii Europejskiej bardzo poważnie podejrzewają, że Polska

wybrała sobie dość osobliwą specjalizację w dziedzinie rozwoju wsi i rolnictwa – oczekuje, że za wszystkie zaniedbania poprzednich rządów i poprzednich pokoleń powinien zapłacić zachodni podatnik. Z jakiegoś powodu takie idee nie wzbudzają do nas życzliwości. Pomysły na ekologiczną specjalizację polskiego rolnictwa pojawiały się również na Zachodzie, obawiam się jednak, że z wielu względów nie można ich traktować zbyt poważnie. Koncepcje działań zmierzających do powstania nowego podziału pracy na polskiej wsi i tworzenie szans na pojawienie się na wsi znaczącej ilości miejsc pracy poza rolnictwem muszą wychodzić ze stanu obecnego. Mamy do czynienia z dramatycznie niskimi kwalifikacjami mieszkańców wsi, z niską kulturą życia codziennego (co w znacznym stopniu ogranicza np. rozwój agroturystyki) z nieufnością, czy wręcz wrogością do rządowych projektów, z bardzo słabą kadrą samorządową, a wreszcie z chłopską partią i rolniczymi związkami zawodowymi, które chętniej angażują się w ruch protestu niż w działania nawiązujące do tradycji „Wici".

Wieś nie ma dziś szans na wykorzystanie przeznaczonych na rozwój wsi funduszy unijnych, rozpadają się istniejące jeszcze struktury spółdzielcze, kurczy się zakres poradnictwa zawodowego dla rolników i likwiduje się istniejący dotychczas system kształcenia rolników. W tym kontekście stawka na rolnictwo ekologiczne może być jakąś alternatywą dla drobnej części gospodarstw, podczas gdy zdecydowana większość musi walczyć o uzyskanie opłacalności swojej produkcji, przez jej mechanizację, uczenie się korzystania z nowoczesnego nasiennictwa, nowoczesnych środków ochrony roślin i (co może okazać się najtrudniejsze) nowoczesnych form księgowości, pakowania, analizy rynku, itp. Nie są to zmiany, które na polską wieś mogą przyjść same, wyłącznie w wyniku działania niewidzialnej ręki rynku.

„Przez dziesięciolecia obserwowaliśmy antyrolniczą politykę. Z eksportu płodów rolnych ściągano haracz na finansowanie cherlawego przemysłu, wprowadzono państwowe monopole ograniczające rozwój gospodarstw. Dziś szkody zostały dokonane, głównie poprzez zaniedbania; brak wiejskiej infrastruktury, co ogranicza dostęp do rynku, zacofanie w dziedzinie badań i technologii..." – ten cytat z pisma *Eco-*

nomist jest opisem sytuacji w rolnictwie afrykańskim, ale w pełni odpowiada również sytuacji w rolnictwie polskim. Ostatnie półwiecze przyniosło rewolucję w rolnictwie. Dzięki sztucznym nawozom, środkom ochrony roślin, nowoczesnemu nasiennictwu itp. plony wzrosły wielokrotnie. Oczywiście ta szeroko pojęta zielona rewolucja miała również swoje negatywne strony. Nadmierne nawożenie i masowe stosowanie środków owado- i grzybobójczych powodowało często skażenie środowiska, nazbyt intensywna melioracja spowodowała trudne dziś do naprawienia szkody. Monokulturowe rolnictwo prowadziło do zakłóceń równowagi ekologicznej. Równocześnie dzisiejsze rolnictwo bije wszystkie rekordy. Teoretycznie może wyżywić nie tylko sześć miliardów żyjących dziś ludzi, ale znacznie więcej. Największy niepokój budzi perspektywa niedoborów wody, ale coraz częściej twierdzi się, że klęski głodu są raczej konsekwencją złej polityki niż ograniczonych możliwości rolnictwa. Dzisiejsze rolnictwo jest jednak w takim samym stopniu sprzężone z nauką jak dzisiejszy przemysł. Rolnik na co dzień korzysta z laboratoriów, w nawadnianiu i nawożeniu coraz częściej wykorzystuje się komputery, firmy zajmujące się nasiennictwem coraz częściej wchodzą w fuzję z wielkimi firmami farmakologicznymi. Kolejne odmiany nasion nie tylko pozwalają na ograniczenie stosowania środków owadobójczych, ale modyfikują wartości odżywcze i smakowe roślin. Na tym tle wizja polskiego „ekologicznego" rolnictwa (w szczególności kiedy zgłasza ją nie tylko historyk, ale również fachowcy zajmujący się problemem polityki rolnej zawodowo) jest po prostu przerażająca, sprawia wrażenie propozycji produkowania komputerów w kuźniach.

Właściwie podobne kłopoty sprawia przedstawiona przez profesora Wyczańskiego koncepcja rozwiązania problemu kopalni węgla. Zacznijmy może od interesującej anegdoty– dwadzieścia lat przed rozmowami Okrągłego Stołu, Józef Kuśmierek napisał serię świetnych artykułów na temat problemów z polskim przemysłem węglowym. Na dwie godziny przed rozmowami przy górniczym podstoliku, zgłoszono się do Kuśmierka z prośbą, aby reprezentował stronę solidarnościową, chory z wściekłości dziennikarz odmówił. Napisał wówczas tekst nie o węglu, a o technikach przygotowywania się do negocjacji.

Możliwości wykorzystania węgla w bardziej nowoczesny sposób są rozważane od dziesięcioleci. Ponieważ Polska jest węglowym potentatem winno nas to interesować bardziej niż innych. Oczywiście badania kosztują, a na badaniach się u nas oszczędza. Nie wiem jaki jest obecnie stan badań nad zgazowywaniem węgla, jakich inwestycji wymagałoby rozpoczęcie wykorzystania tej technologii na masową skalę i czy byłaby szansa na zainteresowanie takimi inwestycjami zagranicznych inwestorów (małe prawdopodobieństwo aby udało się tu zaangażować rodzimy kapitał). Są to pytania, na które zapewne jacyś specjaliści znają już odpowiedź. Chwilowo zapotrzebowanie na węgiel na rynkach międzynarodowych jest małe, koszty wydobycia w naszych kopalniach horrendalne, a same kopalnie są w większości przestarzałe i dalsze wydobywanie węgla w tych kopalniach wymagałoby ich radykalnej modernizacji, w którą nikt nie chce ładować pieniędzy. Oczywiście może się okazać, że mamy tu sytuację podobną jak w przemyśle stoczniowym – kiedy wszyscy stocznie zamykali, Koreańczycy budowali nowe. Nie można wykluczyć, że ktoś znajdzie sposób na to, aby węgiel okazał się ponownie cennym surowcem i to dopiero wówczas, kiedy nasze kopalnie zostaną skutecznie zamknięte.

Problem, jak sądzę, polega na tym, że mizerna działalność naszych ośrodków badawczych i naszych technicznych laboratoriów, skreśla nas praktycznie rzecz biorąc z listy kandydatów na pionierów zarówno w tej dziedzinie, jak i w wielu innych. Innym problemem jest sam sposób poszukiwania rozwiązań czy to rozwoju wsi i rolnictwa, czy to górnictwa. W obydwu przypadkach mamy do czynienia z konfrontacyjną techniką opracowywania planów restrukturyzacji. W sprawach, w których zaangażowane są żywotne interesy dużych grup społecznych nie da się uniknąć konfliktów, ale też wytyczanie przyszłości dużych dziedzin gospodarki narodowej w drodze ustawicznej szarpaniny i wyłącznie w oparciu o ekspertyzy ideologicznie zaangażowanych fachowców, nie daje nadziei na znalezienie optymalnych rozwiązań. Nie wiem jaka jest przyszłość węgla jako surowca. Wiem natomiast, że obecne techniki poszukiwania rozwiązań dla naszego górnictwa węglowego pozostawiają wiele do życzenia, chociaż można powiedzieć, że są o niebo

lepsze od technik poszukiwania optymalnej strategii rozwoju wsi i rolnictwa.

Problem budowy autostrad wydaje się być kolejnym problemem natury ideologicznej i tu zgadzam się z każdym słowem Autora. Podejrzewam, że mamy tu do czynienia z chorobliwym lękiem przed angażowaniem państwowego kapitału w inwestycje gospodarcze. Łatwiej jest zaangażować państwowe środki w Telewizję Familijną, aniżeli w finansowanie robót publicznych, tworzących infrastrukturę dla gospodarki rynkowej. Powie ktoś, że ten przykład jest nieuczciwy, gdyż chodzi o dramatycznie różne wielkości potrzebnego na te cele kapitału. Prawda, finansowanie nowej stacji telewizyjnej wymaga znacznie mniejszych nakładów, aniżeli budowa autostrad, ale warto pamiętać, że redukcja bezrobocia nawet o dwa, czy trzy procent, to również bardzo poważne zmniejszenie obciążeń budżetu państwa, zaś uruchomiona aktywność zaangażowanych do budowy autostrad przedsiębiorstw budowlanych, to i wpływy do budżetu, i wzrost popytu na produkty tak przemysłu maszynowego, jak i np. producentów cementu. Twierdzi się, że tych pieniędzy fizycznie nie ma. Ponownie jest to dyskusyjne. Spierać się tu można zarówno o tempo zmniejszania deficytu budżetowego (co innego zaciąganie kredytu na dodatkowe świadczenia socjalne, co innego na inwestycje w infrastrukturę), można również poważnie dyskutować na temat sensu utrzymywania tak wysokich jak obecnie rezerw walutowych. Jestem głęboko przekonany, że założenie, iż budowa autostrad musi być od początku do końca sfinansowana przy pomocy prywatnego kapitału, jest w dzisiejszych polskich warunkach nieporozumieniem.

Trudno się również nie zgodzić z przedstawioną przez profesora Wyczańskiego prezentacją problemu prywatyzacji. Ideologia prywatyzowania wszystkiego przyszła do nas z Zachodu, gdzie jednak większość przedsiębiorstw znajdowała się w rękach prywatnych, a znacjonalizowane działy gospodarki prywatyzowano stopniowo i głównie w oparciu o rodzimy kapitał. W Polsce państwowe było wszystko, włącznie z budkami z piwem, rodzimy kapitał nie istniał, a ten, który zaczął się szybko pojawiać, nie bez powodu podejrzewany był o powiązania z aferami korupcyjnymi i zorganizowaną przestępczością. Afery wokół prywatyzacji dużych i dobrych przedsiębiorstw ujawniane były czasem przez prasę, były to jednak sprawy dość odległe od bezpośrednich doświadczeń szarego człowieka. Bodaj najbardziej skandaliczne formy przybierała prywatyzacja PGR-ów i przedsiębiorstw związanych z obsługą rolnictwa. Z jednej strony źle przygotowany proces likwidacji tych przedsiębiorstw prowadził do masowego niszczenia i grabienia byłej własności państwowej lub spółdzielczej, z drugiej, równie masowym zjawiskiem była tu korupcja i zawłaszczanie tego mienia, czy to przez byłych notabli komunistycznych, czy przez nowe elity władzy. Obserwacja tych zjawisk musiała rzutować i rzeczywiście rzutowała na ocenę całego procesu prywatyzacji przez społeczeństwo. Zapewne nigdy już się nie dowiemy, czy w dotychczasowym procesie prywatyzacji więcej szkód spowodowanych zostało przez korupcję, czy przez niekompetencję. Tak czy inaczej, aż nazbyt często proces ten przypominał zjawiska obserwowane w byłych koloniach – przejmowanie własności kolonialistów przez niepodległe już, ale jeszcze nie całkiem dojrzałe rządy; skandaliczna dewastacja przejmowanego mienia i bezwstydne grabienie tego mienia przez nowe elity władzy.

Centralne pytanie profesora Andrzeja Wyczańskiego – jak zostać prawdziwym partnerem w rodzinie państw, którę zdecydowały się na bliską współpracę gospodarczą bez zawieszania swojej suwerenności politycznej i wzajemnej konkurencji – nie jest, jak mi się wydaje, pytaniem o wybór takiej czy innej specjalizacji (chociaż warto się nad tym w różnych dziedzinach zastanawiać) ale raczej o cele i strategie negocjowania naszego wejścia i dalszego uczestnictwa w tej rodzinie, ustalane w oparciu o analizę stanu obecnego i faktycznych, a nie tylko postulowanych, możliwości jego zmiany. Tak jak jedną z największych wad komunizmu był jego doktrynerski charakter, tak i dziś istnieje realna groźba doktrynerskiego podchodzenia do znacznie ciekawszej niż komunizm propozycji uczestnictwa w globalnej gospodarce rynkowej. Chwilowo, aby nasi politycy byli partnerem na globalnej, czy chociażby tylko unijnej scenie, pierwszym warunkiem jest wzmocnienie ich legitymacji władzy. Sam fakt, że po dziesięcioleciach jest to ponownie władza pocho-

dząca z autentycznych i nie kwestionowanych wyborów nie zmienia faktu, że jest to władza ciesząca się bardzo słabym autorytetem. Jest to nie tylko efekt fatalnej ordynacji wyborczej z dziurawym progiem dla kanapowych partii politycznych, ale i poziomu cynizmu oraz stopnia korupcji klasy politycznej. Obecnie kolejne, szumnie ogłaszane strategie dla Polski wzbogacają nasze archiwa, zaś polityka państwa wyłania się w wyniku politycznych przepychanek. W tej sytuacji wypracowanie wizji naszej drogi do Unii Europejskiej i naszego miejsca w tej Unii jest bardzo trudne, by nie powiedzieć niemożliwe.

Andrzej KORASZEWSKI

Moskwa-Krym. Wrażenia z podróży (II)

Moskwa oferuje przybyszowi wyjątkowe bogactwo muzeów, wystaw, galerii sztuki, repertuar przedstawień teatralnych i rozrywek. Gdy chodzi o zmiany dokonane na przestrzeni ostatnich dziesięciu lat, miarodajnej informacji dostarczają wystawy. W rezerwacie muzeów „Moskiewski Kreml" – Dzwonnica Iwana Wielkiego zorganizowano wystawę pt. „Dziedzictwo Waregów – dialog kultur". W czasach wszechwładnej sowieckiej cenzury temat wystawy byłby nie do pomyślenia. Oficjalna historiografia sowiecka zwalczała pogląd o jakichkolwiek skandynawskich wpływach na Ruś. Teraz związki te zilustrowane zostały przepiękną wystawą opartą zarówno na eksponatach szwedzkich i ruskich. Podczas prac archeologicznych prowadzonych na terenie kremlowskiej twierdzy w 1988 r. znaleziono skarb złożony z trzystu pozłacanych srebrnych przedmiotów, które świadczą niezbicie o wpływach stylu późnej epoki wikingów z wyspy Gotland. Sensację wywołała wystawa w Muzeum Sztuk Plastycznych im. A. Puszkina (Muzei Izobrazitelnych Iskusstw im. A.S. Puszkina) pod eufemistycznym tytułem „Przemieszczone wartości kulturalne". Chodzi oczywiście o arcydzieła malarstwa europejskiego wywiezione z Niemiec do Związku Sowieckiego po zakończeniu wojny. Wystawa odbiła się głośnym echem w prasie światowej. Dając publiczności okazję do obejrzenia Cranachów oraz obrazów innych wybitnych malarzy, Rosjanie nie tylko przyznali się otwarcie do rabunku, ale i niejako tą wystawą ten rabunek usankcjonowali. Podobno Jelcyn chciał te dzieła sztuki zwrócić, ale Duma zablokowała

jego zamierzenia tłumacząc to tym, że szkody wyrządzone Rosji podczas drugiej wojny światowej znacznie przekraczają wartość przywiezionych obrazów. Można i tak, ale spacerując po sali wystawowej trudno było oprzeć się dwojakiej reakcji – cieszyć się z powodu obejrzenia dzieł, które zawsze chciało się zobaczyć i po drugie, zdumienie, że tak otwarcie i bezkarnie można przyznawać się do kradzieży.

Muszę z przyjemnością odnotować, że podczas kilkakrotnego pobytu w Moskwie, gospodyni, która udzieliła mi gościny, pani Galina Władimirowna, zadbała o to, abym poznał to miasto lepiej. Dzięki niej natknąłem się też na pierwsze ślady polskości. Otóż jej teść, gen. Siwicki (nie mylić z późniejszym i bodajże ostatnim ministrem obrony narodowej PRL-u) należał do ekipy marszałka K. Rokossowskiego, która przeniesiona została „do pracy" w Wojsku Polskim. Był zrusyfikowanym, czy może należałoby powiedzieć zsowietyzowanym Polakiem, ale wciąż miał mocne poczucie swego polskiego pochodzenia, które „odnowił" przez małżeństwo z Polką w ostatnim roku wojny. Pani Galina pokazuje mi prywatne zdjęcia rodzinne: teść generał w polskim mundurze – najczęściej z Rokossowskim. Próbuję doszukać się śladów polskiej świadomości u wnuka i wnuczki generała, ale dla nich jest to sprawa bezprzedmiotowa, nie mająca znaczenia: są całkowicie zrusyfikowani, a wnuczka (poznałem ją wcześniej w Japonii) nie kryje się nawet z wyraźną niechęcią do wzmianki o jej polskich korzeniach. Tłumaczy to tym, że „babcia zbyt natarczywie chciała narzucić nam polskość, spolonizować", co miało wywołać skutki odwrotne. Niechęć do Polski i Polaków zauważyłem zresztą u wielu Rosjan, szczególnie tych, którzy w Polsce nie byli lub z Polakami się nie stykali. Dość rozpowszechniony jest stereotyp Polaka jako kogoś o niezmiennym nastawieniu antyrosyjskim. Niestety prasa rosyjska często przyczynia się do tego, aby ten stereotyp podtrzymać. Stało się to szczególnie oczywiste w okresie starań Polski o przystąpienie do NATO. Dołączył się tu jeszcze element rzekomej „zdrady", zdrady „solidarności słowiańskiej" oraz motyw „niewdzięczności", który da się mniej więcej ująć w zdaniu „myśmy was wyzwolili, a wy teraz od nas się odwracacie i łączycie się z naszymi nieprzyjaciółmi". Pewien znany profesor-historyk z Uniwersytetu Moskiewskiego (przyjaźnie zresztą nastawiony do Polaków) w wystąpieniu na temat stosunków polsko-rosyjskich po zmianach w układach politycznych ostatniego dziesięciolecia w Europie Środkowo-Wschodniej, mówił z pewnym żalem o tym, że po wielu doświadczeniach ostatnich dziesięcioleci Rosjanie spodziewali się, że pójdziemy wspólną drogą, że pozostaniemy razem „na dobre i złe", ale spotkało ich srogie rozczarowanie. Niestety w takich rozważaniach Rosjanie pomijają milczeniem kwestię dziedzictwa zaborów, oraz politykę dominacji, przemocy, przymusu, charakteryzujące historię nowoczesną. Narzucona przyjaźń przynosi rezultaty odwrotne do zamierzonych, nie prowadzi bowiem do partnerstwa, lecz wywołuje wrogość, a w najlepszym wypadku nieufność. Prelegent skwitował jednak ten temat przezornym milczeniem.

Pracując w archiwach RGALI (Rossijskij Gosudarstwennyj Archiv Literatury i Iskusstw, dawny CGALI) odstępowałem niejednokrotnie od ustalonego projektu badań i zaglądałem do katalogów pisarzy nie mających bezpośredniego odniesienia do moich zainteresowań. Na podstawie tych sporadycznych odchyleń doszedłem do wniosku, że poloniści czy rusycyści mieliby tam wciąż sporo roboty; natknąłem się bowiem na nieznane (tak mi się przynajmniej wydaje) dowody związków literackich polsko-rosyjskich. Czy staramy się ten właśnie aspekt stosunków polsko-rosyjskich odpowiednio wykorzystać i wzbogacić? A w związku z tym nasunęło mi się jeszcze jedno pytanie: chlubimy się Józefem Konradem Korzeniowskim, często wspomina się polskie pochodzenie Guillaume'a Apollinaire'a, pisze się o Jerzym Kosińskim, a dlaczego nie staramy się zabrać solidnie do przedstawienia wkładu Polaków do kultury rosyjskiej? Pytanie to zadałem sobie, kiedy przypadkowo natknąłem się w jednej z moskiewskich księgarni na wspomnienia Wacława Dworzeckiego (1910-1993), urodzonego w Kijowie szlachcica, wybitnego aktora i reżysera rosyjskiego, który zaliczany jest do najwcześniejszych więźniów GUŁAGU (wyrzucony z Komsomołu „z powodu pochodzenia społecznego" i aresztowany po raz pierwszy w 1929 r. za udział w organizacji studenckiej pod nazwą Grupa Wyzwolenia Osobowości), spędził w jego najcięższych ośrodkach ponad trzynaście lat, organizując jednocześnie wśród więźniów życie teatralne i kulturalne. Nic

nie złamało tego człowieka – ani ciężka praca w nieludzkich warunkach, ani zastraszanie czy szantaż, ani przesłuchiwania czy tortury i karcery. Przebywając poza więzieniem (bo określenie „na wolności" wyraźnie tu nie pasuje) zagrał w ponad trzystu rolach filmowych i teatralnych, wystąpił w 92 filmach. W 1990 r. nadano mu tytuł Ludowego Artysty Rosyjskiej Federacji. Co imponuje w postawie tego człowieka i artysty to przede wszystkim jego niezłomność, poczucie swojej prawości i obrona ludzkiej godności w obliczu zbrodni; a sztuki aktorskiej uczył się pan Dworzecki w studium teatralnym przy polskim teatrze w Kijowie. Dlaczego nie przywiązujemy należytej wagi do osiągnięć Polaków na Wschodzie? Czyżbyśmy i dziś traktowali ich jako rodaków drugorzędnej kategorii? Oczywiście może tu odstraszać przykład Feliksa Dzierżyńskiego czy prosowiecka postawa Brunona Jasieńskiego, ale w tym wypadku nie mówimy przecież o Polakach „w służbie Moskali" jak to formułuje profesor Andrzej Chwalba w skądinąd ciekawej książce pod takim właśnie tytułem (W-wa, PWN, 1999). Chodzi o zupełnie inny, z pewnością pozytywny aspekt tych stosunków. Mam na myśli Polaków, którzy bez przymusu, z własnej woli, lub pozbawieni możliwości powrotu do kraju, decydowali się pracować w kręgu kultury rosyjskiej i jej języka. Wydaje się, że w nowej sytuacji, kiedy zdjęto z tych stosunków oficjalną pieczęć, która sankcjonowała, narzucała przyjaźń, należy szukać takiej płaszczyzny porozumienia, która będzie przemawiać swą autentycznością i pozostawać zarazem wolną od taniego, czasami sztucznego rusofilstwa. Wszystko wskazuje na to, że tworząc w ramach kultury rosyjskiej, twórcy polskiego pochodzenia nie byli „na służbie", lecz właśnie często należeli do nurtu, który podważał stabilność totalitarnego systemu i stawał się sojusznikiem tych Rosjan, którzy walczyli o wprowadzenie w swym kraju przemian demokratycznych. Może nie zawsze jest to tak oczywiste jak w przypadku Dworzeckiego, są przykłady ambiwalentne jak chociażby działalność krytyka i teoretyka rosyjskiego konstruktywizmu literackiego Kornela Zielińskiego, którego poeta I. Selwinskij charakteryzował w jednym z listów jako „polskiego szlachcica" mającego duże powodzenie u kobiet, ale w sumie nurt taki istnieje. Jurij Olesza nie wyjechał z rodzicami do Polski po rewolucji, lecz pozostał w Rosji i stał

się jednym z najwybitniejszych pisarzy lat dwudziestych. Jego powieść „Zawiść" (1927) zrobiła światową karierę, ale przez długie lata pozostawała w Związku Sowieckim na indeksie; wznowiono ją dopiero w okresie odwilży. Komu jest dziś w Polsce wiadome, na przykład, że wybitny rosyjski filozof Gustaw Szpet był z pochodzenia Polakiem i napisał szereg znakomitych prac filozoficznych, m.in. przenoszących na grunt rosyjski fenomenologię E. Husserla? Rozprawy filozoficzne Szpeta kształtowały założenia teoretyczne niektórych kierunków literackich i wywarły wpływ na badania w zakresie lingwistyki (m.in. R. Jakobsona). Ciekawe, że wkrótce po rewolucji Litwini namawiali go, aby przeniósł się na Litwę. Bliski przyjaciel Szpeta Jurgis Baltruszajtis, ówczesny poseł Litwy w Moskwie, zapewniał Szpetowi i jego rodzinie litewskie obywatelstwo i bezpieczny przejazd do Wilna. Szpet odmówił. Rozstrzelany w Tomsku 16 listopada 1937 r. wolał dzielić los wielu swoich wybitnych kolegów. Przykłady polskiej obecności w kulturze rosyjskiej można mnożyć (przypomnijmy chociażby wybitnego poetę Władysława Chodasiewicza), ale i te przytoczone tutaj są dosyć wymowne.

W odróżnieniu od moich wizyt moskiewskich, podróż do Symferopola w celu wzięcia udziału w konferencji na tamtejszym uniwersytecie, traktowałem głównie jako okazję do zapoznania się z Krymem, półwyspem na zawsze związanym z imieniem Adama Mickiewicza i wyróżniającym się niespotykanym chyba bogactwem etnicznej mozaiki. Współistnieją tu obok siebie i krzyżują się ze sobą rozmaite kultury: chrześcijańska, muzułmańska, żydowska, przy czym w odróżnieniu od Kanady czy Stanów Zjednoczonych, każda z nich ma na tym półwyspie długą historię. Tuż po wylądowaniu w Symferopolu gospodarze prowadzą mnie do Muzeum Etnograficznego Krymu. Jest to placówka stosunkowo nowa. Jej kurator, p. Julia Siemionowna Wajengol, z pochodzenia Żydówka, tłumaczy według jakich kryteriów urządzono stałą wystawę eksponatów. Otóż zdecydowano zaprezentować te narodowości, które osiedlały się na Krymie najwcześniej, a więc Ormianie, Grecy, Krymczacy, Bułgarzy, krymscy Tatarzy, Karaimi, Czesi (głównie z Moraw), Niemcy, safardyjscy Żydzi, Estończycy, Rosjanie, Ukraińcy i Białorusini. Ilość przedmiotów mających zaprezentować ich obyczaje i sposób

życia jest skromna, muzeum boryka się z olbrzymimi trudnościami finansowymi i dlatego inne grupy etniczne muszą na swoje wystawy poczekać. Jak w tym wielokulturowym układzie wygląda mniejszość polska? W odpowiedzi na to pytanie pomogło mi pośrednictwo rosyjskie, szczególnie zaś Krymskie Centrum Badań Humanistycznych oraz Krymskie Republikańskie Muzeum Krajoznawcze. Parę słów o Centrum. Powstałe w 1994 r. jest dziś jednym z najciekawszych rosyjskojęzycznych ośrodków badawczych. Jego założycielem i dyrektorem jest profesor Władimir Pawłowicz Kazarin, człowiek o niespożytej energii, dynamice działania, niewyczerpanej pomysłowości i pełni optymizmu. Potrafi zarazić swym entuzjazmem innych. Organizuje dziesięć, a niekiedy i więcej konferencji oraz sympozjów naukowych rocznie. Przedmiotem tych spotkań, najczęściej z udziałem naukowców z zagranicy, jest literatura, socjologia, polityka, twórczość pisarzy związanych z Krymem. W 1998 roku przeprowadził konferencję poświęconą dwóchsetnej rocznicy urodzin A. Mickiewicza. W marcu bieżącego roku planuje zorganizowanie drugiej konferencji o tematyce Mickiewiczowskiej, zaś w lutym ma się odbyć międzynarodowa konferencja poświęcona układowi jałtańskiemu. Wspominam o tym, gdyż o profesorze Kazarinie z pewnością jeszcze usłyszymy. Obecnie pracuje on nad stworzeniem filii Uniwersytetu Moskiewskiego w Sewastopolu i jest jego pierwszym rektorem.

Gdy chodzi o Muzeum Krajoznawcze, to wyjątkową pomoc okazały mi panie z „pokoju nr 30" – czyli oddziału znanego pod nazwą „muzeum Sielwinskiego". Stulecie urodzin tego pisarza właśnie obchodzono w ubiegłym roku. Ludmiła Dajneko – kierowniczka oddziału, Irina Dobrowolskaja, Oksana Kriworuczko, udzieliły mi wręcz nieocenionej pomocy i uczyniły pobyt na Krymie niezapomnianym przeżyciem. To właśnie p. Ludmiła zorganizowała dla mnie wycieczkę „Śladami Mickiewicza". Za przewodnika dano mi p. Władimira Gurkowicza, wspaniałego znawcę półwyspu, autora licznych prac poświęconych jego historii i kulturze, laureata nagrody państwowej Republiki Krym. Zna każdy zakątek Krymu. Ruszamy w kierunku Sewastopola, ale celem naszym jest Bachczysaraj. Na przedmieściach Symferopola widzę z daleka zbliżający się do nas po środku szosy inwalidzki wózek. Siedzi na nim ubrany w wojskowy mundur i udekorowany orderami beznogi oficer; popycha go młoda kobieta. Kiedy samochody zatrzymują się przed światłami, zbliżają się do drzwi i szyb z wyciągniętą ręką. Pytam czy to ofiara wojny afgańskiej lub też niedawnego konfliktu czeczeńskiego. Nikt nie umie odpowiedzieć.

Z wygodnego audi oglądam krajobraz, a p. Gurkowicz opowiada historię i legendy Krymu, komentuje nazwy mijanych miejscowości. To tędy jechała Katarzyna Wielka, kiedy odwiedziła Krym. W polach dostrzegam dużo nowych domów, większych lub mniejszych, niekiedy bardzo wystawnych, z owalnymi oknami i krużgankami, co wyraźnie wskazuje już na elementy wschodniej architektury. Pytam do kogo te domy należą, kto w nich mieszka? To Tatarzy. Wracają z zesłania na Krym, domagają się zwrotu ziemi, którą uważają za swoją. Często są w swych żądaniach agresywni, budują „na dziko", bez zezwolenia, nie zważając na to, że teren nie zawsze nadaje się do zabudowań. Skutki stalinowskich czystek etnicznych wciąż trwają. Docieramy do Bachczysaraju. Z daleka w jaskrawym słońcu dostrzegam strzeliste wieżyczki minaretów. Za chwilę zatrzymujemy się przed dawnym pałacem chanów tatarskich, a dziś muzeum ich dawnej świetności. „To tędy, dokładnie tą trasą szedł Adam Mickiewicz" – tłumaczy Gurkowicz i pokazuje na pnącą się w górę, ubitą z kamieni i piachu drogę. Zaczynamy od zwiedzania cmentarza, podwórka, zatrzymujemy się przy słynnej „Fontannie płaczu", przechodzimy do komnat głównego budynku i haremu. Przy wyjściu spotyka nas dyrektor muzeum, oczywiście dobry znajomy mojego przewodnika. Kiedy dowiaduje się, że jestem Polakiem z Kanady, przynosi mi w podarunku wielki plakat z reprodukcją znanego obrazu Mickiewicza pędzla Walentego Wańkowicza (1828). W 1998, przy współpracy z Muzeum Adama Mickiewicza w Warszawie, Tatarzy uczcili dwóchsetną rocznicę urodzin polskiego poety „Dniami Mickiewicza w Bachczysaraju" oraz wielką wystawą w Pałacu Chanów. Na plakacie w czterech językach (tatarskim, polskim, ukraińskim i rosyjskim) napis: „Adam Mickiewicz na Krymie. Wystawa w Pałacu Chanów w Bachczysaraju. 23 maja – 1 października 1998 r." Podobno Tatarzy utrzymują z Polską świetne kontakty.

Bachczysarajską wystawę odwiedziła z odczytem p. Urszula Doroszewska z Instytutu na Rzecz Demokracji w Europie Wschodniej.

Próbuję dowiedzieć się jaki udział w tym wszystkim miała krymska Polonia. Dzięki pośrednictwu pań z „pokoju nr 30" udaje mi się szybko nawiązać kontakt z prezeską Stowarzyszenia Polaków na Krymie (Krymskoje Drużestwo Poljakow) p. Józefą Krawiec. Niestety udział miejscowych Polaków w różnych imprezach jest minimalny z uwagi na brak pieniędzy. Uroczystości Mickiewiczowskie nie stanowiły pod tym względem wyjątku. „Przecież to my powinniśmy byli organizować akademie i zapraszać gości – sądzi p. Krawiec, – a tymczasem zrobili to Tatarzy i zaprosili nas. Schowaliśmy swoją dumę i przyjęliśmy zaproszenie". Stowarzyszenie nie otrzymuje żadnej pomocy od państwa ukraińskiego i wydaje się, że nie jest ono w tej chwili zainteresowane w finansowaniu nawet najbardziej elementarnych potrzeb mniejszości etnicznych. W Polsce rząd zapewnia przynajmniej bezpłatne pomieszczenia dla prowadzenia bieżącej działalności administracyjnej, na Ukrainie nie ma i tej formy wsparcia. Na Krymie mieszka około 10.000 „czystych", jak to określa p. Józefa, Polaków, ale do polskiego pochodzenia przyznaje się ponad 150 tysięcy mieszkańców, czyli około 7% całej ludności*. Do Stowarzyszenia należą nie tylko Polacy. „Przyjmujemy wszystkich – wyjaśnia p. Józefa – komu bliska jest kultura polska". Niestety Polacy na Krymie nie należą do ludzi zamożnych, większości doskwiera nędza, brak pieniędzy jest przeszkodą także w nawiązywaniu kontaktów między sobą, dezintegruje środowisko. Starsza kobieta nie może nawet zaprosić księdza do siebie bo wstydzi się przyznać, że nie mogłaby mu zaproponować szklanki herbaty. Znacznie lepiej zorganizowani są Żydzi. Stworzyli tzw. „Ciepły Dom", który udziela pomocy najbardziej potrzebującym, nie tylko zresztą Żydom, łącznie z dostarczaniem bezpłatnych lekarstw, ale też mogą oni liczyć na dopływ funduszy z zagranicy.

* Ze źródeł zasługujących na zaufanie można ilość Polaków szacować na maksimum 8-10 tysięcy. Trzeba jednak wziąć pod uwagę, że ostatni spis ludności miał miejsce w 1989 r. a więc w okresie istnienia ZSSR. Nowe dane otrzymamy w roku 2001, na który jest planowany spis (red.).

Sukces Żydów stał się bodźcem do podjęcia pytania czy nie należałoby stworzyć na Ukrainie jednej wielkiej organizacji polonijnej, obejmującej także południe, a więc coś na wzór Kongresu Polonii Amerykańskiej czy Kongresu Polonii Kanadyjskiej.

W całej Ukrainie istnieją dwie polskie organizacje: Związek Polaków na Ukrainie oraz Federacja Polskich Organizacji na Ukrainie, ale działają one głównie na byłych kresach i w centralnej części kraju. Południe czuje się od nich odcięte. Mimo braku należytej współpracy Stowarzyszenie Polaków ma interesujące plany na przyszłość związane z działalnością Polaków na Krymie. Pozostaje to w zgodzie z lokalnym charakterem Stowarzyszenia. Oczywiście naszym wielkim atutem jest Mickiewicz. Pani Józefa uważa np., że pamięć o Mickiewiczu nie została przez mieszkańców Krymu odpowiednio uczczona. Postawiono dotychczas tylko jedno skromne popiersie poety pod Aju-dahem niedaleko miasteczka Gurzuf. W Jewpatorii, gdzie podobno poeta wylądował, należałoby wystawić, zdaniem p. Józefy, naszemu wieszczowi przyzwoity pomnik. Intencją Stowarzyszenia jest też organizowanie w przyszłości stałych wycieczek turystycznych, także dla rodaków z kraju, pod nazwą „szlakiem Mickiewicza" i należałoby w związku z tym taki szlak ustalić. Pani Józefa jest osobą bardzo oddaną życiu polonijnemu i chyba ma rację kiedy mówi z pewnym zażenowaniem „Jesteśmy lepszymi Polakami niż Polacy w kraju bo nam na wszystkim co polskie bardzo zależy".

Mój pobyt na Krymie dobiega końca. Jeszcze przed odjazdem wpadam do biblioteki Krymskiego Muzeum Krajoznawczego i tu niespodzianka: bibliotekarka przynosi mi jedną z pierwszych, jak zapewnia, książkę o Krymie, pióra Marcina Broniewskiego (Martini Broniovi). Król Stefan Batory wysłał go z misją poselską na Krym. Był podobno jedynym obcym gościem, któremu Tatarzy zezwolili obejrzeć swoje składy nowej broni. Pierwsze wydanie jego książki ukazało się w 1595, zaś drugie w 1630. Biblioteka posiada to ostatnie.

Próbuję podsumować swoje wrażenia z podróży na Wschód. Jechałem do Rosji z dużym ładunkiem nieufności, uprzedzeniami i obawami utrwalonymi doświadczeniami z lat

dzieciństwa, ale koszmar owych lat pozwolił mi również szybko zbliżyć się z tymi ludami i nawet w jakiś sposób z nimi się identyfikować. Co najbardziej mnie uderzyło to to, że pod zewnętrzną warstwą (powłoką) postępu cywilizacyjnego kryje się nadal bieda, a w życiu codziennym dzisiejszych Rosjan dostrzegam wiele cech, które pamiętam z lat dzieciństwa, tzn. niekończące się trudności, niewygody egzystencji połączone z brakiem troski o człowieka. Sądzę, że Rosja wciąż cierpi na brak jasnej tożsamości: rozpostarta na dwóch kontynentach nie może się zdecydować do jakiego świata należy. Jej terytorialna nieokreśloność (gdzie tak naprawdę Rosja się zaczyna i gdzie się kończy?) wywołuje paranoiczną podejrzliwość i skłonność do agresji, zaborczości wobec innych, ale przede wszystkim uniemożliwia skoncentrowanie się na swoim wnętrzu, tzn. na znalezieniu takiej misji, która by faworyzowała troskę o własnych obywateli, dążyła do zapewnienia im godziwej i dostatniej przyszłości. Mimo tych krytycznych obserwacji, każdorazowo wracałem stamtąd z rosnącym optymizmem. Przezwyciężanie okresu chaosu i „smuty" będzie czymś długotrwałym, ale wątpię, aby procesy zapoczątkowane w latach dziewięćdziesiątych dały się powstrzymać.

Edward MOŻEJKO

...lecz koniec żałosny

Począwszy od roku 1994, wartość złotego realnie prawie nieustannie rośnie względem ważniejszych walut zagranicznych. Doświadczam tego na własnej skórze. Moja (austriacka) pensja rośnie szybciej niż ceny w Austrii. W Austrii mogę za nią kupić coraz więcej. W Polsce, za ową rosnącą pensję mogę jednak teraz kupić dużo mniej niż sześć lat temu. Towary i usługi w Polsce drożeją dużo szybciej niż austriacki szyling w kantorach – realnie złoty się umacnia. Ma to taki skutek, że przy okazji pobytów w Polsce kupuję coraz mniej – coraz więcej rzeczy jest tańszych w Wiedniu niż w Warszawie. Stara mądrość: „...tam zarabiać – tu wydawać..." systematycznie traci na ważności. W moim przypadku aktualna staje się maksyma „tam zarabiać – i tamże wydawać". Gdyby jednak sprawy toczyły się tak jak dotychczas, to w dość nieodległej przyszłości opłaciłoby mi się pracować w Warszawie – a zakupy robić w Wiedniu. Taki rozwój wydarzeń byłby mi niezwykle miły (klimat nad Dunajem nie jest dobry). Nie jest on jednak realistyczny. W moim przekonaniu era „mocnej złotówki" dobiega końca. W nieodległej przyszłości skończy się ona – dla przeciętnego Polaka – raczej żałośnie.

Mięśnie i tłuszcz

Umacnianie się waluty bywa naturalną konsekwencją wzrostu konkurencyjności. W ciągu czterech powojennych dekad (mniej więcej od roku 1950) marka niemiecka zyskała na wartości (względem dolara) – ponad dwukrotnie. W latach

50-tych za jednego dolara płacono średnio ok 4,2 DEM – dziś ok. 2 DEM. Jeszcze bardziej wzmocniła się w tym czasie waluta japońska – od poziomu 360 jenów za dolara, do ok. 120 w latach 90-tych. Oba kraje startowały z kiepskich pozycji. Miały niewiele do zaoferowania w eksporcie do USA, potrzebowały zaś wielkiego importu (jaki w owych czasach mógł pochodzić przeważnie z USA). W efekcie, ich deficyt w handlu z USA był bardzo duży. Polityka gospodarcza (różna w każdym z tych krajów) przyspieszała jednak wzrost wydajności – a zwłaszcza konkurencyjności – względem USA. Przejawiło się to wpierw w zrównoważeniu obrotów handlowych z USA – a następnie w rosnących, gigantycznych nadwyżkach ich handlu z USA – i całym światem zresztą. „Nadmiar" dolarów uzyskiwanych przez Japonię i Niemcy dzięki handlowi zagranicznemu powodował, i uzasadniał, rewaluację jena i marki. Wzmacnianie się walut Japonii i Niemiec miało więc solidną podstawę w rosnących nadwyżkach eksportowych. Siła jena i marki odzwierciedla „siłę mięśni" obu tych gospodarek.

Odmienne były losy siły walut krajów, które traciły zdolność do zwiększania nadwyżek handlowych (lub zmniejszania deficytów). Dotyczy to np. Wielkiej Brytanii – w pierwszym zaś rzędzie ongiś wysokorozwiniętych i bogatych krajów Ameryki Południowej – np. Argentyny. W gospodarce nie występuje zjawisko trwałego umacniania się waluty nie poprzedzone, i nie skorelowane z rosnącą konkurencyjnością.

Krótkookresowe wzmacnianie się waluty bez poprawy konkurencyjności jest nie tylko możliwe – ale też występuje bardzo często. Tak często zresztą, że wręcz wydaje się ono prawidłowością. Zjawisko to może mieć różne przyczyny. Nierzadko ma się do czynienia z administracyjnym „zafiksowaniem" kursów wymiennych (jak w Polsce w 1990 r.). Z reguły implikuje to realne umacnianie się waluty bez względu na zmiany konkurencyjności. Trwa to jakiś czas – po czym konieczna jest dewaluacja (tak jak w Polsce w 1991 r.). Przy wolnorynkowym kształtowaniu się kursów wymiennych, umacnianie się waluty może wystąpić także dzięki rosnącej obfitości (podaży) pieniędzy zagranicznych pochodzących z innych źródeł niż wymiana handlowa. Niektóre (małe) kraje mogą nawet świetnie prosperować z coraz silniejszą walutą i

coraz większym deficytem handlowym dzięki rosnącym dochodom ze świadczenia usług zagranicy. Przykładem jest Cypr, pełniący – nie za darmo – rolę bankowego sejfu dla pieniędzy pochodzących z Rosji.

Typowe umacnianie się waluty przy słabnącej konkurencyjności występuje przy wzmożonym napływie kapitału zagranicznego – inwestycyjnego, spekulacyjnego, kredytów. Z kilku względów zjawisko to jest przejściowe: prędzej lub później tak wzmocniona waluta musi się osłabić – najczęściej dramatycznie. Jest to dość oczywiste w przypadku napływu kapitału krótkookresowego – zwłaszcza spekulacyjnego – zwabionego perspektywą „wypracowania" zysków na różnicach w stopach procentowych, oraz na dalszych zmianach kursów waluty krajowej. Po każdym przypływie kapitału spekulacyjnego następuje bowiem jego odpływ. Oczywiście odpływa nie tylko sam kapitał, ale także „wypracowany" przezeń zysk. Stosunkowo duży napływ oznacza więc nie tylko stosunkowo silne umocnienie się waluty – ale także jeszcze większy potencjalny odpływ pieniędzy zagranicznych. W chwili, gdy powstanie wrażenie, że rosnący deficyt w handlu zagranicznym (i innych bieżących płatnościach na rzecz zagranicy) jest zbyt duży w porównaniu z rezerwami walutowymi banku narodowego, nic nie powstrzyma „spekulantów" przed pospiesznym wycofaniem się za granicę. Gwałtownie zwiększający się popyt na „dolary" skutkuje słabnięciem waluty krajowej. Z reguły do uciekających zagranicznych kapitałów spekulacyjnych dołączają wtedy kapitały „krajowców" wymieniających lokalną walutę na „dolary" – co oczywiście tylko wzmaga dewaluację. Co więcej, niedawne kryzysy walutowe w Rosji i Azji Płd.-Wsch. wskazują, że czasami sygnał do ucieczki mogą dać właśnie „krajowcy", lepiej poinformowani co do stanu rezerw i nadchodzących płatności dewizowych. To, że „krajowcy" zachowują się w czasie kryzysu identycznie jak zagraniczni „spekulanci" nie jest bez znaczenia. Nawet stosunkowo niewielka skala zaangażowania się zagranicznego kapitału spekulacyjnego nie wyklucza apokaliptycznych rozmiarów odpływu dewiz – i dewaluacji.

Mogłoby się wydawać, że przy napływie „solidnego" kapitału zagranicznego oraz kredytów zaciąganych za granicą przez „solidne" firmy krajowe (inne zresztą na takie kredyty

liczyć nie mogą) umacnianie się waluty krajowej może wszakże postępować w nieskończoność – niezależnie od tego, jak rozwija się deficyt handlu zagranicznego. Niestety, jest zgoła inaczej. „Solidny" kapitał zagraniczny napływa niestety też po to, aby zarobić. W jakiejś perspektywie może on zechcieć swoje zyski zabrać – i zainwestować, lub skonsumować, gdzie indziej. Firmy krajowe też będą musiały kiedyś spłacić – i to z procentami – swoje długi zagraniczne. Kumulujące się deficyty handlowe tylko do czasu będą pokrywane nowymi pożyczkami – i nowym kapitałem zagranicznym. Do czasu też waluta krajowa będzie się mogła wzmacniać dopływem tegoż kapitału. W chwili, gdy kumulujące się płatności z tytułu zagranicznego zadłużenia firm krajowych i kumulujące się transfery zysków („solidnych") inwestorów zagranicznych osiągną rozmiary sugerujące możliwość „dewizowej niewypłacalności" Banku Narodowego, następuje kryzys w niczym nie odbiegający od „zwykłego" kryzysu wywołanego przez kapitał spekulacyjny. Kryzys taki kończy okres siły waluty krajowej, siły wynikającej z obrastania w „tłuszczyk", nie „mięśnie".

Proimportowe inwestycje

Polska rozwija się według scenariusza, który rokuje niedobrze. Import rośnie dużo szybciej niż eksport. Deficyt handlowy, stanowiący w 1994 r. ok. 5,3% Produktu Krajowego Brutto (PKB), w 1999 r. sięgnął 12%. Owszem, jak dotąd nie było problemów z finansowaniem deficytów. Napływ kapitałów zagranicznych był tak duży, że w tym okresie mieliśmy do czynienia ze wzrostem rezerw dewizowych – i oczywiście realnym umocnieniem się złotego. Jednak wg „ogólnej teorii" naszkicowanej powyżej, każdy napływ implikuje możliwość jeszcze większego odpływu. To, kiedy odpływ taki nastąpi, zależeć może od wielu czynników. Również to, jak dewastujące będą skutki i skala ewentualnego odpływu. To, że odpływ taki nastąpi, o ile radykalnie nie zmienią się tendencje w handlu zagranicznym, jest dla mnie pewne. To, że tendencje te się zmienią, jest niestety też dość oczywiste.

Niektórzy nasi ekonomiści nie doceniają zagrożenia. Mamy do czynienia z różnymi błędnymi ideami, uzasadniającymi już to błogie zadowolenie, już to działania pogarszające tylko sytuację.

Najbardziej naiwne jest przekonanie, że sytuacja w handlu zagranicznym nie ma większego znaczenia – bo oto przecież „solidne" inwestycje zagraniczne są wysokie – i nie ma powodów by sądzić, że nie będą one coraz wyższe także w przyszłości. Otóż są podstawy by sądzić, że „solidne" inwestycje zagraniczne będą maleć już w niedalekiej przyszłości. Po wyprzedaży pozostających jeszcze do dyspozycji Skarbu Państwa „resztówek" rodzinnych sreber – co może prawdopodobnie przynieść nie więcej niż jakieś 15 mld. dolarów – pozostaje tylko liczyć na *greenfield investments* – inwestycje „w szczerym polu". Wyjąwszy hipermarkety detaliczne, jak dotąd pod tym względem jest kiepściutko. Lepiej też raczej nie będzie, już chociażby dlatego, że przy umacniającej się złotówce bardziej się opłaca do Polski przywieźć gotowy towar, niż go w Polsce wytwarzać. Faktu tego nie zmieniają ani relatywnie niskie polskie płace, ani rosnąca polska wydajność pracy. Dla współczesnej firmy (zagranicznej) noszącej się z projektem budowy nowej fabryki, koszty pracy w ogóle nie mają większego znaczenia. Nowe technologie (a któż chciałby inwestować w technologie przestarzałe, XX-wieczne) obywają się bez dużego zatrudnienia. Koszty pracy w zrobotyzowanym zakładzie wytwórczym (już nie zakładzie pracy) są minimalne – tak w Polsce, jak i w Japonii.

Nieco bardziej wyrafinowana obrona *status quo* polega na sugerowaniu, że zarówno napływ kapitału (w tym kredytów), jak i deficyt handlowy, wiążą się z proeksportową reorientacją gospodarki polskiej – i jako takie są nieuniknione i korzystne. Innymi słowy, sugeruje się, że rosnące (z tytułu zagranicznych inwestycji i kredytów) zadłużenie kraju nie będzie problemem ponieważ implikuje ono zwiększenie eksportu w przyszłości. Zakłada się więc, że rosnące zadłużenie spłaci się rosnącym eksportem. Niestety, sugestie takie nie mają oparcia w faktach.

Po pierwsze, dobra inwestycyjne stanowią jedynie ok. 15% importu. Nawet gdybyśmy odliczyli wydatki na import

tych dóbr od importu ogółem, to okazałoby się że deficyt handlu zagranicznego powiększa się w tempie zawrotnym (od 1,6% PKB w 1994 r do 7,6% w 1998 r).

Po drugie, spora część importu inwestycyjnego nigdy nie zwiększy eksportu – a jedynie import. Dotyczy to w szczególności importu wyposażenia przedsiębiorstw usługowych – takich jak hipermarkety.

Po trzecie, doświadczenie lat 70-tych dowodzi, że zadłużanie się zakładające spłatę długów zwiększonym eksportem, jest ryzykowne. Rzeczywiste efekty eksportowe inwestycji opartych na importowanych urządzeniach i technologiach mają jakąś dziwną tendencję – są one otóż zawsze niższe niż oczekiwane. Co gorsza, okazuje się, że wymagają one nieoczekiwanie wielkiego „wsadu importowego" – importu surowców i materiałów. W rzeczy samej, jak dotychczas, obserwuje się wzrost importochłonności zaopatrzeniowej produkcji – w tym zwłaszcza produkcji eksportowej. Przy obecnych proporcjach eksportu i importu zaopatrzeniowego (ponad 60% całego importu) nigdy nie wyjdziemy na swoje w handlu zagranicznym. Wzrost eksportu (i produkcji) będzie wymagać jeszcze silniejszego wzrostu importu.

Pogarszanie się importochłonności zaopatrzeniowej eksportu i produkcji nie jest wszakże jakimś fatum. Stoi ono w dość oczywistym związku przede wszystkim z realnym umacnianiem się złotego. Umacnianie się złotego jest szczególnie silne właśnie w odniesieniu do dóbr zaopatrzeniowych. W ciągu 4 lat (1994-98) krajowe dobra zaopatrzeniowe zdrożały o ok. 80%; importowane – o ok. 48%. W takich warunkach można zrozumieć dlaczego zużycie krajowych dóbr zaopatrzeniowych wzrosło jedynie o ok. 60% – zaś importowanych o ok. 120%! Przy tak rozwijających się relacjach cenowych trudno jest też oczekiwać by nowo instalowane moce produkcyjne zakładały coraz mniejszą zależność od importu zaopatrzeniowego – a większą od zaopatrzenia krajowego. Fakt ten znajduje zresztą pewne odzwierciedlenie w szczególnie niekorzystnej relacji pomiędzy eksportem i importem przedsiębiorstw zagranicznych w Polsce – a więc przedsiębiorstw o znacznie wyższym od przeciętnego poziomie inwestowania. Wg ostrożnego szacunku przedsiębiorstwa te wytwarzały w 1997 r. nie więcej niż 22% produkcji – generując przy tym ponad 60% deficytu w handlu zagranicznym!

Narkotyczne uzależnienie

Obowiązuje w Polsce doktryna, że umacnianie się złotego służy w istocie rozwojowi eksportu. Umacniający się złoty ma „bodźcować" przedsiębiorstwa krajowe konfrontowane z realnie taniejącym, konkurencyjnym importem, skłaniać je do innowacji i restrukturyzacji.

Zapewne, w jakimś zakresie jest to słuszne. Nie wątpię, że mocna złotówka wymusiła korzystne zmiany w wielu firmach. Niestety, gospodarka jako całość dostosowuje się niekorzystnie. Wymownym świadectwem tego jest słabe tempo wzrostu całego eksportu – i oczywiście szybkie tempo wzrostu całego importu. Co więcej, archaiczna struktura eksportu zmienia się bardzo powoli – wciąż dominują w niej produkty „surowcochłonne", „lasochłonne" i „ziemio-chłonne". Udział rzeczywiście nowoczesnych towarów był – i jest – śladowy (poniżej 1%). Jakość polskich produktów eksportowanych jest dużo niższa niż np. węgierskich. Co gorsza, jakość eksportu węgierskiego poprawia się w imponującym tempie, polskiego zaś minimalnie.

Należy uznać, że tempo wzmacniania się złotego było zbyt szybkie: nie dało ono możliwości korzystnych dostosowań ogółowi firm. Nacisk konkurencji zagranicznej został zresztą wzmożony polityką liberalizacji importu. Średnia stawka celna została zmniejszona z ok. 18% w 1994 r. do mniej niż 6% w 1998. Co więcej, firmy krajowe są upośledzone – w porównaniu z firmami w innych krajach – przez politykę osobliwie wysokich stóp procentowych i niepoważny (w porównaniu z zagranicą) poziom wsparcia ze strony rządu. Polscy eksporterzy nie mogą sobie pozwolić na kredytowanie odbiorców. Koszty udzielania kredytu kupieckiego pochłonęłyby resztki ich zysków. Zagraniczni dostawcy udzielają naszym importerom kredyty bez większych ograniczeń, odraczają terminy płatności – w ogóle idą im na rękę... Skutek: doszło już do tego, że cały polski eksport ziemniaków (6,7 mln dolarów) nie ustępuje polskiemu importowi

tychże – z samych tylko Niemiec! (No proszę, Niemiec potrafi wytwarzać nie tylko mercedesy). Absurdalności polityki dowodzą dziesiątki faktów. Kochany Panie Mrożek, co Pan na to: Polska eksportuje jajka w sumie za 1,8 milionów dolarów (głównie do Czech i na Ukrainę). Importuje za 12,9 miliona – zgadnij Pan skąd? M.in. z Francji (za 3,4 miliona), z USA i Kanady (za 2,4 miliona)!

Jednym z efektów całokształtu warunków w handlu zagranicznym jest obniżanie się zysków w produkcji eksportowej – oraz w produkcji dóbr konkurujących z importem. Obniżanie się zysków w istocie utrudnia korzystne adaptacje (np. inwestycje) mogące zwiększyć konkurencyjność. Nie powinno nikogo zdumiewać, że w takich warunkach następuje degradacja możliwości eksportowych i degradacja możliwości produkcji substytutów importu. Degradacja ta może niestety być nieodwracalna. Tylko patrzeć, a nie będziemy już w ogóle w stanie produkować całkiem prostych (nie mówiąc już o skomplikowanych) rzeczy. Oznaczać to będzie trwałe uzależnienie od importu i trwałe ograniczenie możliwości eksportowych. Nie byłoby w tym może nic strasznego, gdyby import już zawsze miał tanieć względem produkcji krajowej. Tak jednak być nie może: import stanie się drogi w chwili, gdy tylko ustanie dopływ kapitału podtrzymującego silną złotówkę. Wtedy dopiero pożałujemy, że nie potrafimy już produkować różnych rzeczy – już nie tylko na eksport, ale i dla siebie samych.

Mała apokalipsa

W ciagu trzech pierwszych kwartałów 1999 r. złoty po raz pierwszy od dość już dawna nieco „słabował" (w 4. kwartale wrócił już do pełni sił – i dalej fenomenalnie „zyskał" w 1. kwartale 2000 r.). To, iż nie zmniejszyło to jeszcze importu dowodzi jak bardzo już od niego gospodarka się uzależniła. To, iż zmniejszyło to eksport, dowodzi jak bardzo eksport – i cała zresztą produkcja krajowa – uzależniły się od importu zaopatrzeniowego. Daje to niejakie pojęcie o skutkach radykalnej dewaluacji złotego – jaka prędzej lub później nastąpi. Oczekiwać można wtedy nie tylko skokowego ograniczenia eksportu, ale i w ogóle produkcji krajowej (która nie będzie w stanie nabywać wystarczających ilości nagle drożejących materiałów i komponentów z importu). Oczywiście, import w końcu też spadnie – już chociażby dlatego, że gwałtowna ucieczka kapitału wyczerpie rezerwy dewizowe – i spowoduje, że dostawcy zagraniczni nie będą już ryzykować kredytowania naszych importerów.

Gwałtowna recesja produkcji i skokowe zwiększenie się bezrobocia to tylko część obrazu. Dopełni go: a) szybki wzrost inflacji (wynikający z próby dostosowania cen krajowych do rosnących kosztów importu zaopatrzeniowego oraz z bezpośredniego wzrostu cen importu konsumpcyjnego); b) fala bankructw firm zadłużonych za granicą; c) fala bankructw firm kooperujących z firmami zadłużonymi za granicą; d) fala bankructw banków krajowych kredytujących firmy wymienione w pkt. d) i współkredytujących firmy wymienione w pkt. c). W ostateczności może dojść nawet do ogólnej zapaści całego systemu bankowego – panicznego wycofywania depozytów nawet ze „zdrowych" banków.

Nie ma potrzeby opisywania nadchodzącej apokalipsy w szczegółach. Istnieje obfita literatura dokumentująca takie – lub bardzo podobne – apokalipsy w Rosji, Bułgarii, Azji Płd.-Wsch., Meksyku itd. Więcej sensu ma rozważenie możliwości skutecznego przeciwdziałania. Otóż niestety, możliwości te są albo nieduże (jeśli ograniczyć się do posunięć, które się aktualnie rozważa), albo trudne do pogodzenia z psychologią osób odpowiedzialnych za cały ten kram.

Zacznijmy od posunięć, które niczego w istocie nie zmieniają. Należy tu przede wszystkim szybka „sanacja" finansów publicznych – tj. ograniczenie deficytu budżetowego. Dla urzeczowienia rozważań trzeba uświadomić sobie, że preliminowany na 2000 r. deficyt budżetu stanowi 2,5% PKB – deficyt handlu wyniósł zaś w 2000 r. 12% PKB. Nawet gdyby radykalnie „wysanować" finanse publiczne sprowadzając ów deficyt do zera, w najlepszym przypadku zmniejszy to deficyt w handlu zagranicznym o ułamek punktu procentowego. Nie wierzę, że np. radykalnie zmniejszając płace w budżetówce (powiedzmy o 20%) – albo emerytury (o tyleż samo) zmniejszymy import albo powiększymy eksport. Po pierwsze, *gros* wydatków rodzin budżetówki i emerytów

pochłaniają jednak towary i usługi krajowe o niskiej importochłonności – w tym zwłaszcza czynsze, energia, najprostsze artykuły żywnościowe, najgorsze papierosy itp. Poza tym, istotą trudności jest to, że import jest tani a eksport nieopłacalny. Przy jeszcze niższych dochodach emeryci i budżetówka tym bardziej nastawiać się będą na konsumpcję importowanych tekstyliów, bananów, jajek itp. Nawet jeśli zmniejszy się przy okazji spożycie krajowych ziemniaków, alkoholu i papierosów „popularnych", eksport tychże nie stanie się przez to bardziej opłacalny. Nieco więcej można by osiągnąć zwiekszając opodatkowanie bardzo wysokich dochodów osobistych – tak iżby zmniejszyć import luksusowych samochodów, kosmetyków itp. i popyt na turystykę zagraniczną. Takiego posunięcia nie można jednak oczekiwać od rządu, walczącego (z godną lepszej sprawy determinacją) właśnie o obniżenie podatków od dochodów najwyższych. Radykalne cięcia w innych wydatkach (np. w dotowanie wydobycia węgla i wytapiania stali) dałoby skutki przeciwne do zamierzonych: spadek (wciąż bardzo znaczących) dochodów dewizowych z eksportu węgla i wyrobów stalowych.

Ponieważ negatywne tendencje kumulowały się przez lata w dużej mierze za sprawą osobliwie wysokich stóp procentowych dekretowanych przez NBP (i Radę Polityki Pieniężnej), wydawać się może, że przez ich radykalne obniżenie można by coś uzyskać. (Nie jest to zresztą mniemanie żywione przez RPP. Prominentni członkowie RPP sądzą, że wyższe stopy procentowe „w istocie" pobudzają eksport i zmniejszają import!) Otóż niewątpliwie, dążyć należy do systematycznego obniżania stóp procentowych. Stopniowość tego procesu wyklucza jednak możliwość uzyskania radykalnej – i szybkiej – poprawy. Radykalne zaś obniżenie stóp procentowych może – w obecnej sytuacji – uruchomić proces ucieczki kapitału, a więc właśnie sprowokować wydarzenia, których chcielibyśmy uniknąć.

Mądry przed szkodą?

Spośród krajów które przeszły kryzys podobny do tego, który czeka i Polskę, jedynie Malezja wyszła stosunkowo

obronną ręką. Inne poniosły ciężkie straty (nie w pełni jeszcze zresztą ujawnione), względnie musiały być uratowane (tak jak Meksyk) gigantycznymi dotacjami zagranicznymi. Jedynie Malezja uciekła się do „obrony niekonwencjonalnej" – m.in. czasowo zawieszając swobodę przepływu (tj. faktycznie odpływu) kapitału. Stosowania takiej właśnie obrony sytuacji nie wykluczają bynajmniej międzynarodowe porozumienia i instytucje – w tym Międzynarodowy Fundusz Walutowy i OECD. To, że kraje członkowskie MFW (w tym Korea i Meksyk, oba należące również do OECD i spełniające w swej polityce standardy tejże organizacji) nie zastosowały „obrony niekonwencjonalnej", ma w istocie uzasadnienie psychologiczne. Skuteczne, a więc wyprzedzające zawieszenie swobody ruchu kapitałów jest *de facto* wyznaniem bankructwa całej dotychczas prowadzonej polityki w odniesieniu do kursu wymiennego, stóp procentowych, liberalizacji handlu, liberalizacji przepływów kapitałowych itd. Do wyznania takiego zdolny jest tylko polityk wielkiego formatu – jakim okazał się premier Malezji. Przeciętny mąż/żona stanu odwleka wyznanie do „ostatniej chwili", łudząc siebie i opinię publiczną różnymi optymistycznymi prognozami (a to np. że „są oznaki ożywienia eksportu", a to że dochody dewizowe z prywatyzacji będą rekordowe itp.). W efekcie odwlekania decyzji, wydarzenia w końcu ją wyprzedzają. Tym sposobem bankructwo polityki (i polityków) staje się bankructwem gospodarki – milionów ludzi.

Polska ma dziś (ale czy na pewno jutro?) pełną możliwość aktywnego przeciwdziałania. Polskie prawo (zgodne z wymogami MFW i OECD) przewiduje możliwość zawieszenia, w „nadzwyczajnych okolicznościach", swobody przepływów kapitału. Ma też pełne prawo (zgodne z umowami z UE) zastosować inne nadzwyczajne środki – np. wprowadzić czasowo cła na te lub inne towary. Oczywiście ma też niezbywalne prawo zmienić radykalnie politykę stóp procentowych i kursów wymiennych.

Pozostaje jedynie zdecydować się, czy „ów moment" już nadszedł – czy też można jeszcze odczekać. W moim przekonaniu czas jest już najwyższy. Przypomnę, że 2 lata temu nikt nie miał wątpliwości, że przy 4-5% udział deficytu obrotów bieżących w PKB balansuje się już na krawędzi. W 1999 r.

Polska zafundowała sobie 7,5% deficytu. Lepiej, „samo z siebie", się nie zrobi. Będzie tylko gorzej: nowe zagraniczne zadłużenie powiększa się z każdym miesiącem, każdego miesiąca spekulanci nabijają sobie kabzy (kosztem NBP i budżetu państwa), sektor produkcyjny uwstecznia się z kwartału na kwartał. Na dobitkę zbliża się termin pierwszych, naprawdę dużych, płatności z tytułu „długów gierkowskich". Nawet jeśli można by jeszcze poczekać – to właściwie po co?

Leon PODKAMINER

Leon PODKAMINER – ur. 1945; w 1968 r. ukończył studia ekonomiczne w SGPiS; dr hab., do 1993 r. docent w PAN, od 1994 r. pracuje w Wiedeńskim Instytucie Porównawczym Badań Ekonomicznych (WIIW).

KSIĄŻKI POLSKIE
ORAZ POLSKI DOTYCZĄCE
DAWNE I NOWE
W DOKONANYM PRZEZ SIEBIE WYBORZE
POLECA
ANDRZEJ DOBOSZ W SWOJEJ KSIĘGARNI
7, rue de la Bûcherie 75005 Paris
Telefon 01 40 51 76 40
Fax 01 40 51 78 32
Metro: Maubert-Mutualité
Autobusy: 24, 47, 63, 86, 87
od wtorku do soboty od godziny 10 do 19
SPRZEDAŻ WYSYŁKOWA KATALOGI

Wiersze

Tadeusz CHABROWSKI

MUZY NA MOJEJ ULICY

Muzy na mojej ulicy upijają się winem,
tanią z supermarketów ambrozją;
pukam do ich okien z propozycją,
żeby najmłodsza zamieszkała w sonecie;
wystraszone klaszczą, nie lubią tylu słów
w małym pomieszczeniu.

Ubrane w suknie z jednej sztuki materiału,
w białe kapelusze, w modne, żółte szale
obnoszą swoje ujarzmione piękno,
wymalowane kredką lica.

O Boże, jak licealista
podchodzę do nich z czystym sercem,
w welwetowej kamizelce,
z rubinowymi wypiekami na policzkach.
Moje roztargnione ręce
trzepoczą w powietrzu jak skowronki.

Żeby nie ulec młodzieńczej płochości,
śpiewam im o słońcu,
o moim sercu nie większym niż brzoskwinia,
o szkarłatnych astrach.

A one z rozpuszczonymi włosami,
bosonogie, z wychylonymi w biegu piersiami,
nie pojmując tego świata spraw,
smagają rózgami moje plecy.
Och! Litości ubiczują mnie żywcem

ZŁOTOUSTY

W rozstroju z własnym życiem, jąkała
z którego się koledzy śmiali, nagle poczuł
drgnienie w sercu, żeby głosić słowo boże.
żeby z wiatrem w lesie toczyć dyskurs.

Matka szepnęła: masz synu dar do oracji,
nie potrzebujesz święceń, świec i monstrancji,
wystarczy, że ludziom bez wyobraźni
opowiesz o cudach we własnej duszy.

Każdy ma zszarpane nerwy, ogromne długi
w banku, słup kurzu na drodze z pracy,
do domu, w sypialni krzyk małoletnich
szczygłów i kawek.

Wystarczy, że raz załkasz nad miastem,
ochrypłym basem powiesz coś o piekle
albo o niebie, a już wszyscy uwierzą żeś Złotousty,
że związki krwi łączą cię z Duchem Świętym.

Może turkus a może srebro obok dolara
brzęknie na tacy; nade wszystko jednak nauczysz się
oratorskiej wymowy, powiększysz spichlerz słów
i przestaniesz się moja sieroto – jąkać.

Z pojedyńczych sylab można przecież skleić słowo,
ze słów zdanie gramatycznie długie jak rzeka,
z wielu rzek Morze Słone – nowy traktat moralny,
którym pogrozisz światu jak Noe potopem.

SAVONAROLA

Najlepiej czułem się tam w górze na kazalnicy
z rękami fruwającymi wokół mojego tułowia;
z szybkością jedenastu zdań na minutę
wyrzucałem z gardła ogień,
w którym Bóg i archaniołowie galopowali
na koniach, dusze i potępione widma
powiewały chorągwiami z dymu.
Niebo i Florencja wiedziały, że znam prawdę
a piekło, że obryzgami własnych kłamstw
samo zapcha sobie krtań.

Dzieci, młodzież i staruszkowie wierzyli
we wszystko co mówiłem: w ich imieniu
sprzeczałem się z Bogiem i krnąbrną naturą,
wszystkie grzechy, które nie nazwałem
po imieniu nie były do odpuszczenia;
wszystkim cnotom, nawet najmizerniejszym,
próbowałem dodać wyobraźni i splendoru.

Jednego wieczoru wrzucono moje ciało na stos
i podpalono, wykrzykując: „liż językiem płomienie,
czarowałeś nas religią, czaruj siebie teraz
księżycem i welonem nocy, nam zostaw
krzyk ciszy i pustą po sobie kazalnicę".

Szybciej niż prorocy, zgodziłem się z wolą Pana,
która była echem czasów w których żyłem.

ROZMOWA Z BOGIEM

Całe popołudnie rozmawiałem z Bogiem
przy połamanym parafialnym płocie,
pod nisko zwisającymi gałęziami jarzębiny:

słuchał co mówiłem drzemiąc jednym
dalekowzrocznym okiem,
mówiłem cicho, ale z samego dna wątroby.

– Przeczytałem góry papieru,
żeby się upewnić, że wszystko co jest
na świecie da się podliczyć i zrymować;
wysoki, muskularny Platon był świadkiem.

Dotykałem palcami w supermarketach
nieświeże owoce, kalifornijskie
brzoskwinie jak surowe móżdżki małp,
strumień dążeń czasu i neony,
dzieci rzucające na siebie pomidorami
i wielkie oświetlone sklepowe wystawy.

Z braćmi zakonnymi uduchowionymi
jak świece gromniczne toczyłem dysputy:
o grzechu, cnocie, o narodowych wadach.

Uwodziłem młode panienki bez elementu
duszy oraz wychudzone i stare prostytutki;
ze starymi arbuzami w domach emerytów
piłem rozcieńczone wodą wino mądrości,
uderzała mi do głowy woda sodowa sławy,
francuski punkt widzenia przedmiotów,
diabeł i morskie głębiny.

Podsłuchiwałem codziennie zakulisowe
plotki w dzielnicy, entliczki pętliczki proboszcza
w konfesjonale, białe krochmalone kornety
Sióstr Szarytek, z bardzo rozwiniętymi piersiami,
odmawiające na różańcu: Duchu Święty
jestem czysta, przyjdź i zabrudź mnie.

Nad dachami domów krążyły helikoptery,
na rozprażone do białości słońce
szczekały psy i kończące się tysiąclecie.

Tadeusz CHABROWSKI

Archiwum polityczne

Militaryzacja przestrzeni kosmicznej

W ostatnich miesiącach ub.r. w establiszmencie politycznym USA osiągnięto porozumienie w sprawie kontrowersyjnego projektu tzw. Narodowej obrony antybalistycznej, znanego pod nazwą NMD (ang. *National Missile Defence*). Po długich miesiącach rozważań i zaciekłych dyskusji, projekt ten wszedł i pozostanie na agendzie Waszyngtonu bez względu na to, kto wygra przyszłe wybory. Był on już dawno w programie republikańskich kandydatów G.W. Busha i J. McCain'a, a w grudniu opowiedział się za nim pretendujący do urzędu Al Gore. Prezydent Clinton ma zająć formalne stanowisko w czerwcu br., lecz jego aprobata projektu jest sprawą przesądzoną[1]. Polityczne wsparcie dla NMD w kręgach Demokratów jest znaczne, pomimo ostrożnej retoryki dla użytku zewnętrznego. Administracja musi liczyć się z rosnącym oporem Rosji i Chin, oraz przekonać do projektu swoich partnerów w Europie, obawiających się nowego wyścigu zbrojeń. Zajęta rozwijaniem własnej tożsamości obronnej Europa pragnie uniknąć zbytecznego, w jej oczach, antagonizowania Moskwy. Projekt NMD zawiera elementy politycznego ryzyka, lecz również wyzwania, w sensie prze-

1. W lipcu 1999 prezydent Clinton podpisał legalizację dekretu o NMD (tzw. National Missile Defence Act 1999, Public Law 106-38, 22 July 1999), zobowiązującego rząd USA do rozwoju efektywnego systemu NMD. Podpisując dekret, któremu się dotychczas sprzeciwiał, prezydent zapowiedział, iż konkretne decyzje odnośnie projektu NMD, jego skali, kosztów itp., zostaną powzięte dopiero w czerwcu 2000.

kroczenia nowych granic w dziedzinie rozwoju technologii militarnych. Wielkim pytaniem, źródłem dzisiejszych obaw, jest zakres ryzyka wynikającego z postępującej militaryzacji przestrzeni kosmicznej. Zdobywanie przestworzy niekoniecznie musi być procesem konfliktowym, niemniej bieżące myślenie strategów amerykańskich zdaje się, niejako *a priori*, taki właśnie scenariusz zakładać.

Powrót 'wojen gwiezdnych'?

Powyższe uwagi wyjaśniają, dlaczego kontrowersje wokół NMD weszły na łamy prasy pod znamiennym, lecz nie bardzo adekwatnym określeniem powrotu do „wojen gwiezdnych". Gdzieś w połowie 1999 r. stało się jasnym, iż projekt NMD, w takiej czy innej postaci, będzie jednym z centralnych punktów w przyszłych wyborach prezydenckich. Stało się również jasne, iż jego realizacja będzie wymagała pewnej modyfikacji przestarzałego układu antybalistycznego (ABM) z b. ZSSR z r. 1972, dla uniknięcia konfliktu z Rosją. Kontrowersje wokół „wojen gwiezdnych" Reagana z lat 1970-ych nie były nigdy w pełni rozwiązane, przetrwały rozpad ZSSR, dlatego mówienie o ich „powrocie" jest nieścisłe. Widmo nowego zatargu z Rosją przyciągnęło od razu uwagę prasy zachodniej. Jesienią ub.r. londyński *Financial Times* opublikował obszerny artykuł na ten temat, wyjaśniając instrumentalną rolę CIA w odgrzebaniu projektów obrony antybalistycznej. W ocenach tej agencji, w przeciągu następnych 15 lat USA staną w obliczu realnego zagrożenia atomowo-balistycznego, nie tylko ze strony tradycyjnych adwersarzy, lecz również pomniejszych agresorów, takich jak Korea Północna, Irak czy Iran. Międzynarodowe umowy o kontrolach zbrojeniowych kupują czas, lecz nie mogą być namiastką środków trwałego bezpieczeństwa narodowego. Najlepszą polisą ubezpieczeniową miał stać się właśnie projekt NMD, w pierwotnych założeniach obliczany na ok. $18-28 bn, a więc rzekomo znacznie tańszy od projektów gwiezdnych Reagana.

Raport od razu trafił do przekonania Pentagonowi, gorzej było z przekonaniem Moskwy. Technicznie Rosja nie

może zabronić wycofania się z układu ABM, co każda ze stron może zrobić z 6-miesięcznym wypowiedzeniem. Źródłem obaw jest jej reakcja, konsekwencje dla dalszego losu układów rozbrojeniowych. Niemniej z początkiem listopada 1999 Administracja Clintona ogłosiła gotowość do projektu NMD, nawet za cenę jednostronnego zerwania układu ABM 1972. Wywołało to falę niepokoju w Europie, na tle świeżych jeszcze frustracji z tytułu odrzucenia przez Senat międzynarodowego projektu o zakazie prób broni jądrowych (ang. CTBT). Decyzję na rzecz NMD odebrano jako kolejny przejaw rosnącego unilateralizmu USA, wprowadzanie podwójnych standardów bezpieczeństwa do sojuszu, jednego dla USA, drugiego dla Europy. Rozbudowa własnego, „narodowego" szyldu bezpieczeństwa oznacza większe zagrożenie dla partnerów USA w Europie, doprowadzi do sytuacji, w której interesy bezpieczeństwa NATO nie będą wspólne, identyczne dla USA i Europy. W sumie zagrożone jest samo przetrwanie sojuszu transatlantyckiego.

Dla rozwiania takich obaw w grudniu 1999 odwiedził europejskie stolice NATO wypróbowany wysłannik Clintona Strobe Talbot, zapewniając iż projekt NMD nie jest powrotem do „wojen gwiezdnych" lat 1970-tych, a już tym mniej próbą USA stawiania interesów własnych ponad interesami bezpieczeństwa całego sojuszu. Wyjaśnił on również, iż ostateczne decyzje będą zależeć nie tylko od dogadania się z Rosją w sprawie modyfikacji ABM, lecz również zakresu kosztów, które mogą być na bezprecedensową skalę.

Istota projektu NMD

Niemal równolegle z europejską wyprawą Talbota, prestiżowy periodyk, *Foreign Affairs* opublikował artykuł naświetlający istotne aspekty projektów obrony anty-balistycznej. Nie tylko na tle politycznych kontrowersji, lecz również zwracający uwagę na doniosłe implikacje technologiczno-militarne projektu NMD[2]. Rozwijany w USA system obrony

2. M.O'Hanlon: „Star Wars Strikes Back", *Foreign Affairs*, Nov/Dec 1999. Autor książki pt. „Technological Changes and the

przeciwbalistycznej spada do dwu kategorii: wersji znanej pod nazwą TMD (ang. *Theater Missile Defence*), oraz powodującej dzisiejsze kontrowersje wersji NMD. Obie wersje przewidują ewentualne zakotwiczenie procesu obronnego w przestrzeni kosmicznej. W odróżnieniu od NMD, wersja TMD jest bardziej znana, z powodzeniem zastosowana w wojnie z Irakiem w Zatoce Perskiej („Patrioty"). To czyni ją politycznie bardziej do przyjęcia, w przeciwieństwie do i super-ambitnych, rewolucyjnych, lecz wciąż mało znanych założeń i wymogów projektu NMD. Ta wielka niewiadoma jest u podnóża dzisiejszych obaw, strachu przed politycznymi konsekwencjami. Stąd niezwykła polaryzacja opinii, zaciekłość debat, często sprowadzanych na niewłaściwe tory.

Zwolennicy NMD mają zapewne rację, utrzymując iż nuklearne zagrożenie dla USA w ostatnich latach znacznie wzrosło również ze strony mniejszych mocarstw, jak np. Korei Północnej, której rakiety mogą dziś osiągnąć zachodnie wybrzeża Kalifornii. Rosnące zagrożenie koreańskie doprowadziło latem ub.r. do podpisania umowy USA-Japonia o wspólnym rozwoju systemu obronnego TMD. Koronna argumentacja przeciwników sprowadza się do obaw z reakcji Moskwy. W kołach Waszyngtonu, gdzie militarnie Rosja nadal się liczy, jest to wzgląd niebagatelny. Nie mniejszą wagę mają argumenty dotyczące kosztów. Biorąc pod uwagę trudności z finansowaniem TMD, to jak tu liczyć na sukces w wypadku projektu zakrojonego na pięciokrotnie ambitniejszą skalę, w nierealistycznie krótkich terminach, przy śmiesznie niskich założeniach budżetowych.

Są to jednak wszystko, jak u proponentów tak przeciwników projektu, argumentacje wyjściowe, powierzchowne przejawy polaryzacji poglądów. Pod osłoną takich debat i kontrowersji kryją się obawy i niepewności dużo głębsze, istotniejsze. Są to obawy dotyczące przyszłego rozwoju technologii militarnych, dotykające podstawowych pytań odnośnie roli przestrzeni kosmicznej w ich zastosowaniu. O jakie zagadnienia, jakie wyzwania przyszłości tu chodzi?

Future of Warfare" (Technologiczne zmiany a przyszłość działań wojennych), pracownik naukowy Brookings Institute.

Kontrola przestrzeni kosmicznej

Sprawa użycia przestrzeni kosmicznej dla celów militarnych staje się dziś najbardziej kontrowersyjnym zagadnieniem w dziedzinie rewolucji technologiczno-militarnej. Eksperci podkreślają tu słowo „użycie", w sensie funkcji wspierającej dla działań militarnych na ziemi, w odróżnieniu od wprowadzenia broni (ang. *weaponisation*) do kosmosu. W tym też sensie mówienie o „demilitaryzacji" przestrzeni, w żargonie oponentów TMD/NMD, jest nieścisłe. Na ogół jednak przyjmuje się, iż używanie kosmosu dla celów militarnych rozpoczęło się z pierwszym użyciem systemów satelitarnych skierowanych na ziemię, a więc od czasów wojny w Wietnamie. Zrodzone z „wojen gwiezdnych" koncepcje obrony antybalistycznej dały tylko temu zastosowaniu nowy wymiar, uwypuklając funkcję przestrzeni jako swoistego „sanktuarium" dla sprzętów militarnych. To z kolei zrodziło koncepcję kosmosu jako czwartego, po lądzie, powietrzu i morzu, środowiska dla działań militarnych. Od tego momentu wprowadzenie broni, a więc właściwa militaryzacja przestrzeni, jest tylko kwestią czasu. Wysuwa się tu od razu, w związku z taką perspektywą, zagadnienie jurysdykcji przestrzennej, „suwerenności", w sumie sprawa kontroli przestrzeni kosmicznej w najszerszym, a ostatecznie militarnym znaczeniu. Dominuje przekonanie, iż przestrzeń kosmiczna jest „niczyja" w sensie posiadania, dlatego nie odnoszą się do niej tradycyjne koncepcje suwerenności[3]. W oczach ekspertów wojskowych jest to jednak spojrzenie naiwne, na dłuższą metę nie do utrzymania. W podobny sposób podchodzono niegdyś do przestrzeni oceanicznych, co nie uchroniło ich od geostrategicznych kalkulacji. Dlatego ci, którzy już dziś doceniają strategiczne znaczenie kosmosu, obawiają się jego militaryzacji. Nie bez pewnej słuszności uważają, iż może doprowadzić to do podobnej destabilizacji, jak wyścig

3. John B. Sheldon: „Space as the Fourth Environment: for Warfare, or Supporting Role?" (Przestrzeń jako Czwarte Środowisko: dla działań wojennych, czy w roli pomocniczej?), w cyklu art. „The Military Use of Space" (Militarne użycie przestrzeni), *RUSI Journal*, No 6/1999.

zbrojeń na ziemi. Niemniej opcja „militarna" dla przestrzeni jest już dziś faktem dokonanym, w USA przybierającym bardzo konkretne kierunki rozwoju. W ocenach RUSI, projekty antybalistyczne będą odgrywały coraz większą rolę w systemach obronnych na ziemi, zwiększając rolę kosmosu w strategii obronnej USA. Proponenci NMD rozumują, iż dzisiejsza przewaga strategiczna Ameryki nie musi trwać wiecznie, dlatego dobra strategia powinna już dziś zakładać użycie przestrzeni jako sanktuarium militarnego. Potwierdzeniem takiego myślenia jest system NAVSTAR (US Navstar Global Positions System/GSP), z wyraźnie militarnym ukierunkowaniem. Jeżeli systemy NMD mają być skuteczne, to konieczne jest maksymalne wykorzystanie przestrzeni kosmicznej, idealnie jej kontrola. W pracach ekspertów amerykańskich coraz częściej pojawia się pojęcie „mocarstwo przestrzenne" (*Space Power*), wskazujące na traktowanie przestrzeni kosmicznej w kategoriach „ziemskiej" geopolityki. Pod wieloma względami jest to trend ryzykowny, oficjalnie jeszcze nie usankcjonowany. Wydaje się jednak, iż w kołach Pentagonu, sprawa strategicznej kontroli przestrzeni stanęła na porządku dnia.

Od „geo" do „astropolityki"

Sprawy rywalizacji, kontroli, wyścigu z adwersarzem, wymagają odpowiedniego zaplecza myśli strategicznej. Jak dotąd ukazało się niewiele prac podejmujących się rzetelnej teorii strategicznej w odniesieniu do przestrzeni kosmicznej, a miejsca w niej „mocarstwa przestrzennego". Tam, gdzie takie próby podjęto, ograniczono się zwykle do analogicznych aplikacji teorii morsko-oceanicznych. Wychodzono tu z teoretycznych założeń przestrzeni jako „czwartego środowiska" dla działań militarnych. Typowa jest tu praca J.E. Oberga, naświetlająca podstawy „mocarstwa przestrzennego" (1995). Doceniał on konieczność jasnych założeń strategicznych w rywalizacji o kontrolę kosmosu, lecz równocześnie podkreślał, iż kontrola taka, łączenie militaryzacji kosmosu, ma sens tylko w odniesieniu do działań terestrialnych. Trzymał się ziemi dosłownie, uważał, iż właściwa militaryzacja przestrzeni jest niemożliwa bez uprzedniego opanowania systemów układu słonecznego.

Przełomową pracą w dziedzinie strategii przestrzennej jest esej E.C. Colmana, zawarty w wydanym pod koniec ub.r. zbiorze poświęconym teoretycznym podstawom i osiągnięciom geopolityki[4]. Rewolucyjna doniosłość jego analizy jest podwójna – przenosząc polityczne aspekty geografii do przestrzeni kosmicznej, a tym samym, w odwrotnym ujęciu, nadając tradycyjnej geopolityce nowe, „kosmiczne" wymiary. Jest ona pierwszą próbą aplikacji parametrów geostrategii w przestrzeni kosmicznej, torując drogę do „nowego pojęcia astropolityki". Posługując się klasyczną teorią geopolityczną Mackindera[5], Dolman postuluje centralne znaczenie systemu układów słonecznych, oraz szczególną pozycję wobec nich przestrzeni kosmicznej wokół Ziemi. Astropolityczny model Colmana przypomina tu do złudzenia geopolityczną teorię Mackindera, w której Europa Wschodnia zajmuje kluczową pozycję w odniesieniu do „centralnej masy" Eurazji (podobnie jak Ziemia wobec Układu Słonecznego w modelu Colmana). Z kolei posługując się analogiczną aplikacją teorii morskich Mahana, Colman dowodzi, iż opanowanie przestrzeni kosmicznej Ziemi (łącznie przezwyciężenia problemów grawitacji) jest nie tylko możliwe, lecz strategicznie niezbędne. Kontrola taka nie tylko otwiera drzwi do szerszych przestworzy, lecz zapewnia przewagę w militarnej kontroli Ziemi.

Teorie Colmana, jakkolwiek mogą wydawać się nierealistyczne, stanowią mocny bodziec dla dalszego rozwijania

4. E.C. Colman: „Geography in the Space Age: An Astropolitical Analysis" (Geografia w wieku przestrzeni: astropolityczna analiza), w zbiorze „Geopolitics, Geography and Strategy", Ed. C.S. Gray, G. Sloan, wyd. Frank Cass, London, 1999.

Autor, ekspert w dziedzinie technologicznych badań przestrzeni, w latach 1986-1994 był pracownikiem naukowym US Space Command. W przygotowaniu książka pt. „Astropolitics and Astropolitik: International Cooperation and Conflict in Outer Space", która ma być pierwszą, rewolucyjną pracą w dziedzinie strategii przestrzennej.

5. Halford Mackinder, wybitny geograf i historyk brytyjski, uważany za ojca nowoczesnej „geopolityki", zwracał uwagę na doniosłą rolę geografii w polityce. Twórca tzw. „teorii lądowej" (ang. *heartland theory*), postulującej strategiczną nadrzędność lądu wobec morza. Teorie te zakwestionował inny brytyjski uczony i strateg Mahan, postulując wyższość mocarstw morskich, nad lądowymi. Obie teorie odegrały znaczącą rolę w kształtowaniu brytyjskiej polityki imperialnej w pierwszej połowie XX wieku.

kosmo-strategii, sygnalizując niebezpieczny trend w kierunku ewentualnej militaryzacji przestrzeni. Niebezpieczny dlatego, bo ostateczną stawką w grze jest sprawa zagrożenia pojęcia „suwerenności" na Ziemi.

●

Administracja Clintona, czy też jej następcy, stoją w obliczu różnych opcji rozwoju systemów NMD, wychodzących poza skromne zarysy jednobazowych projektów w Północnej Dakocie lub na Alasce. Jedną z opcji jest zaprojektowany już w czasach G. Busha program tzw. GPAL (ang. *Global Protection Against Limited Strikes*), zakładający 750 interceptorów w sześciu bazach, zdolnych do każdorazowego zniszczenia ok.100-200 głowic balistycznych. Tylko na taką skalę zakrojony projekt NMD może zagwarantować skuteczną obronę przed atakiem adwersarza na miarę Rosji, tylko taki system miałby strategiczny sens. Problem jest jednak z kosztami, obliczanymi tylko w pierwszej fazie na ok. $ 50 bn, a mogącymi przybrać astronomiczne rozmiary. Pytaniem pozostaje, czy rzeczywiście warto. Czy za taką cenę warto ryzykować nową „zimną wojnę", tym razem nie tylko na ziemi, lecz rozciągniętą do przestrzeni kosmicznej.

Janusz MONDRY

Wywiady „Kultury"

„Najpierw trzeba odrobić zadania domowe"

ROZMOWA Z PROF. MARKIEM DĄBROWSKIM O TRANSFORMACJI UKRAIŃSKIEJ GOSPODARKI

Ekonomista MAREK DĄBROWSKI (ur. 1951) jest liberałem i monetarystą. W pierwszym postkomunistycznym rządzie Rzeczypospolitej Tadeusza Mazowieckiego był wiceministrem finansów.

Prof. Dąbrowski był współtwórcą Unii Demokratycznej, która po mariażu z Kongresem Liberalno-Demokratycznym przekształciła się w Unię Wolności. W latach '91-93 był posłem. Po upadku rządu Hanny Suchockiej i rozwiązaniu parlamentu wycofał się z polityki. Jest współtwórcą i wiceprezesem Centrum Analiz Społeczno-Ekonomicznych CASE w Warszawie. Od lutego '98 jest członkiem Rady Polityki Pieniężnej Narodowego Banku Polskiego.

Marek Dąbrowski od lat uczestniczy w programach pomocy dla postkomunistycznych państw Europy Wschodniej i Azji. Doradza rządom i bankom centralnym Ukrainy i Kirgistanu (od '93), Gruzji (od '96) i Mołdowy (od '98); doradzał w Rosji ('91-94), Kazachstanie ('95-96), Mongolii ('96), Uzbekistanie ('96-97), Bułgarii ('97), Rumunii ('97-98) i Macedonii ('99).

AURELIUSZ M. PĘDZIWOL: – *Jak daleko Ukraina pozostaje w tyle za innymi krajami regionu, zwłaszcza za tymi, które prowadzą już rozmowy o wejściu do Unii Europejskiej?*

MAREK DĄBROWSKI: – W stosunku do krajów Europy Środkowej i państw bałtyckich dystans jest rzeczywiście spory i – co gorsze – pogłębił się jeszcze w ciągu ostatnich dwóch, trzech lat. Szczególnie nieprzyjemnym momentem był kryzys

rosyjski i – zaraz potem – kryzys ukraiński, w sierpniu i wrześniu '98 roku. Doszło wtedy do wymuszonej dewaluacji narodowych walut. Rosja jednostronnie zadeklarowała faktyczny *default* [zwłokę] w obsłudze zadłużenia publicznego. W wypadku Ukrainy miała miejsce – że się tak wyrażę – wymuszona dobrowolna restrukturyzacja, zresztą kilkakrotna, z podobnym efektem. To oczywiście znacznie obniżyło stopień zaufania do tych gospodarek na arenie międzynarodowej, a wewnętrznie sparaliżowało proces reform.

Bardzo głęboki, dramatyczny kryzys w Bułgarii w latach '96-97 spowodował kompletną zmianę konstelacji politycznej, zreorganizowanie się sił występujących na rzecz reform i przyjście silnego rządu reformatorskiego premiera Kostova, który teraz w sposób wręcz przykładowy nadrabia zaległości. Niestety, na Ukrainie, ale także w Mołdowie, Rosji, na Zakaukaziu i w Azji Środkowej, pierwszą reakcją na kryzys były próby sięgania do restrykcji administracyjnych, ograniczanie stopnia wymienialności walut, wprowadzanie kontroli cen, głównie na szczeblach lokalnych, i zwiększanie barier w handlu zagranicznym.

W wypadku Ukrainy sytuacja dodatkowo się skomplikowała przez dwie kampanie wyborcze. Jeszcze przed najbardziej dramatyczną fazą kryzysu, na wiosnę '98 roku, odbyły się wybory parlamentarne, a w końcu października ubiegłego roku wybory prezydenckie. To spowodowało, że właściwie przez dwa lata panował tam stan zawieszenia, niechęć do podejmowania jakichkolwiek trudnych, niepopularnych decyzji: przez prezydenta, rząd, parlament. A działania reformatorskie w większości wypadków są krokami trudnymi.

A.M.P.: – *Czyli dotychczasowe działania nie wystarczą, by rozkręcić gospodarkę Ukrainy, wprowadzić ją na ścieżkę wzrostu?*

M.D: – Oczywiście ukraińska gospodarka jest o wiele bardziej rynkowa, niż osiem czy dziewięć lat temu. Pewne reformy przeprowadzono, nie stworzyły one jednak dotąd masy krytycznej, która by mogła dać impuls do wzrostu gospodarczego. A trzeba tu jeszcze uwzględnić strukturalną spuściznę państw postsowieckich – bardzo energo- i kapitałochłonny

przemysł ciężki, zbrojeniowy, chemiczny, maszynowy, nieefektywny przemysł lekki i spożywczy. Z podobnymi problemami zetknęły się państwa bałtyckie, Białoruś i Rosja.

Skala niezbędnej restrukturyzacji gospodarki była więc o wiele większa niż na Węgrzech, w Polsce, czy w krajach dawnej Jugosławii. A do tego reformy na Ukrainie przebiegały bardzo powoli. Niestety, elity polityczne nie potrafiły wykorzystać niepodległościowego entuzjazmu '91 i '92 roku. Pierwsze lata, do roku '94, zostały właściwie całkowicie stracone.

Czasy prezydenta Leonida Krawczuka to populistyczne eksperymenty zakończone hiperinflacją '93 roku. Krawczuk budował państwo niepodległe, narodowe, ale opierające się na wzorcach komunistycznych. Efektem tego okresu niekonsekwentnego reformowania było narastanie dysproporcji i umacnianie się grup interesów związanych z rozwiązaniami przejściowymi. I to głównie one blokowały potem reformy.

A.M.P.: – *Teraz ma się to zmienić. Nowy premier, Wiktor Juszczenko, proponuje radykalny program reform. Czy tak radykalny, jak w Polsce przed dziesięciu laty?*

M.D.: – Niewątpliwie sytuacja polityczna na Ukrainie jest dziś inna niż na przykład przed rokiem. Jest po wyborach i referendum. Prezydent ma potwierdzony mandat i jest to – przynajmniej według obowiązującej dziś konstytucji – jego ostatnia kadencja.

Ale przede wszystkim w programie prezydenta i w programie nowego rządu i nowego premiera pojawiły się bardzo silne akcenty proeuropejskie. To oczywiście nie musi od razu mieć przełożenia praktycznego. To jest pewnego rodzaju deklaracja ideowa i geopolityczna. Nie musi ona być jednakże pustym frazesem, lecz może stanowić pewną wytyczną porządkującą konkretne posunięcia w sferze gospodarczej.

Rzeczywiście program rządu Wiktora Juszczenki zapowiada szereg ważnych reform rynkowych. Nie ma większego sensu porównywać go do polskiego programu z '89 roku, bo wtedy w Polsce była inna sytuacja. Nie ma potrzeby przeprowadzania tak szerokich reform, jak na początku procesu transformacji. Część z nich Ukraina ma już na szczęście za sobą. Natomiast konieczne jest przyspieszenie reform struktu-

ralnych i instytucjonalnych, aby nadrobić dystans dzielący Ukrainę nie tylko od krajów Unii Europejskiej, ale też od państw Europy Środkowej i krajów bałtyckich, które zakończyły już pierwszy okres transformacji, powróciły do wzrostu gospodarczego i w tej chwili mają jasne perspektywy integracji z Unią Europejską.

Z tego punktu widzenia sytuacja Ukrainy jest więc gorsza.

A.M.P.: – *Jakie znaczenie w przemianach, do których powinno dojść na Ukrainie, mają jej najbliżsi sąsiedzi? Jaką rolę może odegrać sama Unia Europejska na rzecz przyspieszenia rozwoju Ukrainy? Czy te kraje mogą wpłynąć na przemiany na Ukrainie?*

M.D.: – Tak, mogą pomóc, ale oczywiście nic nie zastąpi wewnętrznej determinacji społeczeństwa i elit politycznych.

Pamiętajmy, że dotąd Ukrainie nie brakowało wsparcia z zewnątrz. Ukraina jest największym po Izraelu i Egipcie beneficjantem pomocy zagranicznej, w tym pomocy technicznej rządu Stanów Zjednoczonych. Otrzymuje także znaczącą pomoc Kanady i Unii Europejskiej. Ukraina była wielokrotnie zachęcana przez Zachód i przez sąsiadów (w tym Polskę) do reform. Od r. 1994 otrzymuje też kredyty Międzynarodowego Funduszu Walutowego i Banku Światowego. Organizacjom międzynarodowym nie można zarzucić zbyt ostrego stosunku do Ukrainy. Wręcz przeciwnie, ja bym nawet postawił zarzut stosunku zbyt liberalnego – w tym sensie, że aprobowano programy gospodarcze, które nie były dostatecznie konsekwentne i nie gwarantowały sukcesu.

Patrząc na doświadczenia innych krajów naszego regionu, należy stwierdzić, że czynnik zewnętrzny może odegrać istotną rolę psychologiczną. Pewną rolę mogą też odegrać środki przeznaczone na pomoc techniczną. Wobec kłopotów z uregulowaniem nagromadzonych długów i zamkniętego dostępu do międzynarodowego rynku finansowego po kryzysie '98 roku, kluczowe znaczenie mają kredyty Międzynarodowego Funduszu Walutowego i Banku Światowego.

Co zrobić, żeby ta pomoc była efektywna? Myślę, że powinna być obwarowana bardzo precyzyjnie określonymi i

konsekwentnie egzekwowanymi warunkami związanymi z postępem reform. Pomoc niczym nie uwarunkowana jest demoralizująca, a najbardziej wspomaga korupcję, której oczywiście na Ukrainie nie brak. To jest jeden z bardzo poważnych problemów społecznych i ekonomicznych.

A.M.P.: – *Podkreśla Pan, że najważniejsze jest odrobienie zadania domowego. Pan był doradcą ukraińskiego rządu. Czy spotkał Pan tam ludzi, którzy zdolni są je odrobić? Czy jest w nich dość zdecydowania?*

M.D.: – CASE nadal pomaga władzom Ukrainy. Myślę, że obecny rząd jest pierwszym zasługującym na miano reformatorskiego. Poprzednie gabinety reprezentowały w głównej mierze interesy i mentalność postsowieckiej, regionalnej nomenklatury. Chciałbym przede wszystkim podkreślić determinację samego premiera Juszczenki, który rozumie, dokąd powinna Ukraina zmierzać; rozumie, na czym polegają skuteczne reformy gospodarcze; jest zadeklarowanym zwolennikiem nie tylko twardej waluty, i niskiej inflacji – co udowodnił jako prezes banku centralnego – ale także prywatyzacji, dekolektywizacji rolnictwa, liberalizacji handlu, a także proeuropejskiej orientacji Ukrainy, o czym już wspominałem.

W rządzie znalazło się też kilka osób, które zdobyły proreformatorską reputację, jak na przykład pierwszy wicepremier Jurij Jechanurow, minister finansów, Igor Mitjukow, czy minister gospodarki, Sergiej Tyhypko. Jest oczywiście pytanie: Czy to wystarczy? Ja mam pewne wątpliwości. Nadal brakuje nowych twarzy w innych ministerstwach i na szczeblach wiceministrów.

Rząd został poddany głębokiej reorganizacji, zmniejszono liczbę ministerstw, zmniejszono liczbę wiceministrów. To jest oczywiście bardzo ważne, ale ta reforma nie jest jeszcze zakończona.

Myślę też, że w trakcie reformy administracji powinno się poświęcić ogromną rolę polityce kadrowej. Nie chcę tu porównywać Ukrainy do krajów Europy środkowowschodniej, czy państw bałtyckich, ale nawet w innych krajach WNP – Gruzji, Kirgistanie czy Armenii – znajdzie się w rządach znacznie więcej ludzi młodych, z nowoczesnym wykształce-

niem, zdobytym na Zachodzie, czy nawet na terenie dawnego ZSSR, ale w uczelniach zorientowanych już rynkowo. Ludzi, którzy nie mają obciążenia mentalnego poprzedniej epoki.

Nie zawsze młodzi ludzie się sprawdzają, ale w każdym razie statystycznie dają większą szansę na to, że nie będą obciążeni komunistycznymi wzorcami funkcjonowania państwa i gospodarki.

Na Ukrainie postęp tego rodzaju jest niestety zbyt mały. Reformatorzy, którzy są obecnie w rządzie, reprezentują średnie pokolenie. Brakuje osób młodszych, trzydziestolatków. Tak samo w administracji. Ukraina ma już dużo młodych, wykształconych ludzi, dobrych prawników i ekonomistów. Tylko że możliwości kariery dla nich w strukturach administracji państwowej były dotąd znikome.

A.M.P.: – *A jaką rolę może odegrać na Ukrainie kapitał zagraniczny? Jak na razie nie za bardzo garnie się w tamtą stronę.*

M.D.: – Rzeczywiście, robi to w bardzo ograniczonym stopniu i dotyczy to jedynie kilku sektorów: telefonii komórkowej, handlu i – w niewielkim stopniu – bankowości. Niewątpliwie Ukraina nie stworzyła dotąd sprzyjających warunków instytucjonalnych i klimatu dla inwestycji zagranicznych.

A.M.P.: – *Czyli znowu chodzi o zadanie domowe?*

M.D.: – Tak, oczywiście. Pod tym względem Ukraina jest nawet niżej notowana niż Rosja. Jeśli chodzi o jakość ustawodawstwa jest też niewątpliwie gorzej niż w Rosji. A poza tym Ukraina nie ma tak atrakcyjnych zasobów surowcowych, jak Rosja, gdzie – mimo ryzyka prawnego czy politycznego – znajdują się inwestorzy zainteresowani na przykład ropą naftową czy metalami kolorowymi.

Zagraniczny kapitał mógłby się zainteresować Ukrainą w wypadku stworzenia przez nią stabilnego, liberalnego ustawodawstwa, przejrzystego i prostego systemu podatkowego, podjęcia skutecznej walki z korupcją i deregulacji gospodarki.

Dalszym argumentem mogłaby być prywatyzacja nastawiona nie na insiderów, lecz na inwestorów strategicznych.

W tej chwili pojawia się taka szansa. Po długich debatach politycznych nowy rząd zadecydował, że będzie prywatyzował zarówno telekomunikację (Ukrtelekom), jak też przedsiębiorstwa sektora energetycznego. Przebieg tej prywatyzacji będzie stanowił sprawdzian rzeczywistych intencji rządu: Czy przetargi będą otwarte i dostępne dla inwestorów zagranicznych, i czy będą oni mogli kupić większościowe pakiety? Czy też będzie to mechanizm preferujący inwestorów krajowych i z tak zwanych *off shore* – czyli kapitał ukraiński lub rosyjski, który się ulokował gdzieś na Cyprze lub na Bahama?

To będzie więc bardzo poważny test, a zarazem szansa rozwiązania problemów zadłużenia i bilansu płatniczego. Bo akurat te gałęzie mogą zostać sprzedane za poważne sumy i mogą spowodować duży napływ kapitału zagranicznego, tak jak na Węgrzech, w Polsce, Estonii czy w Czechach. To może także zmienić obraz Ukrainy na zewnątrz i spowodować pozytywną reakcję łańcuchową.

A.M.P.: – *Obaj uczyliśmy się w szkole o legendarnych ukraińskich czarnoziemach. Jak wygląda ukraińskie rolnictwo? Czy to może być spichlerz Europy?*

M.D.: – Na pewno nie jest to perspektywa najbliższych lat. Na razie ukraińskie rolnictwo przeżywa permanentny spadek produkcji. Sytuacja jest w zasadzie patowa, dominują bowiem gospodarstwa kolektywne czy *quasi*-kolektywne. Na początku lat 90-tych wprowadzono częściową reformę, to znaczy przyznano zatrudnionym w sowchozach i kołchozach udziały gruntowe. Ale były to tak zwane udziały idealne, to znaczy określono areał, ale nie wydzielono konkretnych działek.

Trzeba jeszcze pamiętać o tym, że struktura demograficzna na wsi ukraińskiej jest zła, podobnie jak w Rosji czy na Białorusi. To są w większości ludzie starsi, wychowani jeszcze w systemie kołchozowym. To dodatkowo przeszkadza w rozwoju rolnictwa indywidualnego.

A jeśli dołączyć do tego fakt, że kolektywne gospodarstwa otrzymują od państwa finansowe wsparcie w tej czy innej postaci, to łatwo zrozumieć, że rzeczywiste szanse indywidualnego rolnika są gorsze. Tak było do tej pory.

Do tego dochodzą bariery prawne, to znaczy niemożność

wydzielenia działki ziemi, różnego rodzaju represje administracyjne w wypadku, gdy ktoś się na to decydował, czy też niechętny stosunek i szykany ze strony zazdrosnych sąsiadów. Następnie – wobec ułomnych praw własności – niemożliwość zaciągnięcia kredytu hipotecznego. Dalej – brak rynku ziemi, a więc możliwości handlu gruntami.

Nowy dekret prezydenta z grudnia '99 roku wprowadził od 1 kwietnia tego roku możliwość wydzielania działek. Nadal jednak nie są rozwiązane problemy handlu ziemią, hipoteki, rejestru.

Jak pokazuje doświadczenie Bułgarii, Rumunii, czy Węgier, dekolektywizacja trwa kilka lat i jest to proces skomplikowany prawnie i technicznie. Wprawdzie na Ukrainie część dużych gospodarstw kolektywnych podzieliła się już na mniejsze, w części z nich zaszły także nieformalne procesy prywatyzacyjne, wydzielenie różnego rodzaju działek ziemi czy zwiększenie działek przyzagrodowych, ale to dopiero początek drogi. Jeśli nawet założymy, że będzie istniała dostateczna wola polityczna i mechanizmy prawne, żeby przyspieszyć dekolektywizację, to musi upłynąć kilka lat, zanim zacznie dawać to efekty.

A.M.P.: – *Czy jednak to dzielenie sowchozów, kołchozów, nie grozi z drugiej strony nadmiernym rozdrobnieniem – problemami innego rodzaju, z jakimi dziś boryka się Polska? Czy nie należałoby raczej zachować dotychczasowej wielkości tych gospodarstw?*

M.D.: – Na Ukrainie przeważały dotąd gospodarstwa wielkości tysięcy hektarów, a zatem wielokrotnie większe niż kilkusethektarowe farmy na zachodzie Europy. Poza tym wydaje mi się, że od wielkości gospodarstwa ważniejszym problemem jest kwestia efektywnego właściciela, zainteresowanego wynikami gospodarowania. Obecnie sytuacja jest taka, że tego właściciela praktycznie nie ma. A właściwie panuje system *quasi*-feudalny, gdzie w charakterze feudała występuje przewodniczący kołchozu. Ale w odróżnieniu od dawnego feudała on też nie jest właścicielem, lecz jest podporządkowany układom politycznym. Tak więc obecny system jest wyjątkowo niedobry.

Jeśli zaś chodzi o strukturę gospodarstw, to biorąc pod uwagę wielkość areału rolnego i wspomnianą sytuację demograficzną sądzę, że rozdrobnienie na gospodarstwa dwu-, trzy-, czterohektarowe – może poza obszarami górskimi – nie grozi.

Myślę, że dekolektywizacja powinna mieć pierwszeństwo. Musi pojawić się właściciel – oraz procesy rynkowe. Na początek trzeba jednak stworzyć podstawową infrastrukturę prywatnej własności.

A.M.P.: – *Czy i w tej dziedzinie jest szansa na wejście kapitału zagranicznego w jakiś sposób?*

M.D.: – Jeśli chodzi o samo rolnictwo – nie mówię tu o przemyśle rolno-spożywczym – to myślę, że jeszcze jest do tego daleko. Kapitał zagraniczny nie może bowiem wejść, jeśli nie są uregulowane sprawy własnościowe. Poza tym na Ukrainie cudzoziemcy nie mogą nabywać ziemi. Znamy zresztą te lęki i strachy z polskiego podwórka.

A.M.P.: – *A co Pan radzi w tej kwestii rządowi ukraińskiemu? Czy w ogóle padają pytania na ten temat?*

M.D.: – Czasami padają. Ja oczywiście jestem za zniesieniem wszystkich ograniczeń w przepływie kapitału, łącznie z kapitałem finansowym, tym bardziej więc jestem za zniesieniem ograniczeń w inwestowaniu w sektor realny gospodarki, w tym też zakup ziemi. I w Polsce, i na Ukrainie, i w Rosji, i gdziekolwiek indziej zawsze powtarzam: Nikt, kto kupi tę ziemię, nie wyniesie jej z kraju na plecach. Ale spotykałem się też z bardzo demagogicznymi argumentami, także ze strony polityków ukraińskich, że czarnoziem jest unikalnym bogactwem Ukrainy, tak więc trzeba go chronić przed obcymi.

Rozmawiał Aureliusz M. PĘDZIWOL

Rozmowa została przeprowadzona przy okazji konferencji „Polska-Wschód 2000", którą w dniach 7 do 9 kwietnia zorganizowała w Lublinie Polska Rada Ruchu Europejskiego wespół z Centrum Stosunków Międzynarodowych, Instytutem Europy Środkowo-Wschodniej, Fundacją „Wiedzieć Jak" oraz Instytutem Wschód-Zachód.

Kraj

„Business as usual"

1.

Pojawiają się oznaki, że Polacy zaczynają się znowu interesować przyszłością świata. Przed dziesięciu laty skłonni byli mniemać, że jest ona przesądzona, teraz wracają pytania. Ale nie jest już tak jak w latach 60-tych i 70-tych, kiedy rodziły się wielkie ruchy ekologiczne, a głównym problemem wydawała się pojemność Statku Ziemia. Niepokój o przyszłość świata jest dziś o wiele bardziej związany z niepewnością i lękiem o przyszłość własną i przyszłość kraju. Ten sandwicz „Świat, Polska i Ja" jest teraz gęściej upakowany, wręcz sprasowany. Mówię oczywiście o ludziach młodych, którzy czegoś się od przyszłości chcą spodziewać – i o tych, którzy niezależnie od wieku i osobistych nadziei (lub ich braku) nie umieją się zadowolić potoczną interpretacją epoki: że wprawdzie jest w niej mnóstwo ruchu, pędu i hałasu, ale wszystko zarazem stało się stabilne a układy sił są tak trwałe jak spiżowe tablice. Że, innymi słowy, nie trzeba wiele myśleć, lecz wskoczyć na deskę i pędzić z innymi.

Pytaniem, które dla młodego Polaka ogniskuje całą problematyczność przyszłości, jest pytanie o pracę. Na wszystkich poziomach egzystencji: czy będę miał za co żyć, czy zdołam założyć rodzinę, czy nadam sens memu życiu, czy będę w stanie godnie żyć... Sądzę, że pospieszne i powierzchowne głosy socjologów z Zachodu, którzy proklamują koniec epoki pracy i jej przesunięcie na margines prawdziwego życia, rozmijają się całkowicie z preokupacjami młodych Polaków, nawet jeśli zdają się je potwierdzać fenomeny mody i naśladownictwa ze sfery kultury masowej. Zresztą również na Zachodzie ten „koniec epoki pracy" jest chyba niczym więcej, jak próbą magicznego opisu najgroźniejszych zjawisk na horyzoncie XXI wieku: rozwoju technologii, który pozwoli kapitałowi zastąpić na niespotykaną dotąd skalę pracę żywą. Opisu magicznego w tym sensie, że pozorującego rozwiązanie problemu przez jego unieważnienie: jeśli „epoka jest skończona", to nie ma powodu zajmować się tematem marginalnym, że gdziś tam jeszcze ludzie nadal pracują.

Na horyzoncie zatem rysuje się już nie tylko tzw. bezrobocie strukturalne, ale świat ludzi trwale niepotrzebnych. To jednak tylko iluzja, choć groźna. Jeśli bowiem ludzie będą niepotrzebni, to co stanie sie z masową konsumpcją, która ciągnie całą machinę gospodarki? A może nastanie darmowe rozdawnictwo? Któż to jednak sfinansuje – i za co?... Śmieszne pytania, które pokazują, jak wikła się wyobraźnia, kiedy upiera się przy tym, co uważane jest dzisiaj za wieczne instytucje cywilizacji: przy gospodarce rynkowej, świętym prawie własności, konkurencji i technologicznym rozwoju, który wprzęga naukę w służbę rynku... Raczej niż wierzyć, że ludzie przestaną pracować, rozsądniej jest przypuszczać, że wyrzekną się cywilizacji, która ich pracy pozbawia.

Ale to daleka perspektywa. Tymczasem rozwój techniczny, eliminując wytwórcze stanowiska pracy, produkuje masowo nowe typy usług – trochę wysokopłatnych, jak np. analitycy systemów i rozmaici menadżerowie i mnóstwo głodowo (nawet w USA) wynagradzanych „chwilówek". Pytanie, oczywiście, jak długo konsument w krajach wysokorozwiniętych będzie się zachowywał jak tuczna gęś, której wpycha się w gardło coraz więcej coraz nowszych usługowych gadżetów, skoro zorientuje się, że są mu one na nic, a pożytek przynoszą wyłącznie usługodawcy (przykład współczesny: usługi bankowe z kartą kredytową). Pytanie również, kiedy oszczędności globalne na kosztach pracy z takiego rozwoju spadną do zera. Ale to również odległa perspektywa (choć nie tak daleka jak poprzednia).

Tymczasem jesteśmy w dniu dzisiejszym w Polsce, w kraju, w skali światowej, na pozycji „niskiej średniej". Mamy wiosną 2000 dwa i pół miliona bezrobotnych, z perspektywą trzech milionów pod koniec roku. Nasz rynek pracy jest trojako chory. Cierpi tak, jak w rozwiniętych krajach euro-

pejskich, kiedy np. ABB, szwajcarsko-szwedzki potentat, który wykupił był polski przemysł konstrukcji energetycznych – racjonalizuje zatrudnienie w Elblągu, gdzie bezrobocie wynosi już ponad 20%. Cierpi tak, jak w „zwykłym" kraju postsowieckim, kiedy Ministerstwo Gospodarki i Transportu „restrukturalizuje" przemysły ciężkie, górnictwo, hutnictwo, kolejnictwo, aby zmniejszyć ich potencjał i produkcję do poziomu akceptowalnego na rynku europejskim, a Ministerstwo Skarbu pozyskuje inwestorów z kapitałem, aby zechcieli rozwinąć inną produkcję, bardziej nowoczesną. Ale oni, niestety, prawie nic nie budują nowego „na zielonym"; wykupują tylko to, co istnieje... I polski rynek pracy cierpi wreszcie i tak, jak w każdym kraju, gdzie są całe rejony i sektory głębokiego zacofania: ludzie bez żadnych kwalifikacji użytecznych we współczesnej gospodarce. A jeszcze do tego – brak mieszkań, niska mobilność siły roboczej.

Bezrobocie zmniejszyć mógłby, bezpośrednio, bardzo szybki wzrost gospodarczy. Tempo założone na ten rok (5,2% wzrostu PKB) nie pozwoli na spadek bezrobocia ani nawet na powstrzymanie jego wzrostu, do zwykłych czynników koniunkturalnych dochodzą bowiem dwa obciążenia. Na rynek pracy wchodzić zaczyna szczyt fali demograficznej, zarazem przedsiębiorstwa polskie i zagraniczne przyspieszają racjonalizacje i restrukturalizacje, na co pozwala im kończenie się terminów ochronnych zawarowanych w kontraktach prywatyzacyjnych – i co wymusza perspektywa wejścia do Unii Europejskiej.

Drugim, skuteczniejszym, ale dopiero po kilku-kilkunastu latach lekarstwem na bezrobocie, ma być awans edukacyjny. Po reformie oświatowej spodziewa się pozytywnych rezultatów 80% respondentów ankiet. To bardzo dobry wynik, ale odzwierciedla on raczej nadzieje niż rzetelne oceny. Jak wiadomo to, co jest już wdrażane z całego pakietu reformy, tzn. likwidacja szkół i etatów nauczycielskich tam, gdzie brakuje uczniów do normatywu, odpowiada racjonalności ekonomicznej budżetu, ale na pewno dzieje się z krzywdą dzieci i społeczności wiejskich. Uczniowie dojeżdżający będą z konieczności zmęczeni i wyłączeni z wielu dodatkowych zajęć w szkole, łącznie z ową pracownią komputerową i Internetem, które obiecuje ministerstwo. Kiedy w grudniu 1998

CBOS badał ogólnopolską grupę 1316 uczniów z ostatnich klas ówczesnych szkół ponadpodstawowych 57% odpowiadało, że za „10-15 lat" będzie mieć wyższe wykształcenie (wobec 25% w 1990). Wśród uczniów ze wsi takich odpowiedzi było, mimo wszystko, 45%, co kontrastowało z rzeczywistym stanem rzeczy na wsi: 2% mieszkańców z wyższym wykształceniem (1,8% w 1988). Powstaje jednak pytanie, czy młodzi z biednych rodzin, zwłaszcza wiejskich, zdołają się przebić przez zreformowaną szkołę... i utrzymać na uczelni*. Ambitnym planom reformy oświaty nie towarzyszą bowiem pieniądze. Budżet jest pusty. Podobno.

2.

Wicepremier Balcerowicz ogłosił w 1999 plan reformy finansów publicznych przewidujący redukcję udziału dochodów sektora finansów publicznych w PKB o 10 punktów procentowych w ciągu 10 lat. Oznaczałoby to, że w budżetach III RP pieniędzy ma brakować stale – i to raczej coraz więcej. Jest to finansowy wyraz znanej tezy o redukcji społecznej i gospodarczej roli państwa: jakkolwiek by go było mało, ot i tak za dużo... 8 kwietnia odbyła się w Warszawie konferencja krajowa UW poświęcona polityce partii. Jak słychać, przewodniczącemu przygadano ostro, zarzucając głuchotę na sprawy socjalne – sam Mazowiecki zabrał głos, „reaktywując" swoje hasło społecznej gospodarki rynkowej, o którym Balcerowicz twierdzi, że nie wie, co by miało znaczyć. Znajomy powiedział mi, że cała debata robiła dziwne wrażenie. Politycy Unii myślą nieustannie, jak wyjść cało z nadchodzącej potrzeby wyborczej 2001 (bo wybory prezydenckie gotowi są odpuścić). Balcerowicza natomiast główną troską jest pozostawienie przyszłemu rządowi SLD w spadku tak ukształtowanej sytuacji, żeby nie mógł on odstąpić od woli testatora. Otóż najnowsze wydarzenia wskazują, że na tej drodze wicepremier zdobył niechcący punkty. Doradca prezydenta prof. Marek Belka, typowany na ministra finansów w

* Nie wiadomo, ile jest młodzieży ze wsi na studiach wyższych. Nie wiadomo również, ilu młodych ludzi ze wsi po ukończeniu studiów nie wraca na wieś. Wiadomo tylko, że bardzo wielu i że tak było zawsze.

rządzie SLD, który występował jako gość na I Kongresie Polskiej Konfederacji Pracodawców Prywatnych, uznał, że priorytetem priorytetów jest wzrost eksportu i że wobec tego potrzebna jest restrykcyjna polityka budżetowa ograniczająca popyt przez np. niedopuszczanie do nieplanowanego wzrostu płac i świadczeń. Było *nb.* zabawne, że opinie Belki okazały są diametralnie przeciwne temu, co mówi znany z opozycji wobec Balcerowicza Jerzy Kropiwnicki z Rządowego Centrum Studiów Strategicznych. Kropiwnickiego niepokoi chęć ograniczania popytu, ponieważ inflację podsycały głównie ceny paliw, które w 1999 wzrosły o 57%, a nie popyt. Importu, zdaniem Kropiwnickiego, nie należy sztucznie hamować, bo w ponad 80% składa się on z niezbędnych dostaw inwestycyjnych i zaopatrzeniowych. Szef RCSS jest jednak odosobniony wśród ekonomistów liberalnych, którzy wielkim głosem krzyczą o blokowanie popytu (płac, świadczeń) w imię osłabienia presji importowej i podsycenia eksportu. Okazało się bowiem, że deficyt na rachunku płatności bieżących przekroczył już 8% PKB, co jest poziomem kryzysowym. Prof. Wacław Wilczyński porównuje: „W tej chwili Polska żyje ze sprzedaży majątku. Zachowujemy się jak przedwojenny hrabia, który by dobrze żyć w Monte Carlo sprzedaje kolejną wieś".

Istotnym elementem zagrożenia płatniczego jest zadłużenie zagraniczne polskich firm (tj. rejestrowanych w Polsce, bo chodzi również o filie zagranicznych przedsiębiorstw). Przekroczyło ono z końcem 1999 roku 25 mld dol. (8,6 mld dol. w końcu 1995), a szczególnie szybko rośnie zadłużenie krótkoterminowe (do roku). Firmy zadłużają się zagranicą, ponieważ kredyt w Polsce jest bardzo drogi: NBP pilnuje inflacji i prowadzi politykę wyśrubowanych stóp procentowych, co z kolei umacnia złotówkę i utrudnia eksport. Bogusław Grabowski, jeszcze jeden liberalny monetarzysta z Rady Polityki Pieniężnej, dywaguje w związku z tym w rozmowie z Anną Machiewicz z *Gazety Wyborczej* (25-26 marca): „...bezpieczniej dla nas byłoby, gdyby do ewentualnego osłabienia złotego doszło, gdy zadłużonych jest, powiedzmy, 2 tys. firm na 20 mld dolarów, niż gdyby było ich pięć razy więcej i pięciokrotnie większe byłoby ich zadłużenie.

...Chcę podkreślić, że Rada podejmuje takie decyzje, które prowadzą do zmniejszenia inflacji. Nie może realizować kilku celów równocześnie, zwłaszcza że są one sprzeczne. Nie można obniżać inflacji i równocześnie dbać o polepszenie wyników w obrotach bieżących.

Rada może tylko apelować do elit politycznych o opamiętanie. Chodzi tu zarówno o koalicję rządową jak i opozycję. Konieczne jest zrozumienie, że potrzebujemy radykalnych działań, w tym szybkiego ograniczenia deficytu budżetowego, który jest główną przyczyną wzrostu deficytu obrotów bieżących".

Na zakończenie Grabowski postraszył „elity" kryzysem walutowym („może małym") jeśli się nie poprawią. Marek Belka odpowiedział krytyką Rady: „Nie może być tak, że Rada prowadzi wewnętrznie sprzeczną politykę makroekonomiczną. Dbając o spadek inflacji do wyznaczonego przez nią na ten rok poziomu, nie dba o nie więcej. To powoduje, że inflacja spada, ale problemy gospodarcze narastają gdzie indziej. Tak nie wolno robić".

Leszek Miller z SLD powiedział krótko, że jeśli dla zwiększenia wzrostu i zmniejszenia bezrobocia trzeba dopuścić do „osłabienia spadku" inflacji – to trzeba to zrobić.

3.

Czy więc Poska żyje ponad stan?

Zapewne: deficyt płatności i wyprzedaż majątku o tym niewątpliwie świadczą. Ale trzeba od razu zapytać śladem Niekrasowa (komu się na Rusi dobrze żyje?): kto w Polsce żyje ponad stan?

Wchodzi właśnie w życie ustawa o ograniczeniu uposażeń kierownictw spółek skarbu państwa i samorządów, gdzie, jak wiadomo, doszło wręcz do rozbestwienia. A ileż było jęków. Że zwłaszcza nasi państwowi menadżerowie uciekną masowo do sektora prywatnego... Ryszard Bugaj zwrócił uwagę (w *Gazecie Wyborczej*), że nie należało ograniczać się tylko do „państwowych". Przedsiębiorstwa prywatne stosują rozległy system „dodatków" dla swoich menadżerów, który wliczają sobie w koszty. Wystarczy zmienić przepis podatkowy...

O ucieczkę naszych orłów z administracji nikt się szczęśliwie nie obawia. *A propos*, Urząd Służby Cywilnej ogłosił rezultat naboru 1999. Zdawało 240 osób, zaledwie 42

uzyskały minimum 120 punktów na 200 możliwych, najgorzej było z pisaniem sprawozdania z lektury. A przecież wszyscy zdający mieli przynajmniej magisterium lub odpowiedni staż pracy w administracji publicznej i dobrą znajomość przynajmniej jednego języka obcego (absolwenci Krajowej Szkoły Administracji Publicznej przyjmowani są bez egzaminu). Najwidoczniej praca w administracji ogłupia.

Równoważenie budżetu, które popierają wszyscy cytowani wyżej ekonomiści, z doradcą prezydenta włącznie, może być realizowane różnymi sposobami. Balcerowicz dławi wszelkimi siłami wydatki socjalne nawet jeśli ponosi przy tym „koszty reform". Notorycznie głośnym w Polsce przykładem jest reforma służby zdrowia, gdzie wzrastają wyłącznie koszty administracji: kasy chorych fundują sobie kosztowne siedziby (w Warszawie: 20 mln zł Mazowiecka Kasa Chorych, 8 mln zł Związek Kas Chorych). Równocześnie wicepremier obniża podatki najbogatszym. Poseł Kracik, wierny sprzymierzeniec wicepremiera zapowiedział właśnie wznowienie batalii przerwanej w ub.r. wetem prezydenta.

Nakłady na walkę z bezrobociem są wprawdzie w tym roku mniejsze niż w roku ub. ale najskuteczniejszym instrumentem wzrostu zatrudnienia ma być nowelizacja kodeksu pracy, która wykreśli z niego zdobycze pracownicze wpisane po zwycięstwie w 1989. Chodzi przede wszystkim o ułatwienie zwolnień bez odszkodowania. Obecnie terminową umowę o pracę na trzy miesiące wolno raz tylko przedłużyć na kolejne trzy miesiące, potem automatycznie staje się bezterminowa. Odtąd ograniczenie odpanie. Inną zmianą byłoby obniżenie kosztu godzin nadliczbowych dla pracodawcy (co jest *nb.* zupełnie paradoksalne, bo gdzie indziej ogranicza się godziny nadliczbowe, aby zmusić pracodawców do zwiększenia zatrudnienia). Nie będę opisywał wszystkich kilkunastu proponowanych przez rząd zmian w kodeksie. Związki zawodowe z miejsca odniosły się do nich wrogo, zarówno NSZZ Solidarność jak OPZZ. Na początku maja odbyć się miała w Sejmie debata w sprawie bezrobocia, w której powinno było dojść do jakiegoś wyklarowania stanowisk.

Logika propozycji rządowych prowadzi do tego, że walka z bezrobociem ma się stać walką bezrobotnych z pracującymi. Pracujący, związkowcy nie chcą przyjąć do wiadomości, że

powinni „odstąpić ze swego", aby pomóc bezrobotnym w znalezieniu pracy. Przypuszczają raczej, że to, co oni stracą zostanie w kieszeni pracodawców.

Trzy czwarte ludzi w Polsce nie ma żadnych w ogóle oszczędności, żyje na styk. Możliwe, że są wśród nich też tacy, którzy żyją rozrzutnie, na przykład chodzą z żoną do kina dwa razy na miesiąc (80 zł). Ale na miejscu wicepremiera Balcerowicza nie używałbym tego argumentu.

4.

Narodowy Bank Polski w porozumieniu z rządem upłynnił w tym tygodniu kurs złotego, który dotychczas mógł się wahać w widełkach ±15% wyznaczanego przez NBP parytetu. Upłynnienie oznacza, że NBP przestaje wyznaczać kurs złotówki i że nie będzie zobowiązany interweniować na rynku w jego obronie. Dla przedsiębiorców, eksporterów, importerów oznacza to zwiększone ryzyko kursowe, choć nieznacznie, bo widełki ±15% były już bardzo luźne. Dla inwestorów portfelowych, który lokują w Polsce pieniądze, spekulacyjne upłynnienie może się stać sygnałem ostrzegawczym, zdarza się, że ostrzeżenie wywołuje panikę.

Wspomniany już tutaj Marek Belka w notatce dla Aleksandra Kwaśniewskiego ocenia, że w terminie 2-3 letnim dewaluacja złotówki będzie nieuchronna. W warunkach płynności dewaluacja nie jest urzędowa, następuje na rynku. Konieczna jest bardzo precyzyjna i skoordynowana polityka pieniężna rządu i NBP, aby ta dewaluacja przebiegła spokojnie bez kryzysu.

Nic się zresztą nie dzieje. Wiceminister finansów, Bauc, oświadczył właśnie, że złoty zapewne straci kilka procent w nadchodzących dniach, co ułatwi życie eksporterom. *Business as usual*?

14 kwietnia 2000

Krzysztof WOLICKI

Z ukosa

Jeśli czasami mam ochotę pożegnać się z czytelnikami *Kultury* – nic z tego, nie żegnam się – to również dlatego, że coraz częściej odkrywam, że powtarzam się. Zapominam, że już kiedyś coś pisałem i zmieniam się w starego piernika, który opowiada przy stole te same anegdoty. Ale to, że powtarzam tę skargę na powtarzanie się, pamiętam. Mógłbym wrócić do swoich tekstów i je ponownie po latach przeczytać i w ten sposób być może zapobiec powtórkom, ale sam nie wiem ile już zgromadziłem tysięcy stron i odczuwam lęk przed górami własnych słów. Jawią mi się jak mrowiska.

Kładę więc następny komputerowy wydruk na szczyt nowego kopczyka, ostrożnie, by nie zostać pokąsanym.

Inny problem, to moje narzekanie. Skoro tak mnie drażni narzekanie innych, też sąsiadów w *Kulturze,* to dlaczego mam tolerować własne? Że to nasza cecha narodowa, że zapewne mamy powody? Ale grzechem jest tę przypadłość wzmacniać i tak użałobniać polski krajobraz. Jestem z natury pesymistą, o tym też pisałem nie raz, ale po wiekach nieszczęść cała polska nacja ma skłonność do ciemnego widzenia. Nasze media specjalizują się w mnożeniu nieszczęść i w narzekaniu, a nasza społeczność chętnie te narzekania spożywa i sama narzeka. Przy okazji swoimi tekstami krzepię emigrację, która w okropnościach wolnej już Polski znajduje istotną wymówkę by jednak nie wracać.

Był krótki czas, gdy wbrew swej paskudnej naturze zaczynałem budować w sobie poczucie, że wszystko jednak zmierza w dobrą stronę, teraz tego poczucia nie mam. Ekonomicznie Polska się rozwija, nawet wbrew swemu bałaganiarstwu, tak mówią statystyki, to widać gołym okiem. Ale powtarzam swoją obserwację z poprzednich tekstów, że gdy zaglądam na zaplecze jakiejś instytucji, zastaję albo jakąś zdumiewającą formę dyktatury, szefowi wydaje się, że kontroluje wszystko, ale jak to bywa w dyktaturze, nie kontroluje nic. Albo panuje odwrotność tej sytuacji, wszyscy są szefami i jest nierząd

całkowity. A jednak ekonomicznie idziemy do przodu. Do przodu jednak też idzie korupcja, a brutalna materializacja życia zjada wszystko, co kiedyś było ładne między nami. Robi się doprawdy szpetnie, a więc do szpetoty zniszczonego krajobrazu architektonicznego, dochodzi szpetota międzyludzka. Kiedy widzę się z kimś z mego środowiska, to nawet ci, którym powodzi się znakomicie, wzdychają: „coś okropnego, jak jest parszywie". Ta gorycz dotyczy nie tylko mojej generacji – dla nas wolność i demokracja leżały w sferze marzeń nierealnych. Więc kiedy dokonało się, mieliśmy prawo idealizować swoje oczekiwania, spełnienie miało przecież wymiar cudu. A cud nie ma prawa być paskudny. Ale młodzi, pozbawieni naszego bagażu pamięci, też nie czują się dobrze. Mój syn, który tak często mnie krytykował, że przesadnie krytykuję ojczyznę i narzekam, mówi mi teraz: „Zauważyłem, że przestaję lubić swój kraj. Mam wrażenie, że przez te dwa ostatnie lata moralność powszechna, jak i ta moja osobista, poleciały na łeb, na szyję".

Kiedyś, wbrew opiniom tak wielu intelektualistów, nie uważałem, że cała nasza cywilizacja jest ciężko chora. Teraz tak czuję. A ta cywilizacja przybyła do nas z tego lepszego świata w formie gwałtownej i zwulgaryzowanej. W skali globalnej nigdzie i nikt nie ma rozsądnej i realnej wizji ratunku. Ci, co najgłośniej krzyczą, że złe moce zaczynają panować nad światem, sami źli albo pokraczni. My o liberalnych poglądach, winimy za ten stan rzeczy ludzką kondycję, mówimy, że to cena, którą płacimy za szybki rozwój, za egalitaryzm, postęp techniki, to wszystko pozbawia nasz świat wartości duchowych tak dla nas ważnych. Pocieszamy się, że być może to jest tylko okres przejściowy. Ale nasza, tak zwana prawica narodowo-katolicka, szuka konkretnych winnych, często właśnie wśród nas, potrzebna jest im twarz wroga. Za wszelkie zło winią przede wszystkim komunizm i jego spuściznę, a też ludzi, którzy popierali ten system. Dzisiaj to więc SLD jako spadkobierca PRL-u jest rozsadnikiem zła, obarczeni są grzechem pierworodnym, ale nie lepsi są tak zwani różowi, czyli Unia Wolności, *Gazeta Wyborcza*, liberałowie, wiele mediów. Te wszystkie siły chcą pozbawić Polski jej tradycji, katolickiego korzenia, sieją permisywizm i nihilizm, a też kosmopolityzm. Służy temu masowa kultura, aborcja, pornografia, a też

bezmyślne i bezwarunkowe wpychanie Polski w ramiona Zachodu. Jest więc jakiś spisek, niejasny jak to bywa ze spiskami, ale oczywisty, co wyjaśnia paskudzenie się w ojczyźnie wszystkiego w sferze społecznej i moralnej. Problem, że to nie wyjaśnia zła, które płynie z samego łona tej lepszej Polski, prawdziwej, narodowej, katolickiej. Przecież to ta prawdziwa Polska objęła władzę i teraz rządzi, obsadza konsekwentnie wszystko, co się da obsadzić swoimi ludźmi, czasami niestety trzeba się dzielić z różowymi z Unii Wolności. A jakie są efekty tych rządów każdy widzi. Owszem, mogłoby być gorzej, w wielu sąsiednich krajach jest gorzej, nawet Czesi, którym było zawsze bliżej do Europy, gorzej sobie radzą niż my. Ale nikt nie ma wątpliwości, że w Polsce pod nowymi rządami panuje zaskakująco duża niekompetencja. A jednym z powodów niepowodzeń jest ten klucz partyjny, chronienie władzy przed obcymi.

Czyli nawet źródła dobra zostały u nas zatrute przez mroczne siły. Dlatego bardziej rozsądni politycy i publicyści z prawej strony przyznają, że nasza polska prawica jest też chora, nieudolna, zdemoralizowana. Trzeba więc nowej, zdrowej prawicy, tylko skąd ją wziąć? Nadal jednak używa się odruchowo antykomunizmu do walki politycznej, problem, że to już nie przekonuje, a nawet przysparza zwolenników SLD. Ludzie mają dosyć języka nienawiści, dosyć prawicowo-katolickich moralistów, którzy na otwartej dłoni popełniają wszystkie grzechy, o które oskarżają swoich przeciwników. Znam sporo osób, które w tej matni popadły w paranoję. Większość jednak ludzi macha z pogardą ręką na politykę i robi swoje, czyli pieniądze. A gdy wracają do domu, siadają przed telewizorem i skaczą po kanałach, jak nieszczęsne kangury na łańcuchu. To mi się też zdarza. Inni uciekają w sekty, w nacjonalizm i konserwatyzm. Religie są jakby obok, wielkie rzeki, których brzegi zostały obetonowane, ich nurt osłabł.

Dopiero teraz zaczynam w pełni rozumieć, czyli rozumieć własnymi trzewiami, istotę buntu młodzieży lat 60-tych, a też tyle książek i filmów, których treść jednak odbieraliśmy naskórkowo. Przeglądam książkę Ericha Fromma „Rewolucja nadziei". Była pisana w roku 68, opublikowana teraz w Polsce, ma nagle poruszająco aktualną dla nas wymowę. Potwierdza jednak prawdę, że nawet najgenialniejsze umysły nigdy

nie są bardziej przebiegłe niż przyszłość, którą próbują przewidzieć. Fromm, analizując obsesje hedonistycznego materializmu, widzi też nieuchronność nuklearnej zagłady.

A więc jeszcze raz powtórzmy, w Polsce w ciągu kilku lat wzięliśmy pełnymi garściami cały śmietnik zachodniej cywilizacji i jak małe dziecko wszystko pakujemy do ust. W telewizji te same kretyńskie programy, zżynane z zachodnich telewizji. Nasi słynni prezenterzy telewizyjni, w wyjątkiem dwóch, trzech postaci, to półkretyni, a ich popularność ujawnia skalę powszechnego zapotrzebowania na bęcwalstwo. To już nie wielki artysta, uczony jest autorytetem, a te półgłówki. Wśród ludzi, szczególnie młodych, zaczynają przeważać rozmowy o pieniądzach i jak coś załatwić. Ciągle słyszę: „Masz kasę", „kasa na to, na tamto", „załatwianie kasy" – ta „kasa" to nowe określenie pieniędzy. Ale nadal trwa epidemia słowa „dokładnie", jako potwierdzenie lub przytaknięcie. Obok przekleństwa „kurwa", to jest największa kariera słowa tej ostatniej dekady. I to „załatwianie", które znakomicie przetrwało PRL a nawet się rozwinęło, załatwianie poprzez „kontakty", „dojścia", „układy", jest cały skomplikowany slang, te nazwy strumyków, które zasilają rzekę, która nazywa się „coś załatwić".

Jadąc samochodem przez Polskę, zatrzymałem się w malutkim barku przy trasie by zjeść flaki. Każda inna potrawa byłaby w tym miejscu nie na miejscu. Otwarty telewizor, ale bez głosu, muzyka rockowa płynie z innego źródła, przy ścianie stoją rzędem brzuchate automaty do gier i mrugają oczami. Przy plastikowym stoliku siedzi młody chłopak w mundurze firmy ochroniarskiej z dziewczyną obfitą gdzie trzeba, ona trzyma dłoń na jego udzie. On opowiada o kasie, jaką można zrobić na automatach, w co drugie słowo wtyka „kurwa". Ta dwójka co chwila zerka na telewizor, albo przysiada się do automatów. Wydawali mi się doskonale wypatroszeni z duchowej materii, za to podłączeni do wulgarności nowego czasu i urządzeń znieczulających na upływ czasu. A przecież jestem pewien, że oboje, szanując odwieczną tradycję, co niedziela chodzą do pobliskiego kościoła. Ciekawe jak im się mieszają te gry, przekleństwa, myślenie o kasie, oraz ten katolicki obrządek z moralnym nadzieniem kazania księdza.

Obserwuję jak zanika dawna forma spotkania, kiedy ludzie zachodzili do siebie, bezinteresownie. Teraz nawet, jeśli po kilku miesiącach spotka się kilka osób, to ten czas spotkania jest zwykle pod napięciem. Każdy ma na głowie tyle spraw i obowiązków. Nawet młodzi i najmłodsi narzekają na brak czasu, na zanik prawdziwego spotkania.

Spotykają się zwykle w pubach wśród grzmotów rockowej muzyki, a tam nie ma przestrzeni na wymianę myśli. Starsi i kulturalni spotykają się na promocjach. Polska wydaje się najbardziej rozpromowanym krajem na świecie. Każda książka, nawet byle jaka, jest „wodowana" jak oceaniczny statek pasażerski. Te bardziej komercyjne w eleganckich restauracjach, inne w skromniejszych lokalach. Promuje się wina, perfumy, kosmetyki... święcenia. Zarazem rozwija się obyczaj uświęcania przez księdza nowo otwieranych miejsc, lepsze poświęca nawet prymas lub biskup. Nie rozumiem, czemu nie święci się książek, oczywiście tych o zbożnej treści. Mogę sobie również wyobrazić święcenie promocji. Te promocje bywają rzecz jasna okazją do spotkań, gdzie tak naprawdę nikt z nikim się nie spotyka.

Ale większość ludzi spotyka się teraz najczęściej przez telefon, telefony komórkowe podbiły Polskę, powszechny zaczyna być kontakt e-mailowy. Z wielu instytucji mam informacje, że młodzi ludzie, nawet ci siedzący obok siebie biurko w biurko, coraz częściej rozmawiają ze sobą przy pomocy e-maila, taka rozmowa jest higieniczna, czyli bez konieczności patrzenia sobie w oczy. E-mail, podobnie jak telefon, samochód, telewizor jest niezwykłym wynalazkiem, ale jak wszystkie motory rewolucji komunikacyjnej wieku XX, posiada swoją drugą, groźną stronę. E-mail jest pożyteczny, jeśli towarzyszy innym formom kontaktu, choćby listowi, czy spotkaniu, a nie zjada je, on jednak z natury żarłoczny. Korzystam od jakiegoś czasu z e-mailu. To są korzyści praktyczne, szybkość przesyłania tekstu. *Kultura* ma od niedawna e-mailowy adres, a przecież przesyłanie tekstów do *Kultury* to był mój comiesięczny ból zębów, od tylu lat. Najpierw w czasach PRL słałem je potajemnie przez dzielnych, zagranicznych korespondentów, potem faksem, nawet kupiłem faks i po latach współżycia mam szczere i żywe uczucie nienawiści do tego przestarzałego urządzenia. Transmisja

była kosztowna, nieustannie przerywana, tekst docierał w zniekształconej postaci, a odbiory faksów przypominały odbiory porodu, co za stres!

Na początku mojej e-mailowej kariery, miałem poczucie łaski nadprzyrodzonej i jakiegoś cudu. Udało mi się odgrzebać tylu bliskich, którzy tak mi się oddalili, rozsiali po świecie, od Moskwy do Los Angeles. Ale po wymianie kilku czy kilkunastu uproszczonych znaków pamięci, czuję czasami, że milczenie bywa formą bogatszą od wymiany tych byle jakich komunikatów. Nie ma jednak tu żelaznej reguły. Wymieniam teraz e-mailowe listy z moją przyjaciółką, chociaż spotykam się z nią codziennie, jest nieśmiała i pięknie zamknięta, mam wrażenie, że mówienie uważa za zjawisko nienaturalne. I nagle w jej e-mailowych listach odkrywam nowe przestrzenie, wrażliwość i refleksje, których nie znałem, nie potrafiła lub nie chciała przekazać mi ich wokalnie. Tak też bywa.

Z okazji imienin Krystyny, mała grupka znajomych, kilku osób nie widziałem od wielu lat. W ogrodzie gospodarzy wyrósł świerk na wysokość dwóch pięter, a przecież pamiętam go małym drzewkiem. Kolega, znany fizyk W., ma opuchnięty policzek, jest już po pobycie w szpitalu. Brał w banku 10 tysięcy, musieli go obserwować, było ich trzech. Zaatakowali przy drzwiach mieszkania. To już trzeci mój znajomy napadnięty w ten sposób w ciągu kilku miesięcy. K. słynny kiedyś działacz podziemia, gdy wracał z banku otrzymał cios w głowę tuż przy drzwiach swojego mieszkania. A przecież, gdy złapała go bezpieka, jednego z najbardziej dokuczliwych dla reżimu ludzi podziemia, to traktowali go po rycersku, a teraz w wolnej Polsce, o którą heroicznie walczył, na progu swego domu niemal stracił życie. I tak przy stole wszyscy opowiadają o swoich przygodach, mniej lub bardziej dramatycznych. I zawsze to poruszenie wizytą na komendzie policji. Poszkodowani mają poczucie, że policja nas opuściła. Kiedy jednak pogada się z policją, okazuje się że oni też mają poczucie opuszczenia, ich z kolei opuścił wymiar sprawiedliwości. Dlatego znajomy lekarz, który mieszka w niewielkiej osadzie, załatwił sobie pozwolenie na dwa pistolety, dla siebie i dla żony. Gdy odwiedzam go pokazuje mi je, proponuje nawet wspólne strzelanie. Mam wrażenie, że jest opętany ideą wy-

mierzania sprawiedliwości na własną rękę, jeśli będzie tylko okazja. Oboje są lekarzami w niewielkiej osadzie, ona prowadzi ośrodek zdrowia, on renomowany chirurg, są więc co najmniej tak blisko Pana Boga jak miejscowy ksiądz, a może nawet i bliżej? Nic dziwnego, że czuli się bezpiecznie jak u tego Pana Boga za piecem, na dodatek podwórka strzegły dwa wilczury, a samochód stał zablokowany na kilka sposobów. A jednak pewnego dnia zastali pusty garaż. Zgodnie z nowym obyczajem porywacze samochodu zażądali okupu. Ona spotykała się z nimi kilka razy, targując się o cenę. Doszło nawet do pewnej zażyłości, całowali ją w rękę. Ach, te nasze szarmanckie zwyczaje, nawet nasza mafia jest szlachecka. W końcu powiadomili jednak policję. Ustalono, że na gangsterów zostanie zastawiona pułapka, będą schwytani w chwili wręczania okupu. W akcji brało udział kilkanaście samochodów i helikopter. Jakże znamienne, że wszystko odbywało się w wielkiej konspiracji przed policją miejscową, akcję przeprowadzała specjalna antyterrorystyczna brygada z wojewódzkiego miasta S. Ona jechała samochodem w towarzystwie policjanta-antyterrorysty, który udawał kolegę kierowcę. Za nimi, z dala, sunęła policyjna obstawa. Ale mimo zaangażowania wielkich sił lądowych i powietrznych, w chwili wręczania okupu E. i towarzyszący jej funkcjonariusz zostali sami, obstawa gdzieś się zagubiła. Nie wiedząc o tym policjant zaatakował bandytę – był tak zaskoczony, że nie bronił się. E. musiała sama wiązać mu ręce sznurowadłami. A wtedy on niemal się rozpłakał, „jak pani, taka uczciwa osoba, mogła nas tak oszukać."

Odbył się proces, skazali tylko pojmanego, który był zapewne najmniej ważną w gangu osobą. A oboje lekarze żyli przez kilka lat w niepokoju przed zemstą. Przywożono potem do nich ludzi, by zachęcić ich do współpracy z policją w przypadku porwań samochodów, mieli więc trudną sytuację po tej przygodzie, tak naprawdę to powinni ludzi zniechęcać. Sami twierdzą, że po raz drugi nie zdecydowaliby się powiadomić policji. Dlatego ludzie z reguły nie ryzykują i płacą haracze, o czym już pisałem w poprzednim tekście. Istotnym powodem jest przekonanie, na prowincji jak widać zasadne, że policja współpracuje z gangsterami.

Nieudolność naszej policji potwierdziła nieudana akcja

łapania tygrysów, które uciekły z cyrkowej klatki. Sfilmowany dramat pokazały telewizje całego świata. Nasi funkcjonariusze biegali po Warszawie jak na safari i przez pomyłkę zastrzelili weterynarza, który próbował uśpić drapieżnika. To był spektakl, którego mógłby nam pozazdrościć nawet Neron. Wiadomość sprzed kilku dni – w sądzie, w Zielonej Górze, oskarżeni bandyci siedząc na sądowej ławie, nagle ujawnili w dłoniach granaty i pistolety. Doszło do rzezi. Mamy więc niezwykły precedens. Teraz już wiadomo, że w ramach wymiaru sprawiedliwości wszystko jest możliwe.

A wczoraj, pisząc bardziej precyzyjnie, wczoraj w stosunku do tej ostatniej kropki, pani Jola – szefowa promocji w mojej firmie, wsiadała do samochodu, tam gdzie ja zwykle parkuję. Sama nie wie kiedy dostała cios w głowę. Wrzucili ją do jej wozu i zabrali torebkę. Wszystko działo się pod wyciągniętą dłonią wielkiego pomnika żołnierza spod Lenino. Jakimś cudem ten pomnik uniknął rzezi pomników po roku 89. Idzie więc nadal z tą wyciągniętą dłonią z Pragi, w zamiarze by przekroczyć Wisłę i dalej na Berlin. W czasie Powstania ten żołnierz nie pomógł powstańcom. I teraz nie pomógł pani Joli.

Jako rzetelny kronikarz notuję jednak, że na komendzie policjanci zachowali się poprawnie, nawet wysłali patrol do mieszkania okradzionej, by sprawdzić czy bandyci nie próbują skorzystać ze zrabowanych kluczy.

Nie chcę kreślić obrazu miasta okupowanego. Ale z każdym rokiem jest jakby goręcej. Po raz pierwszy gdy biorę większą sumę w banku, idę z tym dobrem jak filmowy cowboy ulicą miasteczka opanowanego przez rewolwerowców. Ale nadal wieczorem wychodzę z domu bez duszy na ramieniu, chociaż bez wahania przyjąłbym zezwolenie na pistolet. Kolega malarz nosi w chlebaku nóż, kilku innych znajomych ma pistolety na gaz. Specjaliści nieustannie nas pouczają, by w razie napadu nie bronić się. Tak oto Warszawa staje się coraz gorszą dzielnicą Nowego Jorku, tego sprzed lat. I doprawdy, nawet policja nie wierzy w statystyki, które mówią, że w Paryżu, czy Londynie jest więcej napadów. U nas bardzo wiele przestępstw jest nie zgłaszanych. Coraz częściej mówi się o tym w mediach, ale każdy wie, że żyjemy w czasach gdy tak wiele można powiedzieć, a tak niewiele zrobić. Dyskusje

polityków na temat przestępczości, zawsze stają się przerzucaniem na siebie win po linii partyjnej. I potwierdzeniem bezradności.

Mam nie tylko coraz większy problem, by zaparkować samochód przed domem. Jeszcze większy, by rano nim odjechać. Parkuję na chodniku zgodnie w przepisami, ale mimo zakazu zatrzymywania się na jezdni stoi tam sznur zaparkowanych samochodów blokując wyjazd tym z chodnika. Dzwonię kilka razy do straży miejskiej z prośbą o interwencję, ale nikt nie przyjeżdża. A przecież mogliby wlepić setkę mandatów. Zaczepiam uliczny patrol, trzech młodych policjantów i użalam się im na tę miejską straż, policjanci nie mają uprawnień do karania mandatami nieprawidłowo zaparkowanych wozów. Wspólnie obliczamy, że jak okiem sięgnąć stoi tu z dziesięć tysięcy złotych dla miasta. Ale jak widać, nikt nie chce tych pieniędzy. To też jest jakaś forma słabości państwa. Podobno parkometry, którymi została obstawiona Warszawa przynoszą straty, chociaż trudno w to uwierzyć. Okazuje się, że mandaty nie są uiszczane przez kierowców, już wiedzą, że miasto nie ma środków by egzekwować kary.

Co kwartał donoszę o szkodach jakie ponosi mój samochód, wydany na łup ulicy.

Próbowano mi go ukraść, ale podrobiony kluczyk złamał się w zamku, zostawiłem go tam na pamiątkę. Wybito mi bezmyślnie szybę, co niedawno opisałem. W dniu gdy wróciłem z zagranicy utraciłem boczne lusterko. Samochód stał na chodniku przed domem, a z lusterka został smutny strzępek. Za wycieraczką znalazłem małą karteczkę, domyślam się, że to wiadomość od świadka zdarzenia, przechodnia. „To był autobus linii 167, nr 7501, o godzinie 18.00." Poczułem wzruszenie, oto piękny obywatelski akt, szkoda, że piękny w połowie, świadek nie podał telefonu, nazwiska, więc nikt mi takiego świadka nie uzna. Ale takie czasy, że nawet nasze ładne akty obywatelskie są połowiczne. Jadę na pobliską komendę, jakże okrutnie przeze mnie niedawno opisaną, przy okazji tej wybitej szyby. Ale to jest już inna komenda, po remoncie, zamiast izby przyjęć w postaci otworu przypominającego otwór wydalniczy jest lada wystawowa, za którą

krząta się elegancka pani policjant, ma granatowy sweterek i policyjną plakietkę dumnie rozkołysaną między policyjnym biustem. Opisuję jej zdarzenie, pokazuję karteczkę, ona też wydaje się nieco wzruszona tym obywatelskim aktem, ale nic nie da się zrobić, nie ma świadka. Mogą spisać protokół, ale wiadomo, że nie opłaca mi się korzystać z ubezpieczenia, stracę zniżkę. Jeszcze przez chwilę delektuję się zmianą jaka zaszła ma komendzie i łudzę się, że taka zmiana formy musi jednak, choćby nieznacznie, wymusić zmianę treści.

Po destrukcji lusterka cała seria katastrof. Najpierw wysiada mi oko, jakaś wirusowa infekcja [ten tekst więc powinien nosić tytuł „widziane jednym okiem", a nie „Z ukosa"], potem psuje mi się automatyczna sekretarka, a mój ząb ujawnia, że ma piwnice gdzie coś się psuje. Wrodzony racjonalizm zmusza mnie by stwierdzić, że ta seria to jednak jest zbieg okoliczności, a nie prucie się rzeczywistości, we mnie i wokół mnie. Piszę o tym, by wyciągnąć z tej serii wniosek, optymistyczny i pesymistyczny. Optymistyczne jest to, że te nieszczęścia są niewielkie i widoczne, czyli są lepsze od wielkich nieszczęść ukrytych, które tylko przyczaiły się. Niewielkie nieszczęścia ujawnione, nie dają miejsca na skok tym ukrytym drapieżnikom, tak przynajmniej się wydaje. Tu trzeba jednak zauważyć, że te wszystkie małe usterki ciała i przedmiotów mają jednak też konkretny wymiar finansowy, nie chcę narażać się na zarzut małostkowości i publicznie wyliczać ile musiałbym napisać tekstów, do *Kultury*, czy nawet do *Polityki*, aby spłacić lusterko, ząb, oko, naprawę automatycznej sekretarki. Jak więc żyją ludzie zarabiający średnią krajową? Nawet, jeśli nie mają samochodu i automatycznej sekretarki, zwykle posiadają oczy i zęby. Odpowiedź jak sobie radzą, nie powinna być retoryczna. Spora część wielkiej niemoralności naszej demokracji leży w tym, że uważamy, że każdy musi sobie radzić sam. I kropka. Znajoma, która była niedawno w ciąży, opowiada mi, że właśnie dożywa swych lat obyczaj przepuszczania w kolejce kobiet w ciąży. Inna sprawa, że rzadkością są dzisiaj kolejki, a i ciężarnych coraz mniej, to bardzo niepraktyczne być dzisiaj w ciąży. Jest jednak wyraźna tendencja, aby kobietę w ciąży traktować jak kogoś, kto z własnej woli i winy wziął przed siebie coś ciężkiego do noszenie. Skoro tak, to niech sobie teraz z tym stoi.

Na narty, tym razem do Włoch. Mamy dosyć austriackiej wieprzowiny. Ale spotkała mnie duża przykrość. Odkrywam, że pasty, które tak lubię, nie są we Włoszech lepiej przyrządzane, niż te, które robi świetny kucharz w bufecie firmy gdzie teraz pracuję. To, że w taki sposób odpadają nam kolejne przyjemności wizyt w tym lepszym świecie, to jednak jest optymistyczne.

San Vito di Cadore, małe miasteczko w pobliżu słynnej Cortiny d'Ampezzo. Każdego dnia inne szczyty i wyciągi, o tej porze jeździ się w najwyższych partiach Dolomitów, niżej zaczyna się wiosna. Okazuje się, że we Włoszech, podobnie jak w Austrii, Polacy zaczynają dominować na stokach. Pełno ich też w Wenecji, gdzie jedziemy na dzień robiąc przerwę w narciarskich szaleństwach. Rozmawiam z kilkoma przewodnikami polskich wycieczek. Potwierdzają to, co ja podejrzewam od dawna. Polacy jedynie stwarzają wrażenie, że są towarzyską nacją, deklarujemy towarzyskość, gdyż zapewne bardzo jej potrzebujemy, ale mamy problem z komunikacją i kooperacją w grupie. Czy nie jest to związane z tym, o czym pisał Witold Gombrowicz, że my mamy problem z formą i formami, a to one są narzędziami nawiązywania kontaktu. Kiedy kierujący polską wycieczką próbują dokonać integracji grupy, organizują jakieś integracyjne spotkanie, choćby wspólne wyjście do lokalu, nie przychodzi prawie nikt. U Szwedów słynnych z samotniczej natury, zaskakiwała mnie zawsze umiejętność zespołowego bawienia się i integrowania, ale zawsze wedle wcześniej ustalonych reguł. Ich samotność potrafi więc znajdować sobie kolektywne naczynie. Zapewne dlatego w Szwecji jest bodaj najwięcej chórów na świecie. Polski indywidualizm potrzebuje grupy by się popisać, ale gorzej, nawet całkiem źle jest ze współpracą. I nie przypadkiem w sytuacjach towarzyskich tak potrzebny jest nam alkohol.

We Włoszech, podobnie jak w Austrii, uderza kulturalne zachowanie się rodaków, jakby na granicy następował odsiew chamstwa. I jakby nagle objawiała się ta inna Polska, europejska, kulturalna, o której na co dzień marzymy. Czy ta nowa, kulturalna Polska ma dosyć siły by przetrwać zalew chamstwa i pociągnąć kraj? Nie wolno jednak budować łatwej sielanki. Przewodnicy opowiadają mi, że nasi rodacy są

świetni, dopóki jest świetnie. Niezwykle łatwo mają pretensje, że np. nie jest tak luksusowo w hotelu jak się spodziewali, mają czasami zdumiewające wymagania i łatwo kapryszą. Pretensje to nasza specjalność. A przecież powinna nas zahartować historia. Broniliśmy się uruchamiając mechanizmy godnościowe, jak pięknie to zjawisko ubrali w symbole i metafory nasi romantycy. Byliśmy więc ofiarami, ale jak wiadomo, wyjątkowymi, kolejny naród wybrany. Dopiero teraz boleśnie oduczamy się myśleć w kategorii „nam się należy". Ale te wymagania mają też dobrą stronę, firmy, też te turystyczne, żyją w strachu przed swoimi klientami, to wymusza trzymanie się pewnych standardów.

A powrót do kraju jest nadal doświadczeniem przykrym. Przyznam nawet, że zaskakująco przykrym. Pewnie dlatego, że już nam się wydawało, że skoczyliśmy tak daleko do przodu. Nawet jeśli skoczyliśmy, to estetykę zostawiamy na boku. To prawda, coraz bardziej gładkie są przejścia graniczne, w drodze powrotnej nikt nie sprawdzał nam paszportów. Ale zabiedzony krajobraz zaczyna się już w Czechach. W Polsce ujawnia się na poboczach szpaler śmieci, niezebranych po stopieniu śniegów. Tu i tam w tych śmieciach przebierają się do pracy przydrożne prostytutki. Uważny obserwator od razu po przekroczeniu granicy poczuje słabość czy niechlujstwo tego państwa. Mówią o tym choćby szyldy, reklamy, billboardy, stawiane i wieszane wszędzie, bez żadnej reguły. Tak samo niechlujnie prowadzi się tu samochody. Pierwszy zajazd zatłoczony, jedna toaleta zepsuta, w drugiej nie ma lustra. Potem ta równina, jakby ktoś ten kraj prasował przez dwieście lat żelazkiem historii, a potem nieszczęśni mieszkańcy przykucnęli w potrzebie i tak narodziły się szpetne domki. Stacje benzynowe wydają się być przyczółkami wyższej cywilizacji w tej niechlujnej barbarii. Można się pocieszyć, że za chwilę rozzielenią się drzewa, zaprojektowane przez najlepszego architekta naszej planety i będzie ładniej.

Przyrost lat zaczynam czuć jak odcisk, który czasami uwiera, boli, ale zdarza się, że nie czuję że istnieje. Stąd czasami wrażenie, że to się da usunąć przy pomocy ćwiczeń w siłowni, korzystne jest udawanie, że nic się nie dzieje, unikanie fotografii, zaglądania w głąb lustra. Jeśli to wszystko

zawiedzie można jeszcze pogodzić się z prawdą, której nie trzeba patrzeć w tęczówkę, a w źrenicę. Źrenica jak wiadomo to nie czarna pestka a tunel, który łączy nas z kosmosem.

Czas poruszał mnie od dziecka, zawsze miałem chorobliwą wrażliwość na jego upływ. Teraz żyję więc w trakcie nieustannej katastrofy, oczekiwałem jej więc czuję, że po prostu wypełniło się. I to jest nawet pewna ulga. Jestem jednak jakże często w konfuzji. Liczby mówią jak wiele czasu upłynęło, ale moje osobiste wewnętrzne miary są odmienne. Bardzo wielu rzeczy nie pamiętam. Coraz częściej zdarza się, że gdy ktoś cytuje fragmenty moich tekstów, to dałbym się zabić, że to nie ja pisałem, zwykle nie ma wstydu, już częściej nie mogę uwierzyć, że potrafiłem coś takiego pomyśleć i napisać. Ale jeśli wyraźnie pamiętam jakieś zdarzenie sprzed kilkunastu lat, to zwykle czuję całym sobą, że to było kilka dni temu.

Ursynów, wielka dzielnica Warszawy, kalekie dziecko idei Le Corbusiera – miasta ogrodu, staje się dla mnie miejscem metafizycznym. W kilku wymiarach. Tam przez rok ukrywałem się w stanie wojennym. Dzisiaj w tę prefabrykowaną, klockowatą architekturę z lat 70-tych wkraczają budynki nowej generacji, powstają kondominia, centra handlowe, wille, to wszystko zagęszcza się, ale w zdumiewająco chaotyczny sposób. Ta dzielnica przecież nie powstawała na tradycyjnym planie, była świadomym odejściem od idei ulicy, a to okazało się zabójcze dla istoty miasta. To, co się teraz rodzi, jest chaosem, kakafonią stylów, jakby ktoś w kubku potrząsnął kośćmi rozmaitych zwierząt z różnych epok i rzucał je na stół.. To nie może dać harmonii, powstaje wirówka nonsensu.

Stoję przed oknem mieszkania poety, prozaika Tadeusza Nowaka. Jak to możliwe, że od tylu lat nie żyje? Przecież przed chwilą w mrokach stanu wojennego, były u niego wesołe popijawy, czasami z udziałem sąsiada, księdza proboszcza, a też wdowy po słynnym pisarzu, która potem okazało się, że jako agentka SB miała pseudonim Ewa. Dotykalność tej mojej pewności, że to było tak niedawno. A minęło 20 lat.

W tym tekście mniej niż zwykle polityki. Jej nie daje się już po prostu jeść. Jakieś wielkie zaparcie AWS-u i Unii

Wolności, niemożność wyłonienia konkurenta dla Aleksandra Kwaśniewskiego do prezydenckich wyborów. Każdy już wie, że tego nie da się ładnie z Kwaśniewskim przegrać. Zrozpaczona grupa intelektualistów pisze petycję proponując na prezydenta Andrzeja Olechowskiego. Jest przystojny, wysoki, dobrze mówi, rozsądny, inteligent. To bardzo dużo jak na naszą polityczną scenę. Jak widać za dużo. I nasza polityczna scena Olechowskiego nie chce. Ale ludzie mi bliscy, którzy znają bliżej Olechowskiego twierdzą, że on jest tylko rozbudowaną atrapą, która ukrywa brak charakteru. A ja myślę, że jeśli Olechowski tak dobrze udaje, że posiada charakter, to może jednak się nadaje? W czasach PRL-u miał jednak współpracować bodaj z gospodarczym wywiadem, więc ta bardziej prawicowa prawica go nie poprze. Marian Krzaklewski obnosi swoją decyzję, startować czy nie, jak nabożna dziewica cnotę. Jest kilka kandydatur w najwyższym stopniu humorystycznych. A co jakiś czas na scenę wyskakuje Lech Wałęsa. Żaden kabaretowy aktor nie byłby w stanie lepiej ośmieszyć Wałęsy, niż on sam to robi.

A prezydent Aleksander Kwaśniewski znowu schudł. I zawetował idiotyczną ustawę zakazującą pornografii. Bardzo słusznie. Obawiam się, że ani Wałęsa, ani Olechowski jako prezydenci nie ośmieliliby się.

Porusza mnie kolejny tom dzienników Zofii Nałkowskiej. Obejmuje lata 1945-1948. To niezwykły zapis mechanizmów zniewalania umysłów intelektualistów. Napisałem o tym większy tekst do innego pisma i nie chcę się powtarzać. Wspomnę tylko, że ten dziennik niezwykle żywo przekonuje, że można było wejść do piekła, szczerze myśląc, że wchodzi się jedynie do czyśćca, obok którego być może jest nawet raj. Mechanizmy zniewalania umysłu znakomicie uchwycił Miłosz w swoim „Zniewolonym Umyśle". Żal mi intelektualnie tych, którzy zarzucają Miłoszowi, że dorobił psychologię do tego, co było tylko podłością, konformizmem i strachem. Właśnie dziennik Nałkowskiej ukazuje nam dzień po dniu, jak podstępnie działał mechanizm uwodzenia, oszukiwania, omotywania ludzi przez komunistów i jaki był proces samooszukiwania się, dokonywany nawet przez ludzi szlachetnych. Zofia Nałkowska była przecież piękną osobą, o ileż ładniejsza

duchowo od Dąbrowskiej. Po latach zbrodni i niewoli, przyszła jednak nowa zbrodnia i nowa niewola. I paradoksalnie, im ktoś był bardziej inteligentny i moralnie wrażliwy, tym zręczniej sam się oszukiwał. Pomagali mu inni wielcy. Ci mniejsi myśleli, skoro nawet Nałkowska w tym jest, to nie może to być niemoralne. Nałkowska z kolei patrzyła na starych, wielkich, skoro oni...? I tak zamykał się pierścień. Jak nie dodać do tego tygla pychy artysty? Kto z ludzi sztuki jej nie ma? A pisarzom dawano nie tylko mieszkania, też pole do druku i publiczność. Zdumiewające jak wtedy tłumiono prawdziwe myślenie na rzecz powiedzmy „myślenia odwrotnego i niepełnego".

Ale paradoksalnie, co innego najbardziej mnie poruszyło podczas lektury tego dziennika. Odkryłem nagle, że ja teraz lepiej rozumiem mechanizmy zniewalania niż kiedyś, lepiej nawet niż w czasach gnilnego PRL-u. Czas wolności i budowania kapitalizmu, ujawnił niespodziewane i nowe mechanizmy zniewolenia, chociaż bardzo odmienne od tamtych zbrodniczych, ale jednak jakoś do nich porównywalne. I podobnie jak wtedy, z jakże rozmaitych charakterów, nawet ze słynnych nonkonformistów, nowy walec wielkiej zmiany tworzy podobnych do siebie konformistów. Popatrzmy na naszą scenę polityczną, a też na konformizmy artystów i krytyków. I podobnie jak po wojnie, po roku 89 nastąpiło rozprzęgnięcie norm moralnych, gdyż nowy świat budowany jest na zdruzgotanym starym. I też wydaje się, że nie ma alternatywy, chociaż porażają nas tak liczne niegodziwości drogi, którą idziemy, w przekonaniu, że wiedzie ona ku dobremu. Nawet najmłodsze pokolenie, nieskażone pamięcią przeszłości, czytając te zapiski z innej planety, poczuje złowrogi dreszcz – czy diabeł nowej rzeczywistości, bez sierpa i młota, ale przebrany za szczura wielkich finansowych namiętności, nie jest tylko krewnym tamtego? Nie jestem jednak tak naiwny by władzę pieniądza zrównywać ze stalinizmem. Porusza mnie tylko podobna siła mechanizmów, i że krzewi się podstępnie jakaś nowa forma totalitaryzmu, oprawiona w ramy wolności.

Nasza nowa moralność dopuszcza już niemal wszystko, jeśli można na tym zarobić. Ze znanych aktorów już chyba tylko kilku czegoś nie reklamuje. Obniżanie standardów w sferze „wypada nie wypada" jest tak gwałtowne jakby zerwała

się winda. W sytuacji powszechności tej katastrofy, jeśli ktoś zachowuje się odmiennie, nie jest to zauważane. Ja też idę na kompromisy, na jakie nigdy nie szedłem, ale czasami wykonam jakiś gest, chociaż wiem, że nie będzie zauważony, robię to dla siebie. Ale widzę śmieszność tej zabawy ze sobą. Pytanie, czy ten proces parszywienia, przy coraz bardziej luksusowym opakowaniu fragmentów naszej rzeczywistości zatrzyma się wkrótce, czy posuwać się będzie dalej? Jakie są mechanizmy obronne naszego zbiorowego organizmu? Jaka jest prawdziwa siła moralna Kościoła? Sąsiad Ł. który chadza na mszę do kilku pobliskich kościołów, opowiada mi, że wysłuchuje tam kazań w ramach pokuty. Skarży się, że na ostatnim kazaniu ksiądz ogłosił, że Grecja starożytna i Rzym upadły przez pedalstwo.

SMECZ

Kartki ze skażonej strefy

Nie daje mi spokoju pytanie, co się stało – żeby użyć dziennikarskiego zwrotu – z „naszą klasą", czyli z Polakami rodowodem z Solidarności, którzy dochrapali się władzy. Gdy tylko wejdą na jej pierwszy szczebel, przemieniają mentalność. Pęcznieją; tracą miarę i podstawowe poczucie przyzwoitości.

Redaktor Giedroyc napisał do mnie w liście: „o przyzwoitości to niech już pani zapomni..." Ale gdy nie ma przyzwoitości, to co zostaje? Kim się stajemy? Trudno mi przyjąć, że wszyscy są cynikami; nie są nimi. Oni po prostu, pnąc się ku górze, zatracają rozumienie pojęcia „przyzwoitość", jak himalaiści tlen. Im się wydaje, że są w porządku. Oni mieć muszą – wedle Urbanowej zasady: „rząd i tak się wyżywi", a reszta, a naród, no cóż, państwo jest niebogate, więc niech naród trochę pocierpi niedostatek.

Najpierw myślałam: spadek po komunizmie; *homo sovieticus*, trzeba odczekać. Wejdziemy w normalność. Ale pokolenia mijają i nie wchodzimy. Wedle statystyk Polska ma 44. miejsce w korupcji na całym świecie. Za Mongolią, Kostaryką i Namibią. (Może Mickiewicz wizjonersko to właśnie miał na myśli wymieniając swoją tajemniczą liczbę?). 44 to wysoka pozycja, biorąc pod uwagę wszystkie małe dyktatury Afryki, Azji czy Ameryki Południowej.

Nie chodzi mi o afery o mafijnym podłożu, niech się nimi zajmuje policja. Myślę o ludziach mających o swojej obywatelskości wysokie wyobrażenie. Fakt, że media co rusz demaskują to wyobrażenie przytaczając ich zachowania, nie psuje im humoru. Jak tylko wskoczą na stanowisko, ogarnia ich dziwna przemiana – przenoszą się do strefy, gdzie panują odmienne zasady. Za komuny nie być partyjnym, znaczyło skazanie się na margines. Dziś podobnie. Dziś bezpartyjny lub nie-radny należy do tej gorszej części społeczeństwa. (Nie mówię o ludziach interesu, bo to osobna kwestia).

Chwilami odnoszę wrażnie, że – wymachując demokratyczną chorągwią – jakiś wehikuł czasu przeniósł nas do epoki feudalnej, kiedy w Polsce istniały stany, które wszystko różniło: status prawny, posiadanie, wykształcenie, wygląd, strój, język, obyczaj. Mimo krzywdy, tamten podział wydaje mi się czystszy i klarowniejszy od obecnego, bo każdy przynajmniej wiedział co „wolno wojewodzie". Dziś „wojewoda" wie jedno: powienien „chapać" dużo i szybko, bo czas żniw będzie krótki. Zbiór należy do partii przy władzy, ale moją partię może za chwilę wykosić partia przeciwnika, która zmieni żniwiarzy na swoich. Ot, cała filozofia życiowa.

Takie podejście, praktykowane u nas od lat, niezależnie od rodowodu politycznego, zrodziło podział na dwa społeczeństwa: to, które bierze, i to, które ma łożyć. Podział niebezpieczny tym bardziej, iż biorcy – żyjąc we własnym odrębnym świecie – nie bardzo zdają sobie sprawę z następstw.

Przykłady na chybił trafił.

Zdarzyło się, że radny warszawski z dzielnicy Śródmieście, nawiasem mówiąc, szef komisji mieszkaniowej, wywodzący się z ZChN-u, a więc z grona, któremu z ust nie schodzą hasła o moralności, otóż zdarzyło się, iż ów radny, rozwiódłszy się i zostawiwszy żonie mieszkanie, niezwłocznie

zwrócił się o przydział nowego lokalu dla siebie z puli komunalnej. Wobec głodu mieszkaniowego, mieszkania komunalne są, jak wiadomo, przeznaczone dla najbiedniejszych z biednych. Dla inwalidów, pogorzelców, ludzi z walących się kamienic. Wiadomo również iż gaża radnego, wraz z rozlicznymi dodatkami, stawia go w położeniu ludzi zamożnych, ludzi „z tamtej strony", którzy jednym telefonem mogą sobie wynająć lub kupić mieszkanie po cenach rynkowych. Nie uczynił tego jednak nasz radny, lecz z otwartym czołem poprosił o mieszkanie bezpłatne. Byłby je dostał, gdyby w ostatniej chwili przydziału nie zablokował prezydent Piskorski. Jednak radny nie zrezygnował: podstawił nową żonę o innym nazwisku i przydział na mieszkanie otrzymał.

Radni gmin nadburzańskich zaliczanych do najuboższych w kraju, zafundowali sobie pielgrzymkę do Włoch na koszt budżetu gmin i w „czasie pracy", to znaczy, nie naruszając urlopu. W programie był Rzym, ale pielgrzymowali również na Capri i do Neapolu. Gdy czyn ich nazwano po imieniu, czyli okradaniem własnych obywateli, zapałali świętym oburzeniem: „nam też się coś od życia należy."

Ci ludzie są w większości katolikami, ostentacyjnie demonstrują wiarę w obrzędach liturgicznych, w hasłach, w nawoływaniach do stawiania świętych pomników. O ile dawniej feudał fundował budowle sakralne, o tyle teraz żąda, żeby czynili to wasale, czyli podatnicy.

Mazowiecka Kasa Chorych zafundowała sobie siedzibę w jednym z najokazalszych gmachów Warszawy, zwanym Colosseum. Musi zapłacić za ten lokal o powierzchni siedmiu tysięcy metrów kwadratowych 22 mln zł. czyli ponad pięć mln dolarów. Dla dwustu urzędników. Była upatrzona odpowiednia siedziba niedroga, ale szef rady nadzorczej Kasy i zarazem senator, Adam Struzik (ZSL), zadecydował inaczej, tłumacząc w radiu, że waga problemu wymaga okazałości siedziby. „Mało na słup nie wpadłem" – powiedział mi lekarz jadący autem i słuchający tych słów.

Chirurg, który kontrolował mi oko po zdjęciu zaćmy poinformował mnie, że termin oczekiwania na zoperowanie drugiego oka wzrósł do roku, gdyż Kasa obcięła fundusze na ten zabieg. Po Polsce będą się snuli półślepcy. Ubolewałam, że zwłoka utrudni mi pracę przy komputerze. „Mnie też –

odpowiedział w gniewie. – Nie przy komputerze, ale przy operacjach. A chciałbym jeszcze pooperować, póki mogę..." Zawodowy wiek chirurga biegnie szybciej niż innych.

Wielka jest gorycz lekarzy na poczynania Kas Chorych.

Z innej beczki: kultowy pieśniarz, Enrique Iglesias, jeden z najlepiej opłacanych na świecie, dał koncert w Polsce w telewizji publicznej, czyli na koszt abonentów. Indagowane kierownictwo odpowiedziało bez cienia zażenowania, że przecież prócz rozrywki można w nim było dostrzec wartości intelektualne. Na tę wieść, ktoś zadzwonił do radia: „Co?! To ja sobie chyba lupę kupię!" Coraz częściej telewizja publiczna, która ma przecież inne cele niż komercyjna, podejmuje z nią rywalizację na polu czystej rozrywki. Jest to droga po linii najmniejszego oporu, chociaż kłóci się z nią cel. Telewizja publiczna mogłaby się pogłowić, jakby widza przyciągnąć inaczej. Tak jest wszędzie, w USA na przykład, z bardzo dobrym skutkiem, mimo że nie ma w niej reklam, co dla wielu widzów stanowi ulgę nie do przecenienia. A tak na marginesie: czy roczna gaża prezesa telewizji publicznej bez premii kwartalnych i rocznych nagród musi w Polsce wynosić ponad 100 tys. (słownie: sto tysięcy) dolarów?

Honorarium Iglesiasa pokryłaby z pocałowaniem ręki któraś z telewizji komercyjnych za pomocą niezliczonej ilości jego nieletnich fanek, więc z jakiej racji zwykłych abonentów obarczać tymi kosztami?

Jeśli już jestem przy telewizji, to właśnie w tej branży szykuje się nomenklaturowy skandal roku. Jego twórcą jest słynący z efektownych jeremiad o „psuciu państwa", uważany za jednego z najlepiej zapowiadających się prawicowych polityków młodego pokolenia, Wiesław Walendziak. Wraz z grupą otaczających go „pampersów" tworzą prywatną, ogólnokrajową „Telewizję Familijną". Koncesja jest własnością ledwie dyszącej franciszkańskiej telewizji „Niepokalanów", w którą kapitał zainwestować mają cztery najbogatsze spółki skarbu państwa (a więc praktycznie przedsiębiorstwa państwowe), takie jak Polska Miedź, Polski Koncern Naftowy, Polskie Sieci Energetyczne i PZU „Życie". Żeby było ciekawiej, statut „Telewizji Familijnej" został tak skonstruowany, że inwestorzy nie będą mieli najmniejszego wpływu ani na linię programową, ani też na zarządzanie. Nic dziwnego, że

uprzednie próby zainteresowania „Familijną" poważnego biznesu z dziedziny mediów spaliły na panewce. „Będziemy mieć wreszcie rzetelną stację" – zapowiada z entuzjazmem rzecznik prasowy klubu parlamentarnego AWS, Piotr Żak. Ano, jeżeli próba sprzeciwu ministra finansów (właścicielem spółek Skarbu Państwa jest Ministerstwo Skarbu) zakończy się fiaskiem, to będziemy mieli stację jednej opcji politycznej stworzonej bez przetargu, za publiczne pieniądze pompowane do prywatnych kieszeni wedle najlepszych wzorów bananowej republiki. Warto zapytać, czy jeżeli „Familijna" splajtuje, to komornik, zgodnie z koncesją, załomocze do furty Ojców Franciszkanów?

●

Czytałam w książce Stanisława Cata-Mackiewicza „Historia Polski od 11 listopada 1918 r. do 17 września 1939 r." (wyd. Londyn 1941 r.), otóż czytam tam, iż Walery Sławek po utracie stanowiska miał zamiar zmienić kosztowne mieszkanie na Szucha na tańsze. Tamże, Cat-Mackiewicz wymienia i innych ówczesnych prominentów, którzy mieli kłopoty finansowe z wykończeniem domu (a domki bywały skromne; porównajcie je z dzisiejszymi pałacami!).

Co stało się z naszym społeczeństwem? Co je tak odmieniło? I tak, w rezultacie, podzieliło? Odmieniła nas wojna hitlerowska, odmienił reżim komunistyczny. Ale żeby doszło aż do takiego podziału?

Ostatniej rzeczy, której bym się po Polakach spodziewała, to pazerność.

●

Chleb. Pamiętam przedwojenne grahamki. Cudo. Jako dziewczynka-niejadka żywiłam się tylko nimi.

Wojna zamknęła drzwi do dobrego pieczywa. W naszym domu panował chleb kartkowy, ciężko krajalna kleista glina, wydzielana przez mamę, bo przydział był niewielki. Z zazdrością patrzyłam na koleżanki, które jadły „nałęczaka" czyli chleb biały, dla nas niedostępny.

Po wojnie poślizgiem powróciło dobre pieczywo. Na

krótko. Z piekarni warszawskich zniknęło najpierw. W Krakowie utrzymało się dłużej, a w Katowicach jadłam pyszne kajzerki jeszcze wtedy, kiedy miasto przemianowano na Stalinogród.

No, ale smak dobrego pieczywa powoli przechodził do historii. Ojciec kolegi syna, który był dyrektorem Zjednoczenia, jakiemu podlegały Domy Chleba, wielkie cementowe hale, które zajęły miejsce piekarni; otóż dyrektor tłumaczył to zupełnym pohańbieniem zasad wypieku: przyczerniona mąka, za zimne piece, za krótkie pieczenie. Chleb był gotowany, paskudny, stosunkowo tani i dostępny. Za Gierka doszło do tego, że chłopi masowo przyjeżdżali do miast i ładowali furmanki bochnami chleba, którym skarmiali inwentarz. Taniej im wypadało niż tradycyjną karmą. Wiadomo, gospodarka postawiona na głowie. Ciekawe, że w tym samym czasie Rosjanie i Litwini zachowali doskonałą jakość chleba: od nich się przywoziło po bochenku.

Może nasze kury i świnie były zadowolone, ale ludzi wkurzała grzęznąca w jamie ustnej pajda bez smaku i aromatu. Starsi pamiętają, jak ówczesny minister do spraw cen, Zdzisław Krasiński (który potem poszedł w dyplomaty, zanim zdjął go Krzysztof Skubiszewski) z ogniem w oczach obiecywał narodowi chrupiące bułeczki, które wnet zasypią rynek. Był to manewr mający uspokoić nastroje, i poniekąd zrobił swoje: perspektywa chrupiących bułeczek szalenie nas podnieciła.

Nie doczekaliśmy się ich do dziś. Owszem, mamy mnóstwo pieczywa wymyślnego: chleb ze śliwką, ze słonecznikiem, z kiełkami, rozmaitych maści i kolorów. Prywaciarze, którzy przejęli tę branżę, popracowali nad estetyką wyrobów, ale smak – podobnie jak wędlin – jest papierowy.

Dziś chleb smakujący po polsku można kupić jedynie w Nowym Jorku na Greenpoincie lub w Chicago na „Miłokach".

Znalazłam w Warszawie budkę, gdzie zgodnie z modą napis głosił: „Pieczywo szwajcarskie", sprzedawali autentyczny razowiec; żaden Szwajcar takiego nie oglądał. Przyjaciółka zaciągnęła mnie do sklepu z szyldem „Pieczywo włoskie", ale też takie, jakiego żaden Włoch we Włoszech nie widział, czyli, można podejrzewać, że dobre. Poświadczała to stojąca

kolejka, obecnie, rzadkość. Towar wreszcie dowieziono i dwie młode ekspedientki rozkładały go w przegródkach, nie zważając na klientów. Kolejka rosła, czekaliśmy karnie w milczeniu. Nie wytrzymałam: „może jedna z pań będzie układać, a druga sprzedawać" – zasugerowałam. Odpowiedziało mi krótkie „nie!". Sytuacja żywcem z czasów komuny: pokorne czekanie wzdłuż chodnika aż rzucą towar. Dałam temu głośno wyraz mówiąc, że czuję się jak w dawnej epoce, kiedy sprzedawca był panem i władcą, a nabywcy przymilającą się gawiedzią. Wywiązała się rozmowa. O dziwo, kolejkowicze opowiedzieli się za obsługą, przeciwko nam i – sobie. Starszy pan powiedział: „godzinę stoję i nie narzekam, a panie chciałyby tak od razu". Ktoś inny: „panie tylko przeszkadzają panienkom..." Rozejrzałyśmy się, niedowierzająco. Co to było? Tęsknota za tamtymi czasami? Istotnie, w kolejce przeważali ludzie starsi. Przyjaciółka nie wytrzymała: „no nie, z takim nastawieniem to do Europy nie dołączymy!" – zawołała. Na co ekspedientki jednogłośnie odwarknęły: „Na szczęście jesteśmy w Polsce".

Zastanawia mnie „etiologia" i długi żywot tego powiedzonka. Właściwie nie ma ono nic wspólnego z żadnym reżimem. Powstało na długo przedtem, nim zaczęliśmy się ubiegać o przynależność do Unii Europejskiej. Patriotyzm? Ale jakiego chowu? Nie jest to bynajmniej bezmyślne zawołanie. Wymawiamy je z podkładem agresji. Co oznacza? Ksenofobię? Niepodważalne zadowolenie z siebie? Głęboko zakorzeniony, uwspółcześniony mesjanizm?

A co do pieczywa, to wreszcie odstawszy swoje, zakupiłyśmy bułki zwane dawniej montówkami. Rzeczywiście dobre. Koleżanka kupiła dwie, ekspedientka nie powstrzymała się od komentarza: „tyle krzyku o dwie bułki!" „Tu już pani przeholowała" – powiedziałam. Wyszłyśmy, przyrzekając sobie, że noga nasza więcej w tym sklepie nie postanie.

Szłyśmy, zastanawiając się, gdzie indziej dostać takie montówki, gdy podszedł do nas starszy człowiek: „bardzo panie przepraszam, ale tam – wskazał ręką – dają pierwszorzędną zupę. Wszędzie jadłem, ale tam najlepsza. Panie mają do niej prawo, bo panie są emerytkami!" – dodał tonem wyjaśnienia.

Podziękowałyśmy, człowiek oddalił się. Podniósł nas na

duchu po epizodzie w sklepie. Jeszcze Polska nie zginęła! Nasz „doradca" wyglądał schludnie jak na bezdomnego, jakim zapewne był. Sporo bezdomnych jest schludnych, nie wyróżniających się od reszty. Ale bywają i inni.

●

Smród bezdomnych. Ile się go „najadłam" w tramwajach i autobusach! Woniejący bezdomni są to ci, którzy przedkładają „wolny stan" nad reżim, jaki obowiązuje w przytuliskach typu Marka Kotańskiego. Ci w autobusach śmierdzą niesamowicie. Jest to smród trudny do zdefiniowania, ale nieznośny. Wokół nich robi się zaklęte koło. Nikt przy nich nie siada. Jeżeli ktoś przypadkiem zajmie sąsiednie miejsce, natychmiast wstaje, nawet gdy jest ścisk. Bezdomni siedzą spokojnie, zatopieni w myślach, drzemiący, obstawieni swoimi torbami, nie wadzą nikomu. Raz, jeden wyjął z przepastnych łachmanów scyzoryk i metodycznie zdrapywał nim wrośnięty w ręce bród. Mądrze robił, mydło nie dałoby rady.

W mediach trwa kampania o mydle. Że częste jego używanie może powodować grzybicę. Kąpiele, prysznice, baseny, ręczniki, wszystko to, jak się okazuje, może być grzybicogenne. Polska zajmuje w grzybicy, jeżeli nie pierwsze, to jedno z pierwszych miejsc. W przysłowiach, na pewno. „Częste mycie skraca życie". Przecież to nasze, pradawne! Ale jesteśmy przewidujący!

Bezdomnych w chłodne dni w środkach komunikacji jest bardzo dużo. Sądzę, że się tu grzeją i wypoczywają po trudach nocy i świtach, kiedy penetrują śmietniki dla swoich potrzeb. (Nazywają je Pewexami).

Kulturalni obywatele coraz to unoszą się świętym oburzeniem, że nie doroślismy do Unii Europejskiej, choćby dlatego że nawet nie potrafimy selekcjonować śmieci. Nie takie to proste. Gdyby administracje domów stawiały przy śmietnikach kontenery z napisami: „szkło", „papier", „plastyk", „śmieci", a ludzie mimo to walili wszystko na kupę, dopiero moglibyśmy wydać wyrok. Ale na ogół śmietniki „selektorów" nie mają.

Natomiast utarł się inny obyczaj, całkiem spontaniczny. Coraz częściej widzę przy śmietniku porządne torby opatrzone wyraźnym napisem „odzież" albo „żywność". Gdy piszę te słowa leży przede mną potężny stos gazet, szczelnie i bardzo pożądnie zabezpieczony taśmą klejącą. Przygotował ją mąż, na codzień wielki nieporządziuch a zarazem pożeracz prasy. Pakiet jest tak ciężki, że czeka na syna, żeby położył go pod okapem śmietnika. Widziałam przez okno, jak zbieracze makulatury pakują nasze paczki na swoje wózki. Może więć tak zwany „recycling" upowszechni się u nas nie z powodów gospodarczych, ale – no, jakich? Bardzo dobrze o nas świadczących!

●

Niebo jeszcze nad Polską ołowiane, deszcz siecze równo, choć w kalendarzu wiosna. Bez puszcza nieśmiałe pąki, a tu i ówdzie, przy dobrej woli, można dostrzec żółty kolor na krzakach forsycji. Gdy tylko przestanie lać, udam się na Stadion, czyli na największe targowisko Europy. Już największym nie jest. Kretyński system wiz dla cudzoziemców ze Wschodu zablokował handel, na którym i niejeden Polak się dorobił. Gdzieniegdzie jednak, widzę na targu jak smagły czy skośnooki handlowiec nieśmiało rozkłada towar. Nie wiem jaki jest ich status prawny, ale jestem pewna, że z nastaniem lata rozmnożą się jak trawa.

Zapotrzebowanie na pracę „Ruskich" (nie lubią tej nazwy, i słusznie) jest ogromne. Budowlańcy i sadownicy wolą ich po stokroć niż polskich pracowników. O wiele lepiej pracują, o wiele mniej można im zapłacić niż naszym bezrobotnym. Ale co gorsze, można ich gorzej traktować i wyzyskiwać w różny sposób. I to jest okropne, bo gubi ścieżkę nawiązania więzi przyjacielskich nie do przecenienia na przyszłość.

Niektórzy przedsiębiorcy podejmują trud zalegalizowania pracy cudzoziemców, co wymaga nieprawdopodobnie czasochłonnych i bezmyślnych czynności biurokratycznych. Inni ryzykują i biorą ich na czarno.

Cały świat, rzecz zrozumiała, daje pierwszeństwo swoim bezrobotnym. Ale co robić, gdy swoi bezrobotni na skutek fatalnie skonstruowanych przepisów często wolą być bezrobotnymi? Hodowca kwiatów przyjął do pracy grupę skie-

rowaną przez urząd zatrudnienia. Okazało się, że jeden nie może się wziąć do roboty, ponieważ trudno mu się schylać, drugiego boli noga, trzeci zostawił dziecko bez opieki. Hodowca był w kłopocie. Sami poddali mu pomysł: „Niech nam Pan tylko napisze, że to Pan nas nie zatrudnił". Kwitek taki uprawni ich do dalszego pobierania zasiłku.

Pointa jest taka: (*Rzeczpospolita* nr 72):

„...za Polakami trudno nadążyć. Ostatnio jedna z gmin pod Płockiem zorganizowała roboty publiczne, żeby dać zarobić miejscowym bezrobotnym. Bezrobotni pracę przyjęli i w chwilę później odsprzedali ją „Ruskim" za połowę stawki. Usiedli pod sklepem, pili piwko i patrzyli, jak gastarbeiterzy naprawiają za nich chodniki".

Do zobaczenia na bazarach!

3 kwietnia 2000 r.

Ewa BERBERYUSZ

O religii bez namaszczenia

Dramatyczna spowiedź Kościoła

Sobór Watykański w pierwszych zdaniach fundamentalnej konstytucji *Lumen Gentium* (Światłość Narodów) określa Kościół jako sakrament czyli znak intymnej jedności całej ludzkości z Bogiem w osobie Chrystusa Pana. I tak faktycznie pojmują Kościół nie tylko katolicy, ale na ogół wszyscy chrześcijanie Wschodu i Zachodu. Czy tak pojęty Kościół może być grzeszny i potrzebować spowiedzi? Zostawmy na nieco później teologiczną interpretację tej tajemnicy Kościoła. Usprawiedliwieniem mojego tytułu jest fakt, że cała opinia światowa tak właśnie, jako wyznanie grzechów Kościoła, uznała niezwykłą uroczystość, jaka rozegrała się w Bazylice św. Piotra w Rzymie w pierwszą niedzielę Wielkiego Postu 12 marca AD 2000. Niezliczona ilość reportaży prasowych i telewizyjnych rozgłosiła po świecie szczegóły tego wielkiego wydarzenia, więc nie ma potrzeby tego wszystkiego jeszcze raz powtarzać. Wystarczy przypomnieć, że siedmiu wysokich dostojników kościelnych złożyło kolejno, w obecności i przy czynnym udziale papieża, wyznania win i zbrodni, jakich w ciągu wieków dopuścili się „wierni chrześcijanie" w imieniu Kościoła; i każde wyznanie łączyło się z prośbą do Boga i pokrzywdzonych bliźnich o wybaczenie tych grzechów. Słusznie podkreślano w komentarzach prasowych, że było to wydarzenie zupełnie bez precedensu w dziejach Kościoła, rezultat osobistej inicjatywy papieża Jana Pawła i jego wytrwałych wysiłków prowadzonych przez lata, wbrew licznym oporom ze strony wielu innych przedstawicieli hie-

rarchii, od czasu jego pamiętnego listu apostolskiego *Tertio Millennio Adveniente* (Przed Trzecim Tysiącleciem) w roku 1994. W tym dokumencie papież po raz pierwszy wspomniał o tej potrzebie rozliczenia się z kościelną przeszłością. Omówiłem wówczas ten niezwykły dokument w *Kulturze* z marca 1995, pod tytułem podobnym do tytułu niniejszego artykułu, wyrażając z jednej strony radość i wdzięczność szeregowego chrześcijanina za odważne podjęcie tego tematu i wskazując z drugiej strony na związane z tym niebezpieczeństwa i znaki zapytania, jakie mi wówczas ten List Apostolski nasunął. Nie dostrzegłem wówczas możliwości wewnątrzkościelnych oporów przeciw tej akcji, które obecnie wystąpiły bardzo wyraźnie, choć w lojalnie przytłumionej formie. Dowiedziałem się o nich później, nie bez obaw, że te opory mogą inicjatywę papieską zniweczyć. Jednak nie są one tylko wyrazem zadufanego w sobie kościelnego konserwatyzmu. A rewolucyjna inicjatywa Jana Pawła też niekoniecznie i nie całkiem jest wyrazem zdrowego kościelnego samokrytycyzmu i mądrego *aggiornamento* w sensie, jakie to słowo do kościelnego języka wprowadził Jan XXIII.

Wydaje się, że papież planował ten akt skruchy jako jednorazowe wydarzenie w ramach obchodów milenijnego Jubileuszu, po prostu dla oczyszczenia atmosfery. Taki akt był jak najbardziej potrzebny i w tym sensie Jan Paweł II poprawnie odczytał znaki naszego czasu, podobnie jak w swoim czasie Jan XXIII. Ale tym samym otworzył ogromną puszkę Pandory, którą niełatwo będzie na powrót zamknąć. Prawda, że czterdzieści lat temu cicha opozycja anty-Janowa w Watykanie pod sławnym kardynałem Ottavianim uważała zwołanie Soboru za otwarcie puszki Pandory – i także miała rację. A jednak sobór się odbył. Obecny pontyfikat był do tej pory konsekwentną próbą opanowania destabilizacyjnych tendencji, jakie reforma soborowa musiała nieuchronnie za sobą pociągnąć i jest dlatego nie lada paradoksem, że właśnie ten papież teraz tę nową puszkę Pandory otworzył. Ale jestem przekonany, że ten akt właśnie okaże się największym pozytywnym osiągnięciem jego pontyfikatu. Niemniej, on sam podjął równocześnie odpowiednie kroki, by ograniczyć konsekwencje grożącej znowu nowej reformistycznej destabilizacji. Temu, jak sądzę, miało służyć powołanie Międzynarodowej Komisji Teologicznej, która na krótko przed wielkim wydarzeniem ekspiacyjnym w Bazylice św. Piotra ogłosiła swoje sprawozdanie. Znam to sprawozdanie tylko z nielicznych urywków ogłoszonych na łamach londyńskiego *Tablet*'u, ale już można na tej podstawie powiedzieć, że cały ten raport cechuje daleko idąca ostrożność, jeśli nie wprost tradycyjny konserwatyzm.

Na dobrą sprawę w samym wielkim akcie kościelnej skruchy dokonanym w Bazylice Piotrowej 12 marca są widoczne znamienne zahamowania. Oczywiście nie chodzi o to, że ten akt skruchy za całe dwa tysiąclecia – od anatemy rzuconej na wschodnie prawosławie, poprzez wyprawy krzyżowe, rozpoczęte w XI wieku, prześladowania Żydów, tortury i stosy Inkwizycji i wojny religijne, aż po grzechy naszej współczesności – musiał być z konieczności bardzo ogólnikowy i niepełny. Nie dziw, że tu i ówdzie, głównie ze strony Żydów i muzułmanów, słychać pretensje, raczej nieuzasadnione, że to czy owo, nawet pewne ważne rzeczy jak Holokaust, nie zostały w tym akcie do końca dopowiedziane. Chodzi o to, że widać w tym akcie zahamowania charakterystyczne dla obecnego, mimo wszystko bardzo konserwatywnego pontyfikatu. Nade wszystko o to, że kolejne wyznania win konsekwentnie unikały obciążenia nimi Kościoła jako instytucji i traktowały je raczej jako indywidualne grzechy niegodnych sług Kościoła. Już *Tertio Millennio Adveniente* mówiło o grzechach nie samego Kościoła, lecz „dzieci Kościoła", a w tegorocznej uroczystości pokutnej kardynał Ratzinger, prawa ręka papieża w sprawach doktrynalnych, mówił, że „n a w e t ludzie Kościoła uciekali się, w i m i ę w i a r y i m o r a l n o ś c i, do metod niezgodnych z zasadami Ewangelii" (podkreślenia moje – A.P.). List apostolski *Tertio Millennio Adveniente* mówił o dokonywaniu takich czynów „w służbie prawdy". Jak gdyby można było służyć prawdzie, wierze czy moralności przez dokonywanie czynów niemoralnych. Tak samo oburzające jest zacieranie różnicy niewątpliwie świadome, bo widoczne zarówno w tegorocznym akcie skruchy jak w dokumencie papieskim sprzed 6 lat – pomiędzy niegodnymi czynami przedstawicieli władz kościelnych a grzechami zwyczajnych świeckich wiernych i ludzi niewierzących. W obu aktach chodzi przecież o to, w czym ziemski

Kościół sprzeniewierzył się Bogu i ludzkiemu dobru. Tymczasem oba akty przechodzą jakby niepostrzeżenie od dawnych zbrodni kościelnych, nakazujących również świeckim wiernym czynić zło, do świeckich grzechów naszej współczesności, jak plaga aborcji, zobojętnienie religijne i ... nieposłuszeństwo wobec władz kościelnych. Jakoś nie ma w tych oficjalnych wyznaniach mowy o tym, że przynajmniej w przeszłości były momenty, w których świeccy wierni powinni byli odmówić posłuszeństwa niegodnym władzom kościelnym.

(Tu może jest właściwy moment, by zastanowić się przez chwilę, jak to jest możliwe, by święty przecież bo Chrystusowy Kościół mógł być jednocześnie grzeszny. Nie jestem zawodowym teologiem, ale jak każdy człowiek wierzący muszę się z tym paradoksem nie tylko praktycznie, ale także jakoś teoretycznie uporać. Nie sądzę zresztą, by ta kwestia moim współwierzącym spędzała sen z powiek.

Chrześcijaństwo jest religią pełną paradoksów – z tej prostej przyczyny, że w świecie ducha nasze ziemskie wymogi logicznej niesprzeczności najoczywiściej przestają obowiązywać. Nie mogę się nadziwić, że nie więcej niż średniej miary polski poeta, Franciszek Karpiński, w jednym swoim utworze okazał się teologicznym geniuszem. „Bóg się rodzi, moc – truchleje, Pan niebiosów obnażony..." I tak dalej. Umiemy to oczywiście na pamięć, tylko nieczęsto te paradoksy dochodzą do naszej świadomości. A możemy do nich dodać wiele innych. Że błogosławieni są ubodzy w duchu, że kto się wywyższa będzie poniżony, że Bóg bardziej kocha grzeszników niż sprawiedliwych, którzy nie potrzebują miłosierdzia... i że Jezus jest bezgrzesznym Barankiem, który wziął na siebie wszystkie grzechy świata. Więc co dziwnego w tym, że nasz straszliwie grzeszny Kościół jest jednocześnie niepojęcie święty? Koniec teologicznej wstawki).

To, co wyżej powiedziano w teologicznym nawiasie, da się także *mutatis mutandis* zastosować do tych dwóch aktów kościelnych, z którymi się tu borykamy: dokumentu *Tertio Millennio* sprzed sześciu lat i aktu ekspiacyjnego z marca bieżącego roku. Złe i dobre jest w nich prawdziwie po ludzku przemieszane. Do wyłożonych wyżej szczegółowych zastrzeżeń wobec aktu pokutnego w Bazylice św. Piotra, muszę dodać jeszcze

jedno, bardziej ogólnej natury. Czy tego rodzaju spektakularny akt na oczach całego świata był naprawdę potrzebny? Czy to jest właściwy sposób czynienia pokuty? Na pewno nie najbardziej ewangeliczny (zob. Mat. 6, 5-9 i 16-18).

Inna rzecz, że był to najlepszy sposób przemówienia do jak najszerszych rzesz ludzkich, nie tylko ludzi wierzących ale i niewierzących. I rzymska ceremonia dała asumpt do podobnych aktów pokutnych w katolickich kościołach krajowych czy diecezjalnych. Sam dzięki uprzejmości koleżanki zawodowej, Teresy Mysków, miałem możność zapoznania się z aktem pokutnym Kościoła luksemburskiego, wobec którego nie mam takich zastrzeżeń, jakie wyłożyłem powyżej. Wyczułem nawet, że w pewnych sprawach, jak interkomunia czy opieka duszpasterska nad rozwiedzionymi, Kościół luksemburski chętnie poszedłby dalej niż na to Rzym pozwala.

Myślę, że błędem byłoby spodziewać się, by rzymski akt pokutny przyniósł za sobą konkretne zmiany w na ogół bezkompromisowym stanowisku Watykanu w sprawach, które stanowią obecnie temat wewnątrzkościelnej i ekumenicznej debaty. By na przykład wyrażenie żalu z powodu dyskryminacyjnych postaw wobec chrześcijan innych wyznań zapowiadało jakieś doktrynalne czy jurysdykcyjne ustępstwa wobec tych wyznań, mające na celu przybliżenie chrześcijańskiej jedności. Albo, by wyrażenie żalu z powodu dyskryminacji wobec kobiet zapowiadało istotne zwiększenie roli kobiet w strukturach kościelnych, nie mówiąc już nawet o uznaniu kapłaństwa kobiet. Nie należy się również spodziewać złagodzenia rzymskiej centralizacji i zwiększenia autonomii lokalnych Kościołów, w tym zwłaszcza zwiększenia kanonicznych uprawnień krajowych konferencji biskupich. Na zaledwie dwa tygodnie przed rzymskim obchodem pokutnym odbyło się w tymże Rzymie wielkie sympozjum teologiczne, które miało stanowić kolejną zbiorową refleksję Kościoła nad dziedzictwem Drugiego SoboruWatykańskiego, po pierwszym takim przeglądzie, jakim był poświęcony tej sprawie Synod Biskupów w roku 1985. Według londyńskiego *Tablet*'u jednak było to ściśle zamknięte zebranie 250 specjalnie dobranych uczestników, pod przewodnictwem samego papieża, z całkowitym wykluczeniem wszelkich obserwatorów z zewnątrz, także dziennikarzy. Ze skąpych danych

na temat przebiegu obrad wynika, że uczestnicy sympozjum zgodnie uznali, że dokumenty soborowe były dotychczas przedmiotem zbyt dowolnych wykładni i wymagają dlatego jeszcze wielu lat dogłębnych teologicznych studiów. Korespondent *Tablet*'u widzi w tym znak, że Watykan nie traktuje poważnie sugestii arcybiskupa Mediolanu, kardynała Martiniego, wysuniętej na ostatnim synodzie europejskim w październiku zeszłego roku, która była w gruncie rzeczy zawoalowaną propozycją zwołania nowego soboru. Wynika z tego, że Watykan nie widzi potrzeby jakichkolwiek poważniejszych reform w bieżącej nauce i praktyce Kościoła. A więc także akt pokutny w Bazylice św. Piotra, przy całej swojej historycznej doniosłości, takich reform zapewne za sobą nie pociągnie.

Tak to w każdym razie wygląda w oczach Watykanu. Ale jest możliwe, że Watykan, a także sam papież nie doceniają w pełni wielkości i historycznego znaczenia aktu, który się w tym Roku Pańskim w Bazylice św. Piotra dokonał; że nie doceniają doraźnych konsekwencji, jakie ten akt musi za sobą pociągnąć. Albowiem byłoby niesprawiedliwością sądzić, że wyznania win i prośby o przebaczenie, które stanowiły treść tego aktu, odnosiły się tylko do dawnych pokoleń sług Kościoła i w niczym nie obciążały sumień tych, którzy te wyznania i prośby o przebaczenie dzisiaj wygłaszali. To warunek rzetelności tych wypowiedzi. A za wyznaniem win i żalu za grzechy idzie konieczność postanowienia poprawy. A zatem odtąd cały etos moralny wszystkich sług Kościoła od najniższego do najwyższego szczebla powinien być wyższej miary niż był dotychczas. Wyznania rzymskie wyraźnie wskazywały, że złe czyny przeszłości były nie tyle wynikiem złych osobistych skłonności rządzących Kościołem hierarchów ile raczej struktur kościelnych i przyzwyczajeń myślowych, które ich do takiego a nie innego postępowania zmuszały. Takich jak potrzeba zwalczania herezji, jak wymagania inkwizycji, jak dyskryminacja religijna czy wojny religijne. Wiele z tego dziś już naprawdę należy do przeszłości, ale to nie znaczy, by współczesny Kościół był już całkiem wolny od wszelkich tego rodzaju strukturalnych i zwyczajowych obciążeń. Sam papież Jan Paweł dwukrotnie już prosił o wskazanie mu jakim zmianom powinna ulec struktura prymatu Biskupa Rzymu – po raz pierwszy w encyklice *Ut unum sint* z 1995, ostatnio znów

w tym roku w czasie swej podróży do Egiptu. Oczywiście porad udzielono mu już mnóstwo; należy przypuszczać, że papież wkrótce się do tych rad ustosunkuje.

W rzymskiej spowiedzi Kościoła nie zabrakło również wyznania błędów natury doktrynalnej, jak np. potępienie zasady wolności sumienia, dyskryminacja wobec innych wyznań i religii, dyskryminacja wobec Żydów. Oczywiście przyznanie się do takich błędów może z jednej strony podważać zaufanie wiernych do głoszonych przez Kościół nauk, ale z drugiej strony może też na dłuższą metę to zaufanie wzmacniać. Instytucja, która jest gotowa przyznać się do popełnionych błędów, bardziej zasługuje na zaufanie niż taka, która do tego nie jest zdolna. W przeszłości mniej lub bardziej sprecyzowana zasada kościelnej nieomylności, zwłaszcza nieomylności papieskiej, kazała zwykle orzeczenia papieskie raczej przemilczać i pokrywać mgłą zapomnienia (np. Bulla *Unam Sanctam* Bonifacego VIII albo *Syllabus errorum* Piusa IX) niż wyraźnie dezawuować. Szeroki *sensus fidelium* Kościoła zdaje się zapowiadać, że taki los czeka również encyklikę Pawła VI *Humanae Vitae*, zakazującą stosowania sztucznych środków antykoncepcyjnych. Ale do tej pory do tego nie doszło.

Nie zamierzam tu zgłębiać ważkiego i kontrowersyjnego problemu kościelnej nieomylności. W kontekście niniejszego artykułu istotne wydają mi się dwa aspekty tego problemu. Po pierwsze, że zainicjowana przez papieża wielka spowiedź Kościoła efektywnie przełamała mit, wciąż jeszcze w przeciętnej świadomości katolickiej mocno ugruntowany, że hierarchiczny Kościół tak naprawdę nigdy żadnego błędu nie popełnił i że wobec tego należy mu zawsze i wszędzie być posłusznym. Po drugie, że podstawą zaufania wiernych do Kościoła jest nie tyle ich urzędowy autorytet, co rzetelność jego przedstawicieli, a nade wszystko moc przekonująca głoszonej przez nich prawdy i moralne dostojeństwo tej prawdy. W pewnym sensie zawsze o tym wiedzieliśmy, ale dopiero w akcie pokutnym Kościoła zainicjowanym przez papieża Jana Pawła II u progu trzeciego tysiąclecia zostało to oficjalnie i wyraźnie powiedziane.

Antoni POSPIESZALSKI

Sąsiedzi

Mozaika litewskiej świadomości kulturalnej

Łódzki miesięcznik *Tygiel Kultury* – jak na spotkaniu z polonistami Uniwersytetu Wileńskiego stwierdził redaktor naczelny pisma Zbigniew W. Nowak – za jeden z podstawowych swych celów uważa rozpowszechnianie kultury i literatury narodów ościennych. Np. numer 10-12 (46-48) z 1999 r. został poświęcony niemal wyłącznie Litwie – fakt ten wymownie sygnalizują na okładce trzykrotnie powtórzone sakralne słowa „Litwo, Lietuva Tevyne Mano", będące nie tylko świadectwem żywej tradycji mickiewiczowskiej, lecz również pierwszym wersetem hymnu narodowego Litwy (z tym, że autor jego słów, Vincas Kudirka, zamiast określającego Ojczyznę zaimka „moja", użył pluralistycznego „nasza").

Należy podkreślić, iż w piśmie tym zamieszczono także list Prezydenta Republiki Litewskiej, Valdasa Adamkusa, do Czytelników i Autorów pisma, w którym bardzo wysoko została oceniona ta piękna, służąca zbliżeniu narodów inicjatywa.

W tymże numerze *Tygla Kultury* zauważalna jest wyraźna tendencja, aby o Litwie mówili przede wszystkim Litwini i ich utwory. Na przykład, znany historyk Alfredas Bumblauskas w zwięzłym, ale treściwym artykule „Litewsko-polskie więzi kulturalne" kreśli ewolucję stosunków sąsiednich narodów, niejednokrotnie uwydatniając rolę wybitnych polskich polityków i twórców (sygnatariusza Aktu Niepodległości Litwy z 1918 r. – Stanisława Narutowicza, rektora Michała Roemera, pisarzy Czesława Miłosza, Tadeusza Konwickiego i inn.) w kształtowaniu nowoczesnego pojmowania litewskiej świadomości narodowej. Trudno przecenić dążenia młodszych historyków i literatów litewskich (np. Egidijusa Aleksandravičiusa, Gintarasa Beresnevičiusa, Dariusa Kuolysa, Giedriusa Viliunasa, Egidijusa

Motieki, Antanasa Kulakauskasa, Rimantasa Miknysa...) do rozszerzania pojęcia „kultura Litwy" poprzez wciąganie w tę orbitę dwujęzycznych twórców lub artystów, nierozerwalnie z Litwą związanych. Sądzę, iż podążając właśnie tą drogą najskuteczniej przezwyciężymy obopólne uprzedzenia i fobie, które deklarują „niektóre środowiska" (często, niestety, zajmujące centralne nisze obu naszych krajów).

A że takie fobie istniały i nadal istnieją, potwierdzają wypowiedzi Pauliusa Subačiusa „Metamorfozy wizerunków narodowych: Polak – od „brata" do „diabła". W sposób nieco przekorny śledzi on kształtowanie obrazu „negatywnego", Polacy, którzy polonizowali i wynaradawiali Litwę, w dodatku nią pogardzali. Szkoda, że młody autor zbyt jednostronnie dobiera przykłady, co wyraźnie widać np. w porównaniu ze wspomnianym artykułem Bumblauskasa. Nie chciałbym się zgodzić z takim oto wywodem Subačiusa: „Litwin i Polak, pod koniec XVIII wieku opuszczając epokę Rzeczypospolitej Obojga Narodów jako spierający się ze sobą od czasu do czasu bracia, w XX stulecie wkroczyli jako śmiertelni wrogowie" (s. 17). Przecież można zaobserwować wiele odmiennych postaw, które reprezentowali przede wszystkim twórcy kultury, literatury, sztuki (jak M. Brensztejn, M.K. Čiurlionis, V. Kreve *etc., etc.*) Wydaje mi się, iż przekonanie o zaognionych konfliktach litewsko-polskich na początku XX w. jest po prostu politycznym mitem, którego nie potwierdzają faktograficzne dane; np. program pisma *Litwa* M. Davainisa-Silvestraitisa (Dowoyny-Sylwestrowicza), działalność i ideologia tzw. krajowców.

Część eseistyczna *Tygla Kultury* jest dosyć rozmaita: czytamy tu Wojciecha Ligęzy „Wieże i obłoki", gdzie osobiste wrażenia o wileńskiej przestrzeni przeplatają się z wnikliwymi interpretacjami poezji dwudziestolecia międzywojennego, a także – wywiad Zbigniewa Dominiaka z organizatorem „Druskiennickiej Poetyckiej Jesieni" Kornelijusem Platelisem.

Słowa uznania należą się także dwu innym artykułom – zarówno pióra pierwszego ambasadora RP w Wilnie, profesora Jana Widackiego („Litwo, Ojczyzno... moja?"), jak też Małgorzaty Kasner pt. „Miłosz i 'Literatūros lankai'"; autorka ta m.in. obroniła pierwszy doktorat (*nb*!) z lituanistyki na Uniwersytecie Warszawskim.

Artykuły przybliżają polskiemu czytelnikowi specyficzne zjawiska kulturalnej mentalności litewskiej, dążą zarazem do oględnego bilateralnego traktowania kwestii spornych. W swojej tonacji zdecydowanie różnią się od wielu innych artykułów,

ukazujących się w polskiej prasie czy wydawanych studiów *quasi*-naukowych, w których przeważają pouczenia, ignorancja (czyli nieznajomość) argumentacji i prac litewskiej strony oraz swoisty paternalizm. Podobnych elaboratów, co prawda, nie brak także na Litwie.

Szczególnie cieszy mnie, że większość opasłego (ponad 200 stron liczącego) tomu zajmuje litewska literatura i sztuka. Są to bowiem autentyczne przejawy litewskości; rozważać kwestie historii czy polityki potrafią w sposób kompetentny nie tylko przedstawiciele danego narodu, lecz również intelektualiści, badacze innych krajów. Wszelako twórczość piękna – mówienie obrazami, wizjami i podświadomością – jest darem artystów, którzy dają autentyczne świadectwa kultury duchowej. Spotkania z poezją, z wyróżniającymi się indywidualnościami otwierają możliwość rozpoznania kształtów narodowej wyobraźni.

Redakcja *Tygla Kultury* przedstawiła przykłady twórczości kilku wybitnych współczesnych pisarzy litewskich, takich jak Vytautas P. Bložė: „gdzie wy dusze spoczywacie? Czuję, że na werandzie / niby ptaszki przysiadacie, niewidocznym skrzydłem / przechodniom machacie, praojcowie" (wiersz pt. „Odpuść nam Panie", przekład Danuty Brodowskiej); S. Geda: „pięćdziesiąt głupkowatych / przegranych, przehulanych / lat nauki, myślenia, wiedzy / i niewiedzy / prawie całe życie" („50 lat arogancji z Rilkem, Camusem i Derridą...", przełożyła Alina Kuzborska); M. Martinaitis: „To zdjęcie z mojego pośmiertnego życia: / nic tam nie zostało, gdzie stoimy – / wszystko zryte, porosło zielskiem. / Zmieniły się wszystkie komórki. Inny rozum, / wyraz twarzy. Włosy dawno już nie te. / Trzecie zęby" („Zdjęcie z balu maturalnego...", przełożyła Alicja Rybałko); czy Nijolė Miliauskaitė, Kornelijus Platelis, Donaldas Kajokas, Aidas Marčėnas, Gintaras Grajauskas...

Obok poezji na łamach *Tygla Kultury* zostały przedstawione również utwory epickie, a mianowicie – fragmenty powieści Petrasa Dirgely „Księgi bezdomnych", Ričardasa Gavelisa „Wileński poker", Mariusa Ivaškevičiusa „Historia z chmury" (przekład Jagody Rogoży), przekłady prozy Renaty Šerelytė, Eglė Juodvalkė, Juozasa Erlickasa. Jest to dobór trafny, o tyle, że odzwierciedla rozmaite maniery stylistyczne oraz konwencje artystyczne – od historiozoficznych wizji do groteskowych i lirycznych obrazów.

Rzecz jasna, każdy wybór stanowi pewne mimowolne uproszczenie, ilustruje nie tylko stan konkretnej literatury narodowej, ale też gusty i upodobania tłumaczy. Można mieć również zastrzeżenia co do jakości przekładów: w jednych utworach są oczywiste luki semantyczne, w drugich – widać uproszczenia, wynikające bądź z braku obycia językowego, bądź z niedbałości czy pośpiechu. Ale w obecnej sytuacji, kiedy czytelnik polski, niestety, bardzo rzadko ma możliwość zapoznania się z sugestywnym pięknem litewskiej literatury, tłumaczom zamieszczonych utworów należy tylko podziękować i życzyć dalszej wytrwałej pracy. Na tym „bezrybiu" tłumaczeń litewskiej poezji i prozy na język polski (wyjątek stanowią tu, co nieraz powtarzałem, wiersze Tomasa Venclovy w kongenialnych przekładach Stanisława Barańczaka) każda udana próba (zaś takich w *Tyglu Kultury* jest wiele) rokuje nadzieję na przyszłość. Tym bardziej, że prężnie działające studia lituanistyczne na Uniwersytecie Warszawskim i na Uniwersytecie Adama Mickiewicza w Poznaniu z czasem niewątpliwie wykształcą nowe pokolenia znawców i tłumaczy literatury litewskiej.

Mozaikę litewskiej kultury uzupełniają artykuł i rozmowa Gražiny Arlickaitė z reżyserem Valdasem Navasaitisem, jak również dyskusja o litewskim teatrze (biorą w niej udział Elona Bundzaitė, Rasa Paukštytė i Vaidas Jaukniškis).

Reasumując, chciałbym zauważyć, iż omawiany numer *Tygla Kultury* stanowi świadectwo swego rodzaju fali zainteresowania litewską kulturą. O jej napływie sygnalizują przede wszystkim periodyki – takie jak *Lithuania* Leona Brodowskiego, *Krasnogruda* Krzysztofa Czyżewskiego, czy *Borussia* Kazimierza Brakonieckiego, niedawno powstały warszawski *Polis* (red. naczelny Halina Bortnowska), gdański *Tytuł* (redagowany przez Krystynę Chwin) oraz inne pisma, zamieszczające materiały o litewskiej literaturze, sztuce. Powiem wprost: nie jestem aż tak wielkim optymistą, by wierzyć, iż litewska kultura wyjdzie obronną ręką w rywalizacji o polskiego odbiorcę z, powiedzmy, amerykańskimi czy zachodnioeuropejskimi propozycjami. Z drugiej jednak strony, nie może nie cieszyć fakt, że w dziedzinie współpoznawania sąsiadów taki duży udział mają młodzi ludzie, wykształceni, nie obciążeni historyczną skostniałością, otwarci na świat, na Litwę.

Algis KALEDA

Tygiel Kultury. Miesięcznik. 1999 nr 10-12 (46-48); wydawca FUNDACJA ANIMA, Łódź, s. 208.

Notatki Redaktora

Niedawno Pehr G. Gyllenhammar, jeden z czołowych działaczy szwedzkich, założyciel European Round Table, a obecnie szef rady nadzorczej Agencji Reutera, na jednej z konferencji oświadczył: „Z perspektywy mojego dość unikalnego doświadczenia, muszę stwierdzić, że najniebezpieczniejszym zjawiskiem społecznym jest nadal nacjonalizm. Sam jestem zwolennikiem internacjonalistycznej globalizacji, imigracji, emigracji, wielokulturowości, kosmopolityzmu. Ale trzeba pamiętać o jednym: jeżeli w gospodarce globalnej jakiś kraj w NICZYM nie jest najlepszy to zostanie kolonią! Zostanie opróżniony ze swoich bogactw materialnych i intelektualnych, wyssają z niego najlepszych badaczy, najzdolniejszą młodzież, najlepszych biznesmenów". Przestroga Gyllenhammara doskonale pasuje do obecnej sytuacji w Polsce i warto by nasi decydenci nad tym się zastanowili i spróbowali wyciągnąć wnioski.

●

Komitet Polska-Czeczenia zaapelował do Bronisława Geremka, ministra spraw zagranicznych, o wszczęcie procedury uznającej Czeczeńską Republikę Iczkeria za suwerenne i niepodległe państwo.

„Mamy prawo wymagać od solidarnościowego rządu, by Polska, jako pierwsze państwo w Europie, uznała suwerenność Czeczeńskiej Republiki Iczkerii, udzieliła Czeczenii politycznego poparcia na arenie międzynarodowej" – czytamy w liście do MSZ.

„Liga Republikańska zaprasza na spotkanie z ambasadorem Czeczenii w Polsce, Ramzanem Ampukajewem, które odbędzie się 27-go marca o godzinie 17.30 na Uniwersytecie Warszawskim w Pałacu Kazimierzowskim – sala im. prof. Józefa Brudzińskiego".

Ten komunikat ukazał się bez komentarzy w *Tygodniku Solidarność* 24-go marca br. Należy się dziwić Uniwersytetowi Warszawskiemu, że dopuścił do tego rodzaju spotkania.

To nie jest jedyny wyczyn naszych oszołomów. W kanadyjskim *Związkowcu* w numerze z 16-go marca został zamieszczony wywiad z Piotrem Lisiewiczem, przewodniczącym organizacji „Naszość", organizatorem manifestacji na terenie rosyjskiego konsulatu w Poznaniu. Pan Lisiewicz jest bardzo dumny z swej manifestacji i uważa, że „najwyższy czas, żeby nasza polityka wschodnia zaczynała zawierać konkrety". Podkreśla sprawność działania swojej organizacji, która zniszczyła i zdeptała flagę rosyjską i zawiesiła flagę Czeczenii nad budynkiem konsulatu. Manifestacja nie była zgłoszona w żadnym urzędzie, gdyż uczestników było mniej niż piętnastu, więc nie było takiego wymogu. Natomiast poinformowali w ostatniej chwili media. Policja zupełnie straciła głowę, nie wiedzieli co robić, a wszystko odbywało się na oczach kamer.

●

Jesteśmy w pełni kampanii przedwyborczej. Wszystkie sondaże wskazują, że prezydent Kwaśniewski ma szansę na ponowny wybór, jak również uchodzi za pewne zwycięstwo SLD. Nie jest wykluczone, że SLD będzie miała kwalifikowaną większość w przyszłym parlamencie. Duża część społeczeństwa ma nadzieję, że SLD uniknie wszystkich błędów koalicji prawicowej i będzie bardziej się powodowała interesami państwa. Otóż, w tygodniku Urbana *Nie*, w numerze z 20-go kwietnia ukazał się wywiad z Leszkiem Millerem, przewodniczącym Sojuszu Lewicy Demokratycznej. Wypowiedzi p. Millera są zdumiewająco szczere. Na pytanie, czy nie boi się, że po zwycięskich wyborach działacze SLD powtórzą za AWS „Teraz kurwa my" i wezmą na prawicy rewanż za swoje sponiewieranie po 1997 r., Leszek Miller potwierdza, że istnieje skłonność do rewanżu: „jeden z b. ministrów oznajmił mi: słuchaj, będę potrzebował 5 minut, to mi wystarczy żeby zrobić tu porządek". „Psychologicznie to zrozumiałe, trzeba jednak przerwać te rzezie kadr... Szczerze jednak mówię, że nie wiem, czy uda się ocalić ludzi, którzy objęli posady z rekomendacji politycznej AWS, a nie okazali się dyletantami,

ani chciwcami. AWS tak upartyjniło państwo, że zatrzymanie tego procesu będzie trudne". Na pytanie, czy po wyborach nie zaczną się dramatyczne rozrachunki, Leszek Miller odpowiada: „Będą niezbędne dla oczyszczenia organizmu państwa, ale na pewno nie zdominują życia kraju". Na pytanie o poprawę stosunków z Rosją, p. Miller mówi: „Rządząca prawica nie potrafi uwolnić się od niechęci do Rosji, niechęci, która ma za podłoże dawną jej nienawiść do ZSRR. Lewica lęka się, że jej aktywność w kontaktach z Rosją wywoła oskarżenia o kierowanie się starymi sentymentami i uleganie dawnym gospodarczym i politycznym powiązaniom. Lewica polska potrzebuje większej odwagi i pragmatyzmu". W innym miejscu p. Miller mówi o chronicznie bezrobotnych rodzinach nędzarzy, którzy dostają po 15 zł miesięcznie na przeżycie. „Minimum biologiczne dla każdego to dla SLD za mało. Wrócimy do idei minimum socjalnego. Spróbujemy je wynegocjować i określić, i będziemy przestrzegać. Niewrażliwa społecznie lewica byłaby jak kran bez wody".

Interesujące, jak wypowiedzi p. Millera przyjmie ta część Unii Wolności, która nie wyklucza przestawienia sojuszy i związania się z SLD. Byłoby również ciekawe, jak do tych wypowiedzi ustosunkowuje się prezydent Kwaśniewski.

●

Z początkiem kwietnia bawił w Polsce Askold Łozymskyj, przewodniczący Światowego Kongresu Ukraińców. Światowy Kongres Ukraińców, z siedzibą w Kanadzie, jest największą organizacją zrzeszającą ukraińską diasporę, która liczy ok. 20 mln osób. Askold Łozymskyj należy do młodszego pokolenia działaczy, urodził się już na emigracji, jego matka pochodzi z Polski. Pan Łozymskyj oświadczył, że podziękował prezydentowi Kwaśniewskiemu za stosunek władz polskich do społeczności ukraińskiej w Polsce. Obecnie niepodległa Ukraina nie ma na całym świecie lepszego orędownika niż prezydent i rząd polski. „Polska i Stany Zjednoczone" najprzychylniej odnoszą się do niepodległej Ukrainy, popierają jej dążenia do integracji z Zachodem. Ale, moim zdaniem, Polsce przypada pierwszeństwo".

Pan Łozymskyj widział się również z ministrem kultury, Kazimierzem Ujazdowskim i otrzymał jego zapewnienie, że Ministerstwo nadal będzie wspierać materialnie działalność mniejszości ukraińskiej. „Bez dotacji z resortu kultury na czasopisma, zespoły artystyczne i publiczną prezentację dorobku kulturalnego mniejszości ukraińskiej (ogółem ok. miliona zł rocznie) ta działalność nie byłaby możliwa ze względu chociażby na rozproszenie Ukraińców poza miejscami tradycyjnego osiedlenia". Podczas spotkań z przewodniczącym Sejmowej Komisji Mniejszości Narodowych i Etnicznych, p. Hausnerem z AWS oraz przewodniczącym grupy parlamentarnej polsko-ukraińskiej, Janem Byrą z SLD, omawiał zagadnienie ustawy o mniejszościach narodowych (pierwsze czytanie projektu ustawy miało miejsce we wrześniu 1999 r.) i sprawę ratyfikowania konwencji Rady Europy o mniejszościach. Była również mowa o operacji „Wisła" z 1947 r. (była ona potępiona przez Senat w 1990 r. oraz kilkakrotnie potępił ją prezydent Kwaśniewski). Pan Łozymskyj uzyskał obietnicę poparcia postulatu, by przynajmniej symbolicznie naprawić część skutków akcji „Wisła", doprowadzić do końca zwrot odebranego przez komunistów majątku ukraińskich osób prawnych (Domu Narodowego w Przemyślu i nieruchomości Kościoła greckokatolickiego). Poruszył on ponadto sprawę represjonowanych b. ukraińskich więźniów Centralnego Obozu Pracy w Jaworznie i udzielenia im pomocy materialnej w postaci np. dodatku do emerytury. Jest to stosunkowo drobna sprawa, gdyż z 4 tysięcy zostało przy życiu 200-300 osób.

Wyjeżdżając, p. Łozymskyj oświadczył, że prawdopodobnie najbliższy walny zjazd Światowego Kongresu Ukraińskiego w 2003 r. odbędzie się w Warszawie.

●

Skandal ze Związkiem Legionistów Polskich. Praktycznie Związek składa się z jednej osoby, komendanta naczelnego Krystiana Waksmundzkiego, który wszystkich innych usunął i zlikwidował Komisję Rewizyjną. Jest ponadto afera buławy i szabli marszałka Edwarda Rydza-Śmigłego, które p. Waksmundzki wypożyczył ze zbiorów muzealnych na Jasnej Górze, i, mimo monitów, nigdy ich nie zwrócił. Sąd w dwóch

instancjach uznał, że zostały one przywłaszczone przez Waksmundzkiego i skazały go na karę 2 lat więzienia z zawieszeniem na 3 lata. Choć minął termin zwrotu, insygnia nie wróciły na Jasną Górę.

Jest zupełnie niezrozumiałe, że władze tolerują tego rodzaju kompromitację legendy polskich Legionów. Związek powinien być jak najszybciej rozwiązany, majątek Związku, po przeprowadzonej kontroli, przekazany ZBOWiD-owi, a p. Waksmundzki ukarany. Swoją drogą, niezrozumiała jest lekkomyślność paulinów, którzy tak cenne eksponaty, jak buława i szabla Rydza-Śmigłego, wypożyczyli. Bardzo to przypomina kradzieże starych druków w Jagiellonce, i dobrze by było, by zbiory muzealne na Jasnej Górze, mające charakter świecki a nie religijny, zostały skontrolowane i zewidencjonowane.

●

W dzienniku *Życie* w numerze z 10-go marca br. ukazał się wywiad z nowym ministrem kultury. M.in. minister podkreślił jak ważna jest promocja kultury polskiej zagranicą i jak ważne było powołanie Instytutu Kultury Polskiej im. Adama Mickiewicza, utworzonego przez Ministerstwo Kultury i Ministerstwo Spraw Zagranicznych. Na pytanie, jak minister wyobraża sobie współpracę z samorządami, którym od roku podlegają rozległe obszary kultury, p. Ujazdowski oświadczył, że minister musi być partnerem a nie wrogiem samorządów, jest zwolennikiem umocnienia pozycji samorządu, i nie będzie sprzyjał praktykom centralistycznym czy biurokratycznym.

●

Reorganizacja rządu jest nadal tylko pobożnym życzeniem. Jedna tylko sprawa wymaga szybkiego rozwiązania, a mianowicie usunięcie z rządu ministra Pałubickiego. Jego działalność przynosi ogromne szkody, jak chociażby afera z generałem Petelickim i GROM-em. Ostatnio p. Pałubicki zorganizował i nagłośnił aferę z rosyjskimi szpiegami, co jeszcze bardziej pogorszyło stosunki, i tak nie najlepsze, z

Rosją. Poza tym jest niedopuszczalne by minister zachowywał się w sposób tak niewłaściwy w stosunku do prezydenta, co stale demonstruje p. Pałubicki, i to wszystko jest tolerowane przez premiera. Jest zdumiewające jak tak ważne stanowisko jest stale obsadzane przez ludzi nieodpowiednich, „nawiedzonych", od p. Macierewicza poczynając.

●

W wojsku jest bardzo niedobrze. Zmniejsza się jego stan, ale te redukcje nie dotyczą wyższych stanowisk. Redukcja w armii dotyczy tylko żołnierzy nie zaś generałów i pułkowników, których jest już nadmiar. Jest niedobrze również z oficerami, którzy przechodzili przeszkolenia na Zachodzie i którzy po powrocie są praktycznie niewykorzystani, a przecież nie jesteśmy w stanie obsadzić przypadających nam stanowisk w NATO ze względu na brak oficerów znających język angielski i zorientowanych w skomplikowanych strukturach wojskowych zachodnich.

REDAKTOR

Ci, co odeszli

Irina Aleksiejewna Iłowajska 5 XII 1924 – 4 IV 2000

Żal po Irinie Iłowajskiej da się wyrazić po prostu, nie musi stronić od utartych zwrotów. Tak, to strata niepowetowana. Istotnie, dusze tak szlachetne, czynne i niestrudzone spotyka się nadzwyczaj rzadko, podobnie, jak umysły i zdolności tak wszechstronne. Tak jest, umarła w chwili, w której była bardziej niż kiedykolwiek potrzebna – zarówno Rosjanom, jak Polakom. Tak, to chwila przesilenia, ważą się w niej możliwości naszego współżycia, niejasne są jego warunki konieczne nowe, a Iłowajska była nie tylko zapaloną rzeczniczką porozumienia Rosjan z Polakami, lecz nadto żywym dowodem możności naszego pojednania.

To wszystko prawda. Jednakże mowa tu o postaci, która wymyka się najbardziej nawet stosownym i szacownym formułom. Kto miał zaszczyt ją znać, zapamiętał osobę pełną energii, zdolną do błyskawicznych decyzji, ale w końcu stateczną i skłonną do refleksji. Tymczasem jej życiorys ma pozór powieści przygodowej.

Jej ojciec pochodził z Moskwy, matka z Kijowa, ale Irina Aleksiejewna urodziła się w Belgradzie; to w Królestwie Jugosławii znalazła przystań armia, którą zdołał razem z rodzinami wyprowadzić z Krymu baron Wrangel, najzdolniejszy z białych generałów. W Belgradzie też Iłowajska ukończyła wyśmienite rosyjskie gimnazjum (przetrwało nawet II wojnę) i poznała włoskiego dyplomatę, Edgarda Giorgi Alberti. Wojna rozdzieliła ich na 3 lata, jej koniec zastał Irinę Iłowajską w Austrii. Pobrali się w Rzymie i tu przeszła z prawosławia

na katolicyzm. W 1946 znalazła się w Pradze czeskiej; męża posłano tam na placówkę. Po 4 latach pracy, komunistyczne władze uznają go za *persona non grata* – okazywał poparcie opozycji, już nielegalnej. Następnie parę lat w Wiedniu i Salzburgu, długi pobyt w Wenezueli, 3 lata w Atenach, 2 i pół roku w Bonn, wreszcie – Paryż. Tam Edgardo Alberti przechodzi zawał serca, wraca z rodziną do Włoch i umiera po długiej chorobie w 1975 roku. W trakcie włóczęgi dyplomatycznej Irina Aleksiejewna zdąży zdawać egzaminy i kończy studia wyższe w Rzymie, a potem w Cambridge. Opanowuje wiele języków – posługiwała się swobodnie nie tylko rosyjskim, włoskim i serbskim, lecz także francuskim, angielskim, hiszpańskim, niemieckim, czeskim i greckim. Służyły jej nie tyle do rozmów światowych, ile do bezustannych, intensywnych lektur. Ich owocem był spory stos literackich przekładów, czerpała z nich środki na utrzymanie chorego męża i trojga dzieci.

I oto w styczniu 1976 roku Irina Iłowajska podejmuje się pracy niezwykłej: zostaje sekretarką Sołżenicyna, naprzód w Zurichu, potem w amerykańskim ustroniu, w stanie Vermont. Przyczyniła się nadzwyczajnie do rozpowszechnienia jego dzieł na Zachodzie. To ona doprowadziła do spotkania Sołżenicyna z papieżem. Przyjaźni z tym pisarzem stulecia nie osłabiły wcale bliskie związki Iłowajskiej z Sacharowem i Jeleną Bonner, nie chciała być arbitrem w ich sporze o kierunek przemian w Rosji. Życzliwość, jaką okazała piszącemu te słowa, miała swoje źródło zapewne w tym, że wiedziała, kto był tłumaczem „Archipelagu GUŁ-ag" na polski.

W 1979 obejmuje po księżnie Szachowskiej redakcję tygodnika *Russkaja Mysl*, wychodzącego w Paryżu od 1947. Iłowajska daje mu nowy wyraz i nowy rozpęd. Wciąga do współpracy pisarzy i uczonych z ZSSR, nie tylko tych, którzy przedarli się na Zachód, jak Natalia Gorbaniewska, lecz również tych, co posyłali jej tajnymi drogami swoje prace sygnowane pseudonimem. Dołączą do niech dysydenci ze wszystkich niemal krajów Obozu: jest w komitecie redakcyjnym Gustaw Herling-Grudziński, Stanisław i Ludmiła Grygiel. Publikują w tym piśmie swoje pierwodruki Alain Besançon, Michał Heller, Malcolm Pearson. Bliskie związki łączą tę redakcję z *Kulturą*. Polsce poświęca się tu coraz więcej

miejsca; materiały, które *Russkaja Mysl* ogłosiła w czasie stanu wojennego, złożyły się na osobną książkę, wydaną jej sumptem.

Polityczna przytomność kazała Iłowajskiej nie wspierać Gorbaczowa w jego próbach remontu komunistycznej ruiny, stawiała na dalsze skutki *glasnosti*. Z przekonaniem poparła Jelcyna i jego politykę rozwiązania ZSSR. Wykorzystała natychmiast przełom 91 roku dla wprowadzenia swego pisma na rosyjski rynek krajowy. Wybrała trafnie drogę i adresata: przez sieć bibliotek, czytelni, a potem księgarń dotarła do chłonnej inteligencji, studenterii, kręgów uniwersyteckich. Szczególny autorytet, jakim *Russkaja Mysl* się w Rosji cieszy, bierze się z oczywistej niezależności politycznej. Dowodem brak wszelkich *kompromatów*, pecyn błota, jakimi obrzucają się politycy w raczkujących demokracjach. Zagrodziła im drogę na te łamy wielkoduszność Iriny Aleksiejewny; okazało się, że to popłaca. Skądinąd nie są to łamy neutralne: Iłowajska hołdowała twierdzeniu Chestertona, że prawdziwy patriota nie może być zadowolony ze stanu swojej ojczyzny. Zdawała sobie sprawę, że pustą łuskę komunistycznego pocisku ładuje się w pośpiechu ideologicznym śmieciem, pretekstami do szowinizmu i odwetu. Dlatego *Russkaja Mysl* stała się istotnym podręcznikiem trzeźwości ideowej, polem walki wybitnych politologów i historyków z następstwami 70-letniej dezinformacji. Drukowali się w jej piśmie wszyscy czołowi reformatorzy nowej Rosji z Gajdarem i Starowojtową na czele, najbystrzejsi badacze opinii publicznej, jak Klamkin i Lewada. Tu Iłowajska ogosiła swoją długą rozmowę z generałem Liebiediem, z której wynikało, że największym niebezpieczeństwem dla stronnictwa wielkodzierżawia i rekonkwisty mogą stać się narodowcy, odrzucający imperialną tradycję.

Iłowajska nie poprzestała na drukach. Jeszcze w Paryżu założyła rozgłośnię „Błagowiest". W Moskwie mówiła przez mikrofony Chrześcijańskiego Radia Kościelno-Społecznego i radiostacji Sofija, wszystko to było pełne dobrej wiedzy i werwy, wszystkie jej polemiki i szkice na tematy religijne tchnęły owym duchem ekumenicznym, którego tak brak na Wschodzie Europy. Była audytorką Synodu Biskupów Europy, powołana tam przez Jana Pawła II. Po jej nagłej i cichej śmierci nabożeństwa żałobne odprawiono więc w rzymskim kościele

S. Luigi Gonzaga, w paryskim soborze św. Aleksandra Newskiego i moskiewskiej cerkwi p.w. świętych Kuźmy i Damiana.

Rozgłośnie mieszczą się na czwartym piętrze starego gmachu uniwersytetu imienia Łomonosowa w Moskwie. Nie sposób zapomnieć jak ta sędziwa, otyła kobieta wspinała się bez tchu po stromych schodach zapuszczonego budynku, pozbawionego windy, aby siąść przed mikrofonem i mówić o *Nowej Polszy* z autorem tych słów. To Irina Aleksiejewna Iłowajska i jej *Russkaja Mysl* przetarły drogi, którymi nasz miesięcznik przebił się na rosyjski rynek prasowy i jest już od wielu miesięcy w rękach rosyjskich inteligentów. Dodajmy, że stałymi korespondentami *Russkiej Mysli* są Jan Strzałka i Grzegorz Przebinda, członek redakcji *Nowej Polszy*. Tej redakcji czynnym członkiem jest z kolei poetka Natalia Gorbaniewska, podpora redakcji Iłowajskiej.

18 maja 1995 Irina Iłowajska wypowiedziała w trakcie wykładu na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim słowa, które w Polsce lubi się powtarzać z uznaniem: „Chcę, jako Rosjanka, poprosić moich polskich braci o przebaczenie za wszystkie cierpienia, których doznali ze strony Rosji i Rosjan". Sądzę, że nie powinna była tego mówić, nie ona niesie odpowiedzialność za jakiekolwiek takie winy. Ani nikt z Rosjan, jej podobny. Dlatego wypada dotknąć tu dwu kwestii, które przykład Iriny Aleksiejewny Iłowajskiej czynią wyraźniejszym może dla nas, niż to, co zrobiła bezpośrednio dla polskiej sprawy.

– Mamy tu do czynienia z okazałym dowodem znaczenia inteligencji, jako środowiska i świadomego strażnika dorobku duchowego całego narodu. Iłowajska miała wysoce rozwinięty ów gruczoł humanistyczny, który reżym komunistyczny usiłował wyciąć świetnej i licznej rosyjskiej inteligencji, przekształcając ją w gromadę „wykształceńców", technicznych parobków bez wpływu na decyzje rządzących dyletantów. Właśnie ta próba – w dużej mierze udana – doprowadziła do zastoju w badaniach, produkcji i nawet w zbrojeniach ZSSR. Ta lekcja nie byłaby tak wymowna, gdyby nie dowód przeciwny, jakiego dostarczyła Irina Iłowajska i inni, myślący podobnie.

– Rola tej wspaniałej emigrantki w Rosji, w Europie,

więcej – w świecie, rola tak widoczna, każe zastanawiać się na nowo nad znaczeniem wychodźstwa. Irina Iłowajska i jej podobni dokonali ważnego przewartościowania wątków kultury swojego narodu. Z dystansu i bez doraźnych nacisków stało się łatwiej wybrać najbardziej żywotne i zdatne do kontynuacji. Toż kultura jest w ogóle sztuką dziedziczenia. To, co znalazło dalszy ciąg na stronicach *Russkiej Mysli* i w audycjach Iłowajskiej, okazało się zadziwiająco współrzędne wobec kultury i myśli reszty kontynentu. Dzieło tej kobiety przyczynia się do obalenia przesądu o zasadniczej obcości kultur – rosyjskiej i łacińskiej, a także do niezdolności do współżycia Rosji z innymi narodami, nie tylko polskim.

Jerzy POMIANOWSKI

POLNISCHE BUCHHANDLUNG
KSIĘGARNIA POLSKA
Burggasse 22, A-1070 Wien, Austria
Dojazd: 13A, 48A, 49, metro U2 i U3 stacja Volkstheater
Tel. i fax: (1) 52 63 114
Konta pocztowe
Frankfurt/M. 300340 605, Wien 7227.556
Książki w języku polskim, polonica w językach obcych.
Bezpłatne katalogi na żądanie.

Kronika kulturalna

Sprawa skradzionych starych druków

O tym, że z Biblioteki Jagiellońskiej skradziono m. in. piętnaście inkunabułów (czyli druków XV-wiecznych), dowiedziałem się na przełomie kwietnia i maja 1999, czyli wkrótce po tym, jak odkryto kradzież. Była to informacja całkowicie poufna, tylko do mojej wiadomości, a udzielono mi jej dlatego, że w Bibliotece Narodowej jestem jedyną osobą, która zajmuje się inkunabułami i chodziło o to, bym mógł rozpoznać jakikolwiek ze skradzionych tomów, gdyby wypłynął w handlu antykwarycznym. Później, zjawiwszy się z innych przyczyn w Oddziale Starych Druków Biblioteki Jagiellońskiej, dowiedziałem się szczegółów związanych z ową kradzieżą, która – jak wiadomo – dotknęła nie tylko inkunabuły.

Do września tego roku nic istotnego się w tej sprawie nie działo, natomiast w środowisku antykwarskim coraz częściej i dokładniej mówiono o owej kradzieży, którą Dyrekcja BJ usiłowała zachować w tajemnicy. Uznała ona jednak za stosowne poinformowanie o fakcie kilka antykwariatów krakowskich („na wypadek, gdyby..."), a ich pracownicy z kolei dzielili się tymi informacjami z innymi kolegami po fachu. Było jasne, że przedostanie się tych wiadomości do prasy to tylko kwestia czasu. I rzeczywiście, w końcu września zgłosił się do mnie dziennikarz z *Gazety Wyborczej*, redaktor Włodzimierz Kalicki, z niecodzienną propozycją.

Dlaczego akurat do mnie? Był to skutek pewnego zbiegu okoliczności. Otóż red. Kalicki już od dłuższego czasu zaj-

muje się tematyką polskich strat wojennych w zakresie zbiorów muzealnych i bibliotecznych, ja zaś jestem współautorem drugiego tomu monumentalnej publikacji „Inkunabuły w bibliotekach polskich", który zawiera m. in. osobny katalog inkunabułów utraconych przez polskie biblioteki w czasie II wojny światowej (jest to faktycznie jedyna grupa polskich książek, co do której dysponujemy dokumentacją pozwalającą na sporządzenie takiej listy). Toteż mogłem wówczas udzielić red. Kalickiemu sporo na ten temat informacji. Propozycja, jaką w imieniu *Gazety* złożył mi Kalicki, była istotnie frapująca: *Gazeta* dysponuje listą 51 pozycji skradzionych z Jagiellonki oraz wiadomością, że 13 pozycji bibliograficznych z owej listy figuruje w katalogu przewidzianej na 21 października aukcji w niemieckiej firmie antykwarycznej Reiss u. Sohn w Koenigstein im Taunus. W związku z tym proponuje mi jednodniowy wyjazd tamże w jego towarzystwie na koszt *Gazety* w celu stwierdzenia, czy oferowane tam książki pochodzą z Jagiellonki, wydaje się bowiem co najmniej podejrzane, że aż czwarta część strat Jagiellonki (a są to z reguły pozycje rzadko pojawiające się na rynku antykwarycznym) pojawia się na jednej aukcji.

Hm... Była to bardzo atrakcyjna propozycja, pod każdym względem. Obejrzawszy jednak ową listę 13 pozycji, przekonałem się, że wśród nich były tylko trzy inkunabuły, reszta zaś to druki XVII-wieczne. I tu nabrałem wątpliwości... Nie znam bowiem zbiorów Jagiellonki wystarczająco dobrze, by po drobnych cechach, niezauważalnych dla postronnego obserwatora, rozpoznać ich pochodzenie – w ten sposób każdy rasowy bibliotekarz zna zbiory SWOJEJ biblioteki, stąd jedyny wniosek, jaki mi się nasunął: powinien tam pojechać zamiast mnie ktoś z Jagiellonki, co z niejakim żalem oświadczyłem Kalickiemu. Uznał on zasadność mych argumentów i skontaktował się telefonicznie z wicedyrektorem BJ, panią Teresą Malik (dyrektor naczelny, pan Krzysztof Zamorski, bawił od niejakiego czasu w USA). Pani dyrektor oświadczyła, że sprawa jest jej znana od prawie miesiąca, wszystko jest pod pełną kontrolą i na dobrej drodze, a więc nie ma powodu, by *Gazeta* miała się w to włączać. I tyle. Było to w sobotę 25 września.

Przyszło mi do głowy, że upublicznienie sprawy przez

Gazetę być może mimowolnie zaszkodzi sprawie, podzieliłem się swymi wątpliwościami z Kalickim. Rozumiał problem i obiecał naradzić się w tej sprawie ze swymi zwierzchnikami. W rezultacie w poniedziałek 27 września *Gazeta* skontaktowała się telefonicznie bezpośrednio z rektorem UJ jeszcze raz, proponując swą pomoc. Wedle tego, co słyszałem, rektor odpowiedział to samo, co pani dyrektor, tylko w sposób – delikatnie rzecz ujmując – dużo bardziej obcesowy. A tego samego dnia do mnie zgłosiła się telefonicznie policja warszawska na prośbę prokuratury krakowskiej z zapytaniem, czy nie dysponuję jakimiś danymi, które umożliwiłyby sprawdzenie owych oferowanych na niemieckiej aukcji egzemplarzy pod kątem ich ewentualnego pochodzenia z Jagiellonki...

Sytuacja przypominała więc popularne porzekadło „nie wie prawica, co czyni lewica" i wszystko wskazywało na to, że wbrew twierdzeniom władz Jagiellonki, sprawa wcale się nie musi skończyć pomyślnie. Kiedy więc – wobec zdecydowanej odmowy współpracy ze strony Jagiellonki – *Gazeta* ponowiła mi swą propozycję, zgodziłem się. Wyjazd ten należało jednak przygotować. *Gazecie*, co zrozumiałe, zależało na jak najszybszym terminie. Realnie rzecz biorąc, pierwszą możliwą datą był dzień 30 września. Przedtem jednak należało się upewnić, czy książki będą wtedy dostępne do wglądu. Poprosiłem Kalickiego, by nadał odpowiedni faks do Niemiec, bo bez zgody stamtąd na naszą wizytę wyjazd oczywiście nie miałby sensu. Sam poinformowałem o całej sprawie swoich zwierzchników w Bibliotece Narodowej i uzyskałem ich aprobatę dla mej eskapady. Zebrałem z literatury naukowej i znajdującego się w Bibliotece Narodowej centralnego katalogu starych druków wszelkie dostępne informacje na temat owych 13 książek skradzionych z Jagiellonki. Z Niemiec nadeszła odpowiedź, że możemy w czwartek 30 września obejrzeć wybrane pozycje w godzinach 9.30-13.00. *Gazeta* zakupiła dla nas obu bilety na samolot, który odlatywał z Okęcia o 7.45 i ok. 9.00 miał być we Frankfurcie nad Menem, od którego Koenigstein jest oddalony o ok. 20 km.

I tak się stało, choć nie całkiem. Samolot miał pewne opóźnienie już przy wylocie z Warszawy, co miało fatalne dla nas konsekwencje: do Frankfurtu przyleciał też spóźniony i,

jak się to mówi, „wypadł z kolejki". Staliśmy na płycie lotniska bez końca – było już po 10-tej, a ciągle nie wiadomo było, kiedy wreszcie będzie można wyjść z tej maszyny. Siedziałem jak na szpilkach, bo miałem świadomość, że może mi zabraknąć czasu, by owe książki dokładnie obejrzeć. Wreszcie zajechaliśmy pod wyjście i wysiedliśmy – była godzina 10.40. Prędko na postój taksówek, a tam znowu kolejka, na szczęście krótka.

Wreszcie, o 11.10 (czyli dwie godziny później niż miało to być) stajemy przed drzwiami antykwariatu pana Reissa. Wchodzimy i przedstawiamy się, wychodzi do nas sam Godebert Reiss. Wita się i zaraz z jego ust pada pytanie: „czy panowie są w związku z książkami ukradzionymi w Bibliotece Jagiellońskiej!?" Zostało ono postawione tonem bardzo kategorycznym, by nie rzec napastliwym. Nie byliśmy na nie przygotowani, nie ma możliwości porozumienia się. Myślę prędko: jeśli się przyznamy, on może powiedzieć „w takim razie do widzenia panom, książki są do wglądu dla potencjalnych nabywców, a nie dla domorosłych detektywów". Improwizuję więc przy cudownej pomocy Kalickiego, który świetnie uzupełnia to co ja mówię (ponieważ on mówi dużo lepiej ode mnie po niemiecku, a pan Reiss nie uznaje innych języków, decyduję się mówić głównie po polsku i zostawiać Kalickiemu tłumaczenie na niemiecki). A więc oświadczam: „Ależ skąd, ja reprezentuję Bibliotekę Narodową w Warszawie, dla której sponsor gotów jest zakupić na tej aukcji jeden druk, najprawdopodobniej inkunabuł, i przyjechaliśmy wcześniej, by obejrzeć wybrane pozycje". Reiss: „A dlaczego na faksie podana jest *Gazeta*"?" Kalicki: „Bo to właśnie *Gazeta* jest tym sponsorem". Reiss się wyraźnie odpręża i mówi żartobliwie do mnie, że moja biblioteka ma dobrze, skoro znajduje sponsorów do takich zakupów *etc.* Rozmowa staje się wręcz żartobliwa, chcę zaraz oglądać książki, bo przecież czasu mamy jak na lekarstwo, ale Reiss decyduje: najpierw napijemy się kawy. I daje nam w prezencie obszerny, prawie 600-stronicowy katalog aukcji (chcieliśmy go kupić, ale antykwariusz zdecydowanie nie zgodził się na to). Pijemy więc tę kawę, zostawiam całkowicie Kalickiemu ciężar prowadzenia towarzyskiej rozmowy, a sam przeglądam katalog i wynotowuję numery interesujących mnie pozycji. Na

szczęście przed przyjazdem tu nauczyłem się na pamięć wszystkich 13 tytułów i tych cech szczególnych egzemplarzy Jagiellonki, jakie były znane, bo wobec rozwoju sytuacji nie ma mowy o tym, by na oczach Reissa zaglądać do notatek – on co prawda polskiego nie zna, ale na pewno nie jest idiotą.

Katalog ma nie najszczęśliwszy dla moich potrzeb układ, stąd muszę przeglądać całe działy, aby wyszukać interesujące mnie pozycje. Wyszukuję zresztą nie tylko owe 13 druków „z Jagiellonki" ale także wszystkie pozostałe inkunabuły – postanowiłem bowiem przy okazji zestawić je z naszą listą strat wojennych i zobaczyć, czy to nie przypadkiem jakiś z naszych egzemplarzy. W sumie wyłowiłem około dwudziestu paru druków do obejrzenia. Daję listę numerów aukcyjnych młodszemu panu Reissowi („u. Sohn"), który od początku asystuje przy całej rozmowie, ale zdecydowanie usuwa się na drugi plan. Jest na tej liście przede wszystkim Ptolemeusz czyli jego „Cosmographia" wydana w Ulm w r. 1482 (HC* 13539), główna atrakcja aukcji pana Reissa wyceniona na 1.200.000 marek (cena wywoławcza). Zanim go dostaniemy do rąk, pan Reiss bardzo przeprasza, ale musi skserować nasze paszporty. Oczywiście, zgadzamy się, dajemy dokumenty, choć do dziś nie bardzo wiem, po co to było potrzebne. Reiss junior opróżnia stolik, przy którym siedzimy, nakrywa go aksamitem i za chwilę przynosi Ptolemeusza. Biorę druk do ręki i otwieram.

Kiedy jechaliśmy taksówką z lotniska we Frankfurcie, powiedziałem do Kalickiego: „Wie pan, jaka może być najgorsza sytuacja, z jaką się zetkniemy? Że to będą TE książki, ale tak spreparowane, iż nie będziemy w stanie tego udowodnić".

O skradzionym krakowskim egzemplarzu tego Ptolemeusza wiedziałem z literatury, że miał dwa dawne wpisy własnościowe: Mikołaja z Pilczy, profesora Akademii Krakowskiej z przełomu XV i XVI wieku oraz drugi, z przełomu XVII i XVIII wieku, potwierdzający przynależność tej książki do Collegium Maius tejże uczelni. Nie wiedziałem, gdzie te wpisy się znajdowały w tym egzemplarzu, ale z praktyki wiem, że wczesne zapisy, z XV i początku XVI wieku najczęściej umieszczano na przedniej wyklejce (wewnętrznej stronie przedniej okładki), natomiast w czasach późniejszych wpisywano się z reguły na stronie tytułowej lub początku tekstu.

Otwieram więc Reissowego Ptolemeusza i patrzę. Pierwsze wrażenie: egzemplarz jest czysty, bez żadnych ręcznych wpisów czy pieczęci. Ale po chwili uważnego oglądania widzę, że lewy górny narożnik oryginalnej wyklejki (czyli miejsce, gdzie mógł się znajdować wpis Mikołaja z Pilczy) został usunięty, a na jego miejsce bardzo starannie i fachowo wklejono identycznej wielkości kawałek papieru też starego, ale czystego, bez żadnych wpisów. Patrzę na pierwszą stronę tekstu i widzę, że identycznej operacji dokonano na środkowej części dolnego marginesu (czyli tam, gdzie mógł się znajdować wpis dotyczący Collegium Maius). Oglądam koniec książki i wydaje mi się, że dostrzegam ślady po usuniętej pieczęci w miejscu, gdzie Jagiellonka stempluje swe zbiory. Tego ostatniego nie jestem pewien, ale wiem, że ta akurat kwestia nie nastręczy problemów przy badaniu laboratoryjnym. A te wycięcia zastąpione świeżo (świadczy o tym poziom fachowości tej pracy) wklejonymi kawałami innego papieru? Naturalnie, to nie jest jeszcze dowód niezbity, ale nie sposób uwierzyć w aż taką zbieżność przypadków – *eto nie bywajet*.

Oglądamy jeszcze bardzo cenny drugi inkunabuł, który ma całkowicie nową wyklejkę przedniej okładziny, wklejoną zresztą dość niestarannie (jak na ironię okaże się, że ta właśnie książka nie pochodzi z Jagiellonki), po czym gospodarze zapraszają nas do głównej sali, gdzie już przy dużym normalnym stole będziemy mogli obejrzeć resztę zamówionych przez nas książek – uznane przez firmę jako mniej cenne są łatwiej dostępne, bo nie przechowywane w sejfie, jak owe pierwsze dwie nam udostępnione. Wśród inkunabułów nie znajduję żadnego, który by figurował na naszej liście strat wojennych i zarazem miał jakiekolwiek cechy własnościowe odpowiednich polskich bibliotek. (Zabrałem z Warszawy ów tom „Inkunabułów w bibliotekach polskich", gdzie pomieszczono katalog strat wojennych; korzystam zresztą z tego, by pokazać Reissowi moje nazwisko na stronie tytułowej tej publikacji i w ten sposób niejako potwierdzić moją tożsamość zawodową). Teraz sam oglądam książki, a Kalickiemu jako „pomocnikowi" każę wyszukiwać odpowiednie miejsca w naszym katalogu. Zaoszczędza to czasu, którego mamy coraz mniej, a zarazem robi wrażenie pracy „na cztery ręce" – a

czego ona dotyczy, Reiss nie ma możliwości się domyślić.

Kończymy z inkunabułami, zostały jeszcze XVII-wieczne druki z listy Jagiellonki. Od razu widzę, że też są spreparowane. Im mniej nam zostaje czasu, tym większy ogarnia mnie stres, ale może to dzięki niemu właśnie wpadam na pomysł, jak się okazało, zbawienny. Mówię do Kalickiego: niech pan notuje, i dyktuję mu kolejno numer pozycji w katalogu aukcyjnym i przy nim omówienie zabiegów, jakim książkę poddano – takim jak wywabienie pieczęci, świeże uzupełnianie starym papierem wyciętych miejsc, sporządzenie nowych wyklejek lub zgoła nowych opraw etc. Jeden przypadek jest szczególnie dający do myślenia: mam w ręku dwie książki, które w Jagiellonce były współoprawne (z woli introligatora tworzyły jeden tom). Teraz są to dwa tomiki w ewidentnie nowych oprawach. Są także różnej wielkości – jedna około centymetra większa od drugiej, zupełnie nie wygląda, żeby miały pochodzić z jednego tomu. Ale wystarczyło obejrzeć je uważniej, by dostrzec, że zostały zupełnie świeżo przycięte do różnych rozmiarów, a żeby nie było tego widać (świeże obcięcia mają zupełnie inny kolor niż stare), pomalowano je na różne kolory. Tak, tylko robota jest tak świeżej daty, że jeszcze mnóstwo kartek jest posklejanych właśnie tą farbą, którą barwiono obcięcia... Można to było robić tylko w jednym celu: utrudnić ustalenie, skąd książki pochodzą.

I jeszcze jedno: wśród 11 książek, jakie obejrzeliśmy „z powodu Jagiellonki" (11 – bo jednej nie doszukałem się w katalogu, o czym niżej, a druga była według słów Reissa „niedostępna, bo aktualnie u klienta") jedna zdecydowanie różniła się od pozostałych: miała lekko podniszczoną XIX-wieczną oprawę, stare wyklejki z różnymi notatkami, także ołówkowymi po angielsku z przełomu poprzedniego i obecnego stulecia i generalnie rzecz biorąc wyglądała tak, jak normalnie stare druki się prezentują – nie było żadnych śladów usuwania czegokolwiek i stało się dla mnie od razu jasne, że ten egzemplarz na pewno z Jagiellonki nie pochodzi. Ale przez kontrast z tym tomem właśnie wszystkie pozostałe wyglądają tym bardziej podejrzanie.

Kiedy kończę oglądać ostatni egzemplarz, do pierwszej brakuje tylko niecałych pięciu minut. Nie ma już czasu, by sprawdzić, czy obejrzałem wszystko, co chcieliśmy (potem się

okaże, że jednego inkunabułu w ogóle nie zamówiłem – był w katalogu aukcyjnym w zupełnie innym dziale, niż wszystkie pozostałe). Pożegnalna rozmowa z Reissami, decyduję się powiedzieć, że egzemplarz Ptolemeusza ma ślady usunięcia czegoś w tych miejscach, gdzie w egzemplarzu Jagiellonki były wpisy proweniencyjne, co jest podejrzane. – Wykluczone! – odpowiada Reiss senior – mam bardzo mocne papiery na legalne pochodzenie tej książki. Nie przekonuje mnie to (papier to tylko papier, niezbity dowód na taką a nie inną historię egzemplarza mogą stanowić tylko autentyczne historyczne wpisy i pieczęcie w samej książce, wszystko inne można spreparować), ale nic nie mówię. Myślę sobie: uprzedziłem go i to wystarczy.

Żegnamy się i wychodzimy. – No i co pan na to? – pyta Kalicki – są to książki z Jagiellonki czy nie? – Moim zdaniem na pewno tak, oprócz tej jednej z angielskimi notkami – odpowiadam – ale nie można tego napisać, bo niezbitych dowodów nie ma. Są tylko poszlaki, ale w takiej liczbie, że każde inne ich tłumaczenie byłoby całkowicie nieprawdopodobne. Teraz pole do popisu mogą mieć laboratoria policyjne, przede wszystkim po to, by zbadać te miejsca w książkach, gdzie – jak się wydaje – usunięto pieczątki.

Wracamy do Frankfurtu. Marzę o dobrej kawie, ale zdaję sobie sprawę, że w Niemczech mam znikome szanse na zaspokojenie tego pragnienia. Taksówkarz nie jest w stanie podać nam adresu jakiejkolwiek „sympatycznej" kawiarni czy restauracji. Dobrze, że przynajmniej potrafi nas dowieźć do centrum miasta. Tam, metodą „raz na prawo, raz na lewo" krążymy chwilę po śródmieściu i szczęśliwie trafiamy na niedużą restauracyjkę, robiącą przyjemne wrażenie. Zajmujemy stolik, zamawiamy obiad – kelnerka okazuje się Polką i rzeczowo nam doradza – a Kalicki dzwoni ze swego telefonu komórkowego do redakcji i dowiaduje się, że musi dostarczyć tekst najpóźniej do 18-tej, aby znalazł się – co konieczne – w jutrzejszym numerze. Samolot powrotny mamy dopiero koło 20-tej czyli wniosek prosty. Biedak musi napisać artykuł niezwłocznie tu na miejscu i przedyktować go do Warszawy przez telefon.

Jemy więc ten obiad a Kalicki równocześnie pisze artykuł-sprawozdanie z naszych poszukiwań. Teraz się przydają

wszystkie te szczegóły dotyczące preparowania poszczególnych książek, jakie u Reissa dyktowałem memu wspólnikowi. Autorowi udaje się dzięki temu stworzyć przy mojej pomocy w kwestiach merytorycznych spójny tekst dający nawet nieobeznanemu ze sprawą czytelnikowi dobre pojęcie o tym, cośmy widzieli. W kwestii pochodzenia obejrzanych książek nie stawiamy kropki nad i, ale sugerujemy wyraźnie, że są to prawdopodobnie książki pochodzące z Jagiellonki. Jeszcze wspólne odczytanie całości i potem autor mozolnie przedyktowuje cały długi tekst przez telefon. Kiedy kończy, pora już jechać na lotnisko, by wracać do Warszawy.

Niestety mamy pecha – mówi mój współtowarzysz – Nobel dla Grassa wypycha nasz materiał z pierwszej strony. Zaskakuje mnie to: nie sądziłem, że w ogóle pierwsza strona wchodziłaby w grę. Cóż, nie jestem dziennikarzem.

Na lotnisku okazuje się, że nasz samolot powrotny jest także opóźniony, ale dużo dłużej – czekamy bez końca, ale teraz nareszcie się już nie spiesząc i w całkowitym odprężeniu. W Warszawie jesteśmy trochę po godz. 23.

Nazajutrz rano jadę do Krakowa w zupełnie innej sprawie: o godz. 12 w tamtejszym sądzie odbywa się kolejna rozprawa o kradzież starych druków z klasztoru kamedułów na podkrakowskich Bielanach. Zeznaję tam jako biegły. Tuż przed rozpoczęciem rozprawy podchodzi do mnie oskarżająca w tym procesie pani prokurator i mówi, że poprosi przewodniczącą składu sędziowskiego o to, bym zeznawał jako pierwszy, bo prokurator zajmujący się sprawą kradzieży w Jagiellonce chce jak najprędzej mnie przesłuchać. Oczywiście czytał już artykuł w *Wyborczej*, ja naturalnie też – w czasie podróży do Krakowa. I chociaż przecież znałem ten tekst, to dziwnie mi było zobaczyć go w druku, a jeszcze dziwniej, gdy spostrzegłem, jak uważnie się w ten tekst wczytuje mój przypadkowy współpasażer.

Zeznaję rzeczywiście jako jeden z pierwszych i gdy tylko wychodzę z sali, podchodzi do mnie policjant, by jak najkrótszą drogą przeprowadzić mnie do prokuratora Janusza Kowalskiego, on bowiem właśnie zajmuje się tą sprawą. Składam obszerne zeznanie, pana prokuratora bardzo interesują nasze szczegółowe notatki dotyczące oglądanych u Reissa egzemplarzy (to, co dyktowałem Kalickiemu). Nie mam ich

naturalnie ze sobą, ale obiecuję przysłać je niezwłocznie z Warszawy. Cała rozmowa prowadzona jest w formie oficjalnej ale – powiedziałbym – spokojnie życzliwej i ze strony prokuratora nie padają pod moim adresem żadne zarzuty w związku z naszą niemiecką eskapadą, wręcz przeciwnie: jasno wynika ze słów pana prokuratora, że to, co tam zaobserwowaliśmy, może mieć istotne znaczenie dla dalszego rozwoju wypadków. Dopiero dużo później dowiem się nieoficjalnie, że właśnie ten artykuł Kalickiego w *Gazecie Wyborczej* przesądził o tym, iż prokuratura krakowska zdecydowała się wystąpić do strony niemieckiej w sprawie druków oferowanych przez Reissa, a pochodzących z Jagiellonki.

Wracam do Warszawy i przez weekend jest spokój. W poniedziałek zjawiam się normalnie w pracy czyli w Dziale Zbiorów Specjalnych Biblioteki Narodowej. Moi koledzy są ciekawi szczegółów naszej niemieckiej eskapady. Aby nie opowiadać każdemu z osobna, gromadzę o 11-tej wszystkich chętnych i relacjonuję wszystko ze szczegółami. Po spotkaniu podchodzi do mnie koleżanka z Zakładu Zbiorów Kartograficznych, pani Lucyna Szaniawska, i pyta o sygnaturę owej skradzionej w Jagiellonce „Cosmographii" Ptolemeusza, którą – jak przypuszczamy – oglądaliśmy u Reissa. Ustalamy to bez trudu i zaraz się okazuje, że pani Szaniawska dysponuje siedmioma zrobionymi niegdyś przez siebie fotografiami z wybranych stron tego właśnie egzemplarza. Od razu zdaję sobie sprawę z wagi tego faktu: w Jagiellonce nie dysponują ani jednym zdjęciem z tej książki, mają jedynie fragmentarycznie i nie całkiem dokładnie wykonany odrys oprawy tej właśnie książki. Telefonuję do Krakowa, do prokuratora Kowalskiego i informuję go o znalezisku – obiecuje przysłać nazajutrz dwóch swych ludzi po te materiały (oryginał filmu i odbitki). Na jednym z tych zdjęć widzę pierwszą stronę tekstu. Na dolnym marginesie można bez trudu odczytać wyraźny odręczny wpis „Bibliothecae Collegii Maioris Universitatis Cracoviensis" – dokładnie w tym właśnie miejscu egzemplarz widziany w Koenigstein miał wprawioną nową łatę ze starego papieru... Cóż, tego już nie da się uznać za zbieg okoliczności... dwa inne zdjęcia pokazują strony z „cechami indywidualnymi" książki, takimi jak plamy, indywidualne zdobienia *etc.* – to może szczególnie się przydać do stwierdzenia, że mamy do

czynienia z tym samym egzemplarzem. No i są zdjęcia map, najefektowniejsze, ale też i najmniej przydatne w naszej sprawie. Porozumiewam się z Kalickim (uważam, że *Gazecie* się to należy!), zaraz przyjeżdża do Biblioteki, wypożyczamy mu na krótko zdjęcia zastrzegając, które na obecnym etapie można opublikować (mapy, stronę z zapisem proweniencyjnym), a o których ani słowa na razie z uwagi na dobro sprawy: to te, które mogą być niezbitym dowodem przy identyfikacji. Po dwóch godzinach zdjęcia są z powrotem u nas i nazajutrz przekazujemy je przybyłym z Krakowa policjantom.

Na tym właściwie kończy się mój czynny udział w tej sprawie, która zatacza teraz coraz szersze kręgi. Wkrótce wyjeżdża do Koenigstein oficjalna polska ekipa rzeczoznawców z Jagiellonki i prokuratury, potwierdza się, że 11 pozycji z katalogu aukcyjnego Reissa pochodzi z Jagiellonki (potem okaże się, że sześć dalszych pan Reiss chował na następną aukcję). Sprawą interesują się szeroko środki przekazu oczywiście przede wszystkim prasa, ale także radio i telewizja (polskie i niemieckie) oraz – ku memu zdziwieniu – kancelaria prezydenta RP. Dowiaduję się bowiem od Kalickiego, że w jakiś tydzień po naszym wyjeździe do Niemiec dzwoniono z tejże kancelarii do *Gazety* wypytując o personalia Kalickiego i moje. Zastanawiamy się obaj, po co – i dochodzimy do wniosku, że być może chcą nas zaprosić na uroczystość zwrotu skradzionych książek Jagiellonce (wtedy jeszcze wydawało się, że to być może niedługo nastąpi), któremu to wydarzeniu prezydent zapewne będzie chciał nadać odpowiednią oprawę.

Nieoczekiwanie jednak zostaję (razem z Kalickim) zaatakowany i to ze strony, z jakiej absolutnie bym tego nie oczekiwał. 16 października ukazuje się bowiem oficjalny wspólny komunikat Prokuratury Krakowskiej i Dyrektora Biblioteki Jagiellońskiej (pan Krzysztof Zamorski przyleciał na kilka dni do Krakowa, podpisał ów komunikat, po czym wrócił do USA). Tekst to zaiste kuriozalny: nie brak w nim świadomego mijania się z prawdą i to w różnych materiach. My obaj jesteśmy tam wspomniani (bez nazwisk, po zawodach), jako ci, co niepotrzebnie wtrącili się w sprawę biegle prowadzoną przez krakowską prokuraturę, namieszali i spowodowali, że sympatyczny pan Reiss, zrażony kontaktami z

nami (bo podawaliśmy się za kupców, a faktycznie przyjechaliśmy na przeszpiegi), bardzo nieufnie odniósł się do polskich rzeczoznawców i trzeba się było starać, by odzyskać jego zaufanie, a potem już bardzo chętnie ze stroną polską współpracował...

Do dziś nie wiem, czym się kierowali autorzy tego tekstu – czy chodziło tylko o względy ambicjonalne, czy jakieś inne, ale nie ma celu wdawać się w domysły. Faktem jest, że zrobiło mi się bardzo przykro, bo wydawało mi się, że odwaliliśmy kawał dobrej roboty – obecnie nie ma już wątpliwości, że gdyby nie nasza wyprawa i ów pierwszy artykuł w *Gazecie*, to prawie na pewno nie doszłoby do oficjalnego wystąpienia strony polskiej. Najbardziej zaskakujące było dla mnie stanowisko dyrekcji Jagiellonki, która w moim odczuciu powinna być *Gazecie* tylko wdzięczna, jako że dzięki niej ma szansę odzyskania pokaźnej części utraconych zbiorów. W dodatku w podtekście krył się zarzut wobec mnie, że nieproszony wmieszałem się w sprawy, którymi powinni się zajmować tylko zainteresowani (czyli osoby związane z Jagiellonką).

Dlatego też, gdy Kalicki pisał w grudniu obszerny artykuł podsumowujący sprawę, poprosiłem go, by znalazła się tam wzmianka o tym, że Jagiellonka odmówiła współpracy z *Gazetą* i ja znalazłem się tam tylko w zastępstwie. Publikacja ta prostowała też część nieprawdziwych informacji z owego omówionego wyżej sławetnego komunikatu obu krakowskich instytucji i przywracała poszczególnym elementom historii właściwe proporcje. Publikacja ta nie mogła przejść niezauważona, a jednak nie doczekała się żadnej reakcji ze strony przedstawicieli czy to prokuratury, czy to Biblioteki Jagiellońskiej. Było dla nas oczywiste, że oznacza to uznanie wersji opublikowanej w *Gazecie* za prawdziwą.

I najwyraźniej do tego samego wniosku doszła kancelaria prezydenta, bo w początkach stycznia roku 2000 obaj zostaliśmy poinformowani, że prezydent Aleksander Kwaśniewski zamierza nas z tego powodu uhonorować odznaczeniami. I tak się stało: 12 stycznia prezydent RP odznaczył Włodzimierza Kalickiego krzyżem kawalerskim orderu Polonia Restituta, a niżej podpisanego (który w całej tej historii pełnił rolę tylko pomocniczą) Złotym Krzyżem Zasługi.

Od odznaczeń jednak istotniejsze jest niestety to, że

książki do tej pory do Krakowa nie wróciły i nic nie wskazuje, by się to miało wkrótce wydarzyć. Dlaczego? O tym być może mogłaby coś powiedzieć prokuratura krakowska, wszak tylko ona się tą sprawą zajmuje oficjalnie.

marzec 2000

Michał SPANDOWSKI

Michał Spandowski, ur. 1943, ukończył filologię klasyczną na Uniwersytecie Warszawskim, a od 1966 r. pracuje w Zakładzie Starych Druków Biblioteki Narodowej specjalizując się w książce XVII-wiecznej, a od początku lat 70-tych również w inkunabułach.

Targi lipskie

Międzynarodowe Targi Książki w Lipsku, które odbyły się w marcu, były etapem w przygotowywaniu polskiej obecności do targów we Frankfurcie, w czasie których, jesienią, Polska będzie gościem honorowym, co oznacza, że polscy wydawcy zyskają wyjątkowe możliwości promocji swych książek, zaś polscy autorzy będą mogli liczniej i szerzej zaprezentować się publiczności targowej, która nie jest wszak zwykłą publicznością, lecz składa się także z wydawców i księgarzy.

Czy Lipsk był poligonem doświadczalnym dla Frankfurtu? Zapewne nie – wszakże z pewnością można tę imprezę traktować jako swoistą „przedmowę" do szerszej prezentacji. Rzecz w tym, by skupić się na książce, wyodrębnić to, co w polskiej literaturze ostatnich lat najbardziej pociągające.

Czy możemy zaproponować coś, co świat zainteresuje? Lipsk był próbą – podjętą w ostatniej niemal chwili i na chybcika, bez szans skonsultowania pomysłu z wydawcami, bez możliwości „zgrania" wcześniejszych ustaleń z przyjętą koncepcją całości – sformułowania takiej właśnie oferty. Poza autonomicznymi prezentacjami wydawców – którzy w tym roku musieli za swój udział płacić (raczej symbolicznie: półka kosztowała 100 zł, regał 400 zł) – wyodrębniono w polskim

stoisku cztery grupy tematyczne, które prezentowały publikacje mogące przy odpowiedniej oprawie informacyjnej stanowić dla publiczności targowej wskazówkę kierującą ich uwagę na te tematy polskiego piśmiennictwa (nie tylko samej literatury pięknej), które po roku 1989 stanowią istotną nowość, zaświadczają dążenie do sformułowania nowego spojrzenia na rzeczywistość.

Pierwszą grupę publikacji zatytułowano „Wzorzec *Kultury*"– dążeniem było zaprezentowanie dorobku Instytutu Literackiego i *Kultury* jako godnego uwagi ośrodka polskiej – ale też zarazem europejskiej i światowej – myśli politycznej po roku 1945, o tyle atrakcyjnego, iż program tu sformułowany stanowił wizję przemian, która zyskała sankcję rzeczywistości. Nośność temu programowi nadawała także literatura – w dodatku taka, która zdobyła sobie uznanie świata. Ten zaplot wątków politycznych i kulturalnych wart jest kontynuacji – dlatego też wśród pism podejmujących tu właśnie sformułowane założenia zaprezentowano *Nową Polszę, Przegląd Polityczny* oraz *Krasnogrudę* i *Borussię*, te dwa ostatnie zresztą wyróżnione przed kilku laty Nagrodą im. Zygmunta Hertza. Druga grupa tematyczna zatytułowana „Koniec historii czy historia nowa" prezentowała powstające w ostatnim dziesięcioleciu książki historyczne bądź historię czyniące swym tematem – tu założeniem było wskazanie, iż po przemianach politycznych historię trzeba dziś pisać na nowo: zarówno naszą własną, jak światową. Trzeci temat wyrastał z drugiego i skupiał się wokół pamięci Kresów i odnajdywania się w nowych pograniczach. Rozwinięciem, swego rodzaju załącznikiem do tej prezentacji stała się publiczna dyskusja z udziałem Ingi Iwasiów reprezentującej szczecińskie *Pogranicza* oraz Dariusza Nowackiego z redakcji katowickich *Opcji* na temat „Poszukiwanie nowej tożsamości". Czwarty wreszcie segment autorskiej prezentacji kuratora polskiego stoiska poświęcony był doświadczeniu Zagłady i jego odzwierciedleniu zarówno w literaturze pięknej jak w opracowaniach historycznych. Tu także rozwinięciem ekspozycji była dyskusja poprowadzona przez Władysława Bartoszewskiego, z udziałem Konstantego Geberta, redaktora miesięcznika *Midrasz* oraz pisarzy Marka Bieńczyka oraz Piotra Matywieckiego. Obie dyskusje zgromadziły sporą ilość słuchaczy.

Prezentacji na terenach targowych towarzyszyły imprezy autorskie przygotowane przez Zespół Literacki Villi Decjusza w Krakowie kierowany przez Albrechta Lemppa oraz przez Instytut Polski w Lipsku (nawiasem mówiąc jest to placówka prowadzona wzorcowo, profesjonalnie i niezwykle dynamicznie, w czym z pewnością zasługa jej obecnej dyrekcji – Joanny Kiliszek oraz Łukasza Gałeckiego). Największym powodzeniem cieszyło się spotkanie autorskie Tadeusza Różewicza, któremu towarzyszył jego tłumacz Henryk Bereska. Ponadto wystąpili Stefan Chwin (który jednocześnie otworzył wystawę swych prac graficznych), Natasza Goerke, Krzysztof Rutkowski i Krzysztof Mik. Spośród zapowiadanych autorów nie pojawili się w Lipsku Jerzy Ficowski oraz Jerzy Pilch. Interesującą dyskusję na temat polskiego eseju – m.in. z okazji opublikowania niedawno tomu szkiców Jerzego Stempowskiego – przeprowadzili Andrzej St. Kowalczyk z Basilem Kerskim.

Ważnym polskim akcentem Targów Lipskich było wręczenie Hannie Krall przyznawanej przez Lipsk Nagrody Europejskiego Porozumienia.

L.S.

WAWEL

PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA W NIEMCZECH ZACHODNICH

Wszystko na temat Europy Wschodniej:

– Literatura piękna i fachowa,

– Albumy, plakaty, pamiątki,

– Książki antykwaryczne.

Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne oraz książki w językach obcych.

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.

Tel.: 0221/24-61-60.

Również sprzedaż wysyłkowa.

Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30

Książki

Stempowski i teatr

Jerzy Stempowski nie był teatrologiem, był amatorem, miłośnikiem teatru. Interesował się teatrem, bo interesował się sztuką. Ta zaś fascynowała go jako domena wolności człowieka. Nie tylko tego, który tworzy, lecz również tego, który słucha, ogląda, patrzy i czyta.

Bliższy związek pisarza z teatrem datuje się od roku 1934, kiedy został wykładowcą w Państwowym Instytucie Sztuki Teatralnej, na wydziale reżyserskim. Stanowisko to zaproponował mu sam Leon Schiller, który wydziałem kierował. Stempowski prowadził zajęcia o konwencjach i stylach literackich. Czytał ze studentami teksty dawne, ukazując ich zdolność do nawiązywania dialogu ze współczesną publicznością. Dziś powiedzielibyśmy, że wprowadzał swoich słuchaczy w zagadnienia komunikacji literackiej. Z czasem sam zaczął pisać o teatrze i dramacie. Wydanie tomu swoich tekstów planował na początek lat czterdziestych. Jednak sezon 1939/1940 i kolejne nie sprzyjały zamierzeniom edytorskim. Sam eseista musiał uchodzić z kraju. Na emigracji miał pozostać do końca życia. Brak kontaktu ze sceną polską sprawił, że pisywał o teatrze już tylko okazjonalnie. Część dawnych i nowe, napisane po wojnie, utwory o tematyce teatralnej weszły w skład dwóch książek eseisty, które ukazały się w Bibliotece „Kultury". Tom, wydany obecnie przez Jerzego Timoszewicza*, gromadzi teksty już ogłoszone, niektóre w trudno dostępnych czasopismach, inne – do tej pory niepublikowane – pochodzą z Gabinetu Rękopisów Biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego. W roku 1999 minęło trzydzieści lat od śmierci Jerzego Stempowskiego. Wydanie nowej książki eseisty wydaje się najlepszym sposobem upamiętnienia tej rocznicy.

* Jerzy Stempowski, „Pamiętnik teatralny trzeciej klasy i inne szkice". Wybór i opracowanie Jerzego Timoszewicza. Wyd. Literackie, Kraków 1999.

W książce zebrane zostały utwory lżejszego i cięższego kalibru. Do tych pierwszych zaliczają się recenzje spektakli i książek teatrologicznych, listy. Ale nawet wśród tych tekstów okazjonalnych znajdujemy rzecz świetną – recenzję „Kościuszki pod Racławicami" Anczyca, utwór pełen humoru i ironii, wciąż aktualny jako odpowiedź tym, którzy chcieliby wykorzystywać złą sztukę do celów propagandowych czy dydaktycznych. Tom zawiera szereg tekstów pierwszej klasy i jedno niewątpliwe arcydzieło, które na trwałe weszło do kanonu literatury polskiej XX wieku – mam oczywiście na myśli esej „Pan Jowialski i jego spadkobiercy". Utworowi temu oraz jego recepcji sporo uwagi poświęca w swojej przedmowie Jerzy Timoszewicz, nie będę więc o nim pisał. Zaznaczam tylko, że esej ukazuje się w kraju w 68 lat po pierwszym wydaniu i w 38 lat po wznowieniu paryskim w tomie „Eseje dla Kassandry" (1961).

Stempowski nigdy nie mówi o sztuce jako o zjawisku samowystarczalnym, izolowanym i niezależnym od odbiorców. Jednym z ulubionych pojęć eseisty jest „delektacja artystyczna". Określenia tego, gdy pisze o sztuce, używa bodaj częściej niż słowa „twórczość", słowa „talent" nie używa prawie nigdy. Jerzy Stempowski nie pyta, skąd się biorą poematy, obrazy, inscenizacje teatralne. Rozważanie sztuki jako ekspresji geniuszu, analizę psychologicznych tajników tworzenia, tropienie intencji artysty i tym podobne problemy uważał eseista za zadania po prostu jałowe. Dla Stempowskiego sztuka jest przede wszystkim zjawiskiem społecznym. Dzieło nie rozbrzmiewa w jakiejś głuchej pustce, lecz jest swoistym komunikatem adresowanym przez twórcę do wybranego audytorium. Stempowskiego interesuje najbardziej owo spotkanie dzieła z odbiorcami, obserwuje zarówno zachowanie się samego utworu, jak i reakcję audytorium.

Perspektywa taka, dziś coraz bardziej oczywista, w latach trzydziestych była bardzo rzadka. Przyjęcie jej pozwala należycie rozpoznać i ocenić rolę sztuki w społeczeństwie, po-

nieważ dopiero teraz możemy wsłuchać się w dialog, jaki dzieło prowadzi ze swoimi odbiorcami. Podkreślmy: utwór, a nie autor. Dopóki w centrum zainteresowania stał artysta, względnie biograficzna lub historyczna geneza jego dzieła, dopóty niemożliwe było postawienie pytania, w jaki sposób sztuka oddziałuje na odbiorców, jak zmieniają się gusty i preferencje publiczności, na czym polega ciągłość kultury, dlaczego pewne dzieła zyskują sobie odbiorców w kolejnych pokoleniach, nie tylko zaspokajają wciąż nowe potrzeby, lecz i stawiają swym czytelnikom, widzom, słuchaczom wciąż nowe pytania.

Kiedy Stempowski mówi o delektacji artystycznej, ma właśnie na myśli oddziaływanie sztuki na ludzi, odpowiadanie przez nią na ich rozmaite potrzeby. Podkreśla jednak przy tym, że nie chodzi mu o naukową czy teoretyczną refleksję, lecz o stosunek do sztuki spontaniczny, nie wykluczający jednak gromadzenia doświadczeń i refleksji nad nimi. O relacjach między dziełem a publicznością i o funkcji krytyki artystycznej mówi Stempowski w eseju „Pełnomocnictwa recenzenta".

Myślę więc, że idąc tropem wyznaczonym przez samego Stempowskiego, mamy prawo zapytać, jak dziś czytamy i rozumiemy jego szkice i eseje o teatrze, powstałe co najmniej kilkadziesiąt lat temu.

W jednym z tekstów eseista powiada, że „teatr jest jednym z najważniejszych czynników mogących udostępnić współczesnym kontakt ze spadkiem kulturalnym po wiekach poprzednich". Teatr bowiem sam jest sztuką i korzysta z tekstów o wielkiej często randze literackiej, stanowiących „najbardziej żywą i sugestywną część przeszłości". Co więcej, gromadząc wokół siebie talenty artystyczne, nie tylko aktorskie, staje się środowiskiem żywym i intensywnie oddziałującym. Takich możliwości nie posiadają ani szkoły i uniwersytety, ani instytucje państwowe powołane do opieki nad dziedzictwem kulturalnym. Teatr posiada również wyselekcjonowany i przystosowany do czasów obecnych repertuar klasyczny. Wszystko to sprawia, że właśnie teatr może najskuteczniej przeciwstawić się antyhistoryzmowi, obojętności czy nawet pogardzie dla przeszłości i tradycji. Stempowski pisał to w latach trzydziestych, ale wydaje mi się, że właśnie dzisiaj zdania te brzmią aktualnie. Eseista kreśli bowiem nie tylko

program dla teatru polskiego, lecz również dla sztuki narodowej, której jest on częścią. Sztuka, nie mogąca żyć bez tradycji, jest jej naturalnym sprzymierzeńcem. Awangarda ponawiała w XX wieku próby odcięcia sztuki współczesnej od przeszłości, ale skończyło się to dla niej samej fatalnie. Sztuka jest więc dla Stempowskiego jedynym w swoim rodzaju i najsprawniejszym medium umożliwiającym porozumiewanie się pokoleń i epok. Po okresie wielkich wstrząsów historycznych – powiada eseista – społeczeństwa pragną stabilizacji. Przybliżyć ją może na pewno odkrycie wspólnego spadku kulturalnego po przodkach i nauka myślenia historycznego. Oczywiście ani teatr, ani sztuka nie są w stanie bez pomocy mecenatu państwowego temu zadaniu podołać. „Polityka inwestycyjna państwa nowożytnego – pisze z ironią Stempowski – robi jego obywateli przymusowymi posiadaczami dróg, kanałów, instalacji [...], z których większość z nich nigdy nie będzie korzystać, złożony system gospodarki współczesnej każe opłacać koszty utrzymania fabryk osobom, które nigdy nie zobaczą wytwarzanych w nich towarów. Zbiorowe odkrycie i posiadanie przez naród swej przeszłości jest, być może, też warte kosztów i trudów". Słowa te kierował Stempowski do rządzących II Rzeczpospolitą. Myślę, że warto, by nad zdaniem eseisty zastanowili się również politycy, którzy dziś Polską rządzą.

Lekceważący stosunek Stempowskiego do awangardy lat sześćdziesiątych wiąże się bez wątpienia z jego koncepcją społecznej roli teatru. Pisarz nigdy nie cenił sztuki awangardowej. Błyskotliwą interpretację paradoksalnych związków awangardy początku wieku z wielką burżuazją znajdziemy w eseju „Chimera jako zwierzę pociągowe". O ile jednak pierwsi awangardziści budzili jego zainteresowanie, niekiedy życzliwe – lubił wspominać, że był na pierwszych wieczorach dadaistów w ich zuryskiej piwnicy, znał Tristana Tzarę i Hugona Balla – o tyle dla kolejnego pokolenia awangardy miał tylko politowanie. Jasno określał różnicę między nimi: dadaiści i futuryści nieśli ryzyko swego buntu, ich epigoni korzystają w latach sześćdziesiątych z immunitetu artystów lewicowych, rewolucyjnych, gotowi oskarżyć o reakcyjność każdego, kto ośmieli się zakwestionować wartość ich poczynań. Korzystają śmiało z państwowych dotacji i subwencji, wspierani przez

krytykę. W jednym z „Notatników nieśpiesznego przechodnia" Stempowski opisał spektakl amerykańskiego teatru alternatywnego Living Theatre. Recenzent odrzuca nową konwencję z powodów zasadniczych, kwestionuje ona bowiem koncepcję teatru, lecz i koncepcję człowieka, wpisaną w naszą cywilizację. Living Theatre „daje swym adeptom możność zostania niczym, zmycia swej codziennej osobowości, nie zastępując jej niczym innym". Aktorzy rezygnują z dialogu, kwestie zostały zredukowane do lakonicznych komunikatów, mających jeszcze uwydatnić depersonalizację. W spektaklu próżno szukać głębi, transcendencji, sensu, syntezy. Nie zamierza zresztą widza zainteresować, odrzuca fabułę, jest ostentacyjnie nudny. Dziś na podstawie recenzji Stempowskiego możemy stwierdzić, że obejrzał on dzieło postmodernistyczne. Autor nie używa, naturalnie, tego pojęcia, bo w roku 1967 nie było ono jeszcze w powszechnym obiegu, ale nie przeszkadza mu to wnikliwie analizować samo zjawisko. Zwłaszcza jedno spostrzeżenie wydaje mi się szczególnie trafne, bo opisujące ważną cechę ruchu, który miał się dopiero rozwinąć. „Czy po tylu amputacjach w Living Theatre pozostało jeszcze coś z teatru po prostu? – pyta Stempowski. – Pozostał budynek i zamieszkujący go od tysiącleci *genius loci*. Kto bowiem zgodziłby się patrzeć przez pół godziny na sześciu facetów, ucierających sobie nos papierem klozetowym, gdyby nie pokazywano ich w teatrze za drogie pieniądze". Postmodernizm ma naturę pasożytniczą. Czerpie pełnymi garściami z zastanej kultury, ale za nic nie bierze odpowiedzialności. Postawa ta jest całkowicie sprzeczna z wizją teatru i sztuki, w jaką wierzył Stempowski.

Andrzej Stanisław KOWALCZYK

Wielka Niedźwiedzica... a sprawa polska, czyli spór o historię

Najnowsza powieść Jerzego Limona* (zdumiewa jak ten „człowiek akcji", tak czynny na tylu polach aktywności, wśród których niemałą część jego energii zużywa prezesowanie Fundacji Theatrum Gedanensis, znajduje czas na pisanie powieści) zatytułowana jest: „Koncert Wielkiej Niedźwiedzicy: kantata na jedną ulicę, siedem gwiazd i dwa głosy". Już sam tytuł intrygująco wymyślny, przywołuje skojarzenia z kompozycją muzyczną; jest nią w tym dziele harmonia sfer niebieskich, wygrywana przez Kallisto – Wielką Niedźwiedzicę na „boskiej harfie, której struny porusza oddech aniołów i galaktyczny wiatr", a zatem coś odwiecznego, niepodległego regułom czasowym. Co innego sprawy ludzkie, zawieszone i rozpięte w czasie i jemu podległe: to domena Historii, a ta jest zasadniczym przedmiotem opowieści Limona. Historię ilustrują dzieje jednej ulicy w Sopocie, gdzie pół wieku temu przyszedł na świat autor/narrator tej opowieści (rozpisanej na 'dwa głosy'). Ulica nosiła wówczas na planie miasta nazwę ulicy Bieruta, ale wcześniej znana była jako Wilhelmstrasse, jeszcze dawniej Wiesenstrasse, obecnie Haffnera. Ta sama ulica, a u jej wylotu niezmiennie od zarania dziejów świeci konstelacja Wielkiej Niedźwiedzicy. W dzieje tej ulicy, niczym szczególnym się skądinąd nie wyróżniającej, wpisał autor pajęczą sieć opowieści, od osobistych i rodzinnych, po tzw. środowiskowe i polityczne, wszystkie osadzone na Wybrzeżu i czasowo pokrywające się z grubsza z dziejami PRL.

A zatem jeszcze jedna próba „archeologii miejsca" i „archeologii pamięci", którą już od wielu lat tak gorliwie uprawiają pisarze „szkoły gdańskiej", jak Paweł Huelle i Stefan Chwin. W dodatku, jak już możemy się domyślić, nie jest to historia pomnikowa (choć o pomnikach sporo w tej książce!),

* Jerzy Limon, „Koncert Wielkiej Niedźwiedzicy", Wyd. Twój Styl, Warszawa 1999.

ale historia niejako zachodzona od tyłu, podejrzliwie weryfikowana w reakcji na przymusową amnezję czy celowe zafałszowywanie (któremu ulegała w okresie PRL), i ciągle na nowo odkrywana na własny, prywatny użytek. Ten proces reklamacji wspierany jest osobistą wrażliwością na cudem ocalałe fizyczne ślady przeszłości, strzępy informacji przeróżnej proweniencji, wspomnienia rodzinne i osobiste. Ten wyczulony sens na znaki przeszłości, pomijane przez innych jako niedostatecznie ważne, nieuchronnie prowadzi umiejącego je czytać, do kwestionowania na każdym kroku, „oficjalnej wersji" historii. Historia jest poddawana bezustannej rewizji, w przekonaniu, że nie istnieje jedna „powszechnie obowiązująca" wersja, lecz, że jest ona dla każdego z nas inna i że to „ta nasza prywatna, by nie rzec – intymna, jednostkowa historia jest właśnie najważniejsza" (str. 21); nawet wtedy, dopowiada autor, kiedy jest niezgodna z „faktami".

Więc tak naprawdę jest ta książka przede wszystkim esejem historiozoficznym, medytacją na temat natury i sensu historii, która, nie zapominajmy, jeszcze do niedawna przecież uważana była za domenę literatury i filozofii (autor chciałby ją tym dyscyplinom powtórnie przywrócić). Czymże jest zatem, wedle Jerzego Limona?

W odpowiedzi na to pytanie nie da się, odpowiada autor, uniknąć niepewności i dwuznaczności; wszystko jest grą perspektyw. „Wielka Niedźwiedzica" dotyczy historii współczesnej, ostatniego półwiecza XX wieku, przeżytej przez autora, któremu towarzyszy stale świadomość *la longue durée* dziejów, głębszej perspektywy historycznej, w jaką każda przeszłość, nawet ta osobista, jednostkowa, jest wtopiona jak owad w bursztyn. Wielokrotne zmiany nazw tego skrawka ziemi, który stał się najintymniejszą ojczyzną autora, w Sopocie nad Bałtykiem, są żywą ilustracją jego zasadniczej tezy, jaką jest rozumienie dziejów jako palimpsestu, a więc tekstu, który nieustannie podlega przeróbkom w odpowiedzi na potrzebę chwili. Tekstu pisanego przez tych, którzy chcą utwalić swoją wersję zdarzeń. *Dzieje człowieka to w dużej mierze walka o pamięć, historia stawianych i burzonych pomników. Spisywanie i wymazywanie dziejów. Zapis pamięci i jej kasowanie. Pisanie i skrobanie. Palimpsest,* (9). *Historia służy każdemu, zwycięzcom i przegranym. Pomaga wymazać pamięć albo ją zachować. Bo w gruncie rzeczy wojny toczą się o pamięć. Każdego dnia w sytuacjach konfliktowych gdzieś na świecie zapisy pamięci są wymazywane, fizycznie niszczone. Pali się całe biblioteki i archiwa, burzy pomniki, zrywa pamiątkowe tablice, zmienia nazwy państw, krain, miast i ulic. Zabija tych, którzy pamiętają. Na tym polegają czystki etniczne. Ogniem oczyszcza się pamięć, by zrobić miejsce dla nowego tekstu historii.* (15)

Tak więc i książka Limona jest próbą interpretacji, odczytania sensu historii, jej ukrytej semiotyki. Posługuje się w tym celu narzędziem przez zawodowych historyków rzadko używanym: czysto filologiczną analizą nazewnictwa, nie tylko zresztą topograficznego. Nazwy – zwłaszcza w rejonach pogranicznych, kresowych, wielokulturowych – są wymownym świadectwem, że ten, kto ma monopol na słowo, kontroluje rzeczywistość. Tak więc historia opowiadana w tej książce, to historia, której etapy upamiętniają kolejne redakcje nazw miejscowych, retusze napisów na pomnikach, a także... znaczki pocztowe (ta ostatnia, filatelistyczna historia PRL, składa się na osobne, fascynujące ujęcie, jakiego na pewno nie powstydziłby się semiotyk Eco!).

Po 1989 r. na Wybrzeżu, jak gdzie indziej, dokonano następnej „korekty dziejów". *Ponownie wymazywano jedną wersję historii, a na oczyszczone miejsca wpisywano drugą. Powstał kolejny palimpsest dziejów* (340)... *Po zawirowaniach historii w mijającym, okrutnym stuleciu, po wszystkich zmianach właściwie tylko numer mojego domu pozostał ten sam (...) Jednak nie mogę się przyzwyczaić do nowej nazwy i chociaż wiem od historyków dzisiaj piszących, że Bierut był również agentem NKWD, to dla mnie właśnie ulica Bieruta pozostanie częścią mojego dzieciństwa i młodości, mojej prywatnej, bardzo indywidualnej historii, zapisanej w mojej – jakże subiektywnej i wybiórczej – pamięci.* (342)

Myślę że wielu ludzi w Polsce podziela ten sentyment, co niektórym na Zachodzie trudno zrozumieć. To właśnie dlatego, że widzą historię tylko w jej wymiarze politycznym, gubiąc z oczu ten osobisty, subiektywny aspekt dziejów. Dobrze, że Jerzy Limon, w tej tak osobistej książce, upomniał się o to.

Szkole gdańskiej przybył nowy oryginalny talent. Gdańsk stał się dziś, jeśli wolno mi użyć modnego powiedzenia młodych Anglosasów, *the hottest address* na współczesnej scenie literackiej w Polsce.

Teresa HALIKOWSKA-SMITH

Nadesłane nowości wydawnicze

ANDRUCHOWYCZ (Jurij). *Moscoviada*. Powieść grozy. Przekład Przemysław Tomanek. Str. 194. Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2000.

ANDRZEJEWSKI (Bogumił). *Podróż do krajów legendarnych*. Str. 207. Oficyna Wydawnicza „Agawa", Warszawa 2000

BARAN (Zbigniew). *Apokalipsa i nadzieja*. Portrety współczesne. Str. 159. C&D International Editors, Kraków 2000.

BARAŃSKI (Marek L.). *Piecyk na niebie*. Str. 65. Polskie Towarzystwo Czytelnicze. Oddział przy Wojewódzkiej Bibliotece Publicznej w Olsztynie, 2000.

BEN-JOSEPH (Marc). *Adversities of Autonomy*. Bank Krajowy Królestwa Galicyi i Lodomeryi and the Politics of Credit in Galicia 1870-1913. Str. 128. Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 1999.

BOUVIER (Nicolas). *Dziennik z wysp Aran i z innych miejsc*. Kartki z podróży. Przełożyła z franc. Krystyna Arustowicz. Str. 129. Noir sur Blanc, Warszawa 2000.

Ciekawość nieba, ciekawość ziemi. Ze Stanisławą Grabską rozmawia Irena Stopierzyńska. Str. 134. Biblioteka „Więzi", Warszawa 2000.

CZARNIAWSKI (Henryk). *Wilno – czas wojny i „repatriacji"* (wspomnienia z lat: 1938-1947). Str. 75. Towarzystwo Miłośników Wilna i Ziemi Wileńskiej, Bydgoszcz 2000.

CZYKWIN (Elżbieta). *Białoruska mniejszość narodowa jako grupa stygmatyzowana*. Str. 360. Wydawnictwo Uniwersyteckie TRANS HUMANA, Białystok 2000.

DANILEWICZ ZIELIŃSKA (Maria). *Biurko Konopnickiej*. Wstęp, opracowanie i przypisy Wacław Lewandowski. Str. 196. OPEN, Warszawa 2000.

DANILEWICZ ZIELIŃSKA (Maria). *Szkice o literaturze emigracyjnej półwiecza 1939-1989*. Wydanie drugie rozszerzone. Str. 460. Zakład Narodowy im. Ossolińskich – Wydawnictwo, Wrocław 1999.

DASZKOWSKI (Eugeniusz A.). *W pogoni za żywym srebrem*. Str. 142. Wydawnictwo Promocyjne „Albatros", Szczecin 1999.

DEBELJAK (Aleš). *Miasto i dziecko*. Przełożyła Katarina Šalamun-Biedrzycka. Str. 65. Wyd. Zielona Sowa, Kraków 2000.

DRABAREK (Anna). *O poznawaniu dobra moralnego*. Różne rozumienie intuicji w etyce polskiej. Str. 295. Wydawnictwo UMCS, Lublin 1999.

DUNIN-WĄSOWICZ (Krzysztof). *Francuzi w Polsce*. Podróże do kraju pod zaborami. Str. 104. Wyd. Lampa i Iskra Boża, Warszawa 2000.

ELZENBERG (Henryk). *Pisma estetyczne*. Opracował oraz wstępem opatrzył Lesław Hostyński. Str. 281. Wydawnictwo UMCS, Lublin 1999.

Ernst Jünger w publicystyce i literaturze polskiej lat 1930-1998. Antologia tekstów. Wybór i opracowanie Wojciech Kunicki, Krzysztof Polechoński. Str. 219. Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego, Wrocław 1999.

FOKS (Darek). *Pizza weselna*. Str. 98. Wyd. Zielona Sowa, Kraków 2000.

GOZDERA (Władysława). *Echo emigracji*. Str. 66. Wyd. Trzecia Droga, Forest Hills 1999.

GOZDERA (Władysława). *Wymiar życia*. Str. 33. Wyd. Trzecia Droga, Forest Hills 2000.

GRZELA (Remigiusz). *Rozum spokorniał*. Rozmowy z twórcami kultury. Str. 211. INTERLIBRO, Warszawa 2000.

IGNATOWSKI (Grzegorz) ks. *Kościół i synagoga*. O dialogu chrześcijańsko-żydowskim z nadzieją. Przemowa ks. Michał Czajkowski. Str. 159. Biblioteka Więzi, Warszawa 2000.

IRZYKOWSKI (Karol). *Pisma rozproszone*. Tom 2 : 1923-1931. Pod redakcją Andrzeja Lama. Str. 710. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1999.

JACQ (Christian). *Nefer Milczek*. Przełożył Zygmunt Burakowski. Str. 309. Noir sur Blanc, Warszawa 2000.

JAKOWENKO (Natalia). *Historia Ukrainy*. Od czasów najdawniejszych do końca XVIII wieku. Str. 397. Instytut Europy Środkowo-Wschodniej, Lublin 2000.

Kalendarz ekumeniczny 2000. Ośrodek Brama Grodzka, Teatr NN, Lublin 2000.

KĘPIŃSKI (Piotr). *Cudne historie*. Str. 52. Wyd. Zielona Sowa, Kraków 1999.

KONARSKA-ŁOSIOWA (Krystyna). *Niepokorność*. Słowo wstępne Jacek Łukasiewicz. Biblioteka Więzi, Warszawa 2000.

KONDEK (Stanisław Adam). *Papierowa rewolucja*. Oficjalny obieg książek w Polsce w latach 1948-1955. Str. 232. Biblioteka Narodowa, Warszawa 1999.

KOŚCIAŁKOWSKA (Janina). *Bih me!* Wstęp, opracowanie i przypisy Wacław Lewandowski. Str. 211. OPEN, Warszawa 2000.

KUNICKI (Wojciech), POLECHOŃSKI (Krzysztof). *Ernst Jünger w publicystyce i literaturze polskiej lat 1930-1999*. Studium recepcyjne. Bibliografia. Str. 557. Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego, Wrocław 1999.

KURCZAB-REDLICH (Krystyna). *Pandrioszka*. Str. 285. Wydawnictwo Książkowe Twój Styl, Warszawa 2000.

LEDÓCHOWSKI (Mieczysław). *W służbie Kościołowi w Polsce 1980-1989*. Przedmowa ks. kard. Józefa Glempa Prymasa Polski. Str. 107. LUMEN, Leszno koło Błonia, 1998

LUXEMBOURG (Éli). *La Dixième Famine*. Przekład z rosyjskiego Erwin Spatz. Str. 348. Les Éditions Noir sur Blanc, Montricher 2000.

ŁUBKOWSKI (Stanisław). *Poezja obywatelska*. Str. 70. Wydanie autorskie 1999.

MICKIEWICZ (Adam). *Pan Tadeusz*. Str. 358. Wydawnictwo CIBET, Wydawnictwo Dolnośląskie, Warszawa-Wrocław 1999.

Mickiewicz par lui-même. Publié sous la direction de Maria Delaperriere. Str. 288. Institut d'Études Slaves, Paris 2000.

MIŁOSZ (Czesław). *Człowiek wśród skorpionów*. Studium o Stanisławie Brzozowskim. Str. 220. Wydawnictwo Znak, Kraków 2000.

POLSKA I WSCHODNI SĄSIEDZI

17.03.
W Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza w Warszawie została otwarta wystawa „Zbigniew Herbert – epilog burzy".

24.03.
W Białoruskiej Bibliotece Narodowej w Mińsku miała miejsce prezentacja przekładu „Dziadów" Adama Mickiewicza na język białoruski dokonany przez młodego poetę Sirżuka Minskiewicza.

28.03.
Prof. Włodzimierz Pawluczuk z Krakowa wygłosił dla studentów Europejskiego Uniwersytetu Humanistycznego w Mińsku cykl wykładów „Etos i cywilizacja".

29.03.
Nakładem białoruskiego czasopisma *Fragmenty* w Mińsku ukazał się przekład „Zniewolonego umysłu" Czesława Miłosza („Skuty rozum") z przedmową autora. ■ Na Wydziale Prawa Białoruskiego Uniwersytetu Państwowego odbyła się konferencja „Podstawy konstytucyjne państwa prawa" z udziałem pracowników naukowych Instytutu Administracji i Prawa Publicznego Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie, prof. Leszka Leszczyńskiego, prof. Tadeusza Bojarskiego oraz dr Jacka Sobczaka.

2.04.
W Centrum Sztuki i Techniki Japońskiej w Krakowie odbyła się promocja autobiografii Andrzeja Wajdy „Kino i reszta Świata". Spotkanie z udziałem autora i Tomasza Fijałkowskiego, redaktora książki, prowadził Tadeusz Lubelski.

3.04.
W Polskim PEN-Clubie w Warszawie Tomas Venclova wygłosił odczyt „Teraz przemawia sama cisza. O Annie Achmatowej".

9.04.
Prezydent Aleksander Kwaśniewski wręczył odznaczenia za wybitne zasługi dla kultury polskiej i za osiągnięcia artystyczne członkom Fundacji Kultury Polskiej. Fundacja Kultury Polskiej założona w 1987 r. jest niezależną organizacją pozarządową. Jej celem jest wspieranie i promocja kultury oraz ochrona dziedzictwa narodowego. Przewodniczącą Rady Fundacji jest obecnie p. Beata Tyszkiewicz, a prezesem Zarządu Rafał Skąpski.

27.04.
We Wrocławiu zmarł w wieku 60 lat Lothar Herbst, poeta, krytyk literacki, tłumacz literatury z obszarów języka niemieckiego, działacz społeczny. Wspomnienie o nim *Kultura* zamieści w następnym numerze.

25.05.
Z inicjatywy Instytutu Studiów Ukraińsko-Polskich w Kijowie i Biblioteki Narodowej Ukrainy został zorganizowany ukraińsko-polski okrągły stół – „Rola *Kultury* paryskiej w kształtowaniu ukraińsko-polskiego wzajemnego zrozumienia". Jednocześnie będzie miała miejsce wystawa wydawnictw *Kultury* w Bibliotece Narodowej Ukrainy.

ZACHÓD

26.01.
Fundacja Domu Stowarzyszenia Studentów i Absolwentów Polskich we Francji wobec niedostatecznej zbiórki pieniędzy na ten cel, podjęła decyzję rozwiązania Fundacji i przekazania całkowitej zebranej kwoty 134 tys. franków Towarzystwu Historyczno-Literackiemu w Paryżu.

20.02.
Z końcem czerwca br. Polska Sekcja Głosu Ameryki przestanie nadawać na falach radiowych. Taki sam los spotka Sekcję Czeską, Litewską, Węgierską, Łotewską oraz Słoweńską. Mniejsze redukcje personelu ogłoszono w Sekcji Rumuńskiej i Bułgarskiej, ale także te sekcje przestaną nadawać na falach radiowych i wszystkie one będą swoje programy umieszczały w Internecie.

22.02.
Zmarł w Argentynie w wieku 93 lat płk Aleksander Florkowski.

14.03.
Instytut Polski w Rzymie we współpracy z Instytutem Polskim w Paryżu zorganizował wystawę prac Jana Lebensteina z okresu 1956-1993.

22.03.
W Instytucie Polskim w Sztokholmie miała miejsce prezentacja ostatniej książki Ryszarda Kapuścińskiego „Ebenholtz" w przekładzie Andersa Bodegarda. Tłumaczył on też m.in. poezje Wisławy Szymborskiej.

28.03.
Zmarł w wieku 77 lat Adam Bruno Ulam, profesor Uniwersytetu Harwardzkiego. Wspomnienie o nim prof. Richarda Pipesa ukaże się w lipcowym numerze *Kultury*.

4.04.
Irina Iłowajska-Giorgi Alberti, redaktor tygodnika *Russkaja Mysl* w Paryżu, zmarła nagle we Frankfurcie.

18.04.
W Bibliotece Polskiej w Paryżu staraniem Towarzystwa Historyczno-Literackiego miał miejsce odczyt prof. Tadeusza Wyrwy pt. „Koncepcja krakowskiej szkoły historycznej odmitologizowania dziejów Polski".

19.04.
W Instytucie Stosunków Międzynarodowych (IFRI) odbyła się konferencja na temat „Trójkąt weimarski i europejskie ambicje Ukrainy" zorganizowana przez Deutsche Gesellschaft für Auswärtige Politik (Berlin), Fondation Körber (Niemcy) Ministerstwa Spraw Zagranicznych Francji i Polski. Konferencja składała się z czterech sesji: „Kontury przyszłej Unii Europejskiej", „Ukraina wobec Europy", „Jakie mogą być inne wybory dla Ukrainy", „Jaka polityka gospodarcza dla Ukrainy". Ze strony polskiej w konferencji wzięli udział prof. Jerzy Kłoczowski, ambasador RP w Kijowie Jerzy Bahr, b. minister Finansów RP Jerzy Osiatyński oraz Andrzej Ananicz, sekretarz stanu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych.

22.04.
W Centre Tchèque w Paryżu był zorganizowany wieczór poświęcony Tomaszowi Masarykowi, pierwszemu prezydentowi czechosłowackiemu, w 150. rocznicę jego urodzin.

28.04.
Stowarzyszenie Polskie w Genewie zorganizowało wieczór p. Aleksandry Viatteau, która mówiła o swojej książce „Staline assassine la Pologne 1939-1947", która ukazała się w Édition du Seuil w Paryżu.

18.05.
W Stacji Naukowej PAN w Paryżu prof. Dariusz Kołodziejczyk z Uniwersytetu Warszawskiego wygłosił odczyt „La Res Publica Polono-Lituanienne était-elle le vassal de l'Empire Ottoman".

Listy do Redakcji

LIST OTWARTY

Do Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego Pana Kazimierza Michała Ujazdowskiego

W dwudziestym piątym roku swojego istnienia kwartalnik społeczno-kulturalny *Regiony* znalazł się w sytuacji krytycznej. Wydawca, Fundacja Kultury Wsi, nie dysponuje odpowiednimi środkami, by samodzielnie utrzymać pismo. Tymczasem *Regionów* zabrakło na liście tytułów dotowanych przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Zwracamy się do Pana Ministra z prośbą o przywrócenie tej dotacji.

***Regiony* są pismem wyjątkowym w polskiej i europejskiej skali. Wychodząc z przeświadczenia, że jedną z najbogatszych dziedzin kultury polskiej jest kultura chłopska, że nierozpoznane dotąd w pełni jej dziedzictwo jest wielką szansą na utwierdzenie tożsamości kultury narodowej, remedium na bezpostaciowość komercyjnej odmiany kultury masowej, pismo to od ćwierćwiecza prowadzi pionierskie prace, mozolnie wyszukując, gromadząc i publikując zabytki piśmiennicze z obszaru polskiej kultury chłopskiej i pokrewnych (ukraińskiej, białoruskiej, żydowskiej) – listy, supliki, testamenty, kroniki, pamiętniki, różnorakie zapisy o wielkiej wartości dokumentalnej i artystycznej. Publikacje *Regionów* składają się na prawdziwą złotą księgę piśmiennictwa chłopskiego. Z tych „odzyskanych źródeł" obficie czerpią poeci, prozaicy i eseiści, których dokonania w istotny sposób dopełniają stan posiadania polskiej literatury.**

Tradycyjna kultura chłopska ulega procesowi gwałtownej erozji; jej ostatnie rękopiśmienne świadectwa podlegają również szybkiemu zniszczeniu. Przerwanie prac jedynej placówki, która temu przeciwdziała, będzie szkodą dla kultury ogólnonarodowej, szkodą nie do naprawienia.

Wisława SZYMBORSKA, Zygmunt KUBIAK, Marek NOWAKOWSKI, Wiesław MYŚLIWSKI, Andrzej MENCWEL, Wacław OSZAJCA, Jerzy PIETRKIEWICZ, Aleksander ZIEMNY, Zbigniew ŻAKIEWICZ, Jerzy GIEDROYC

LIST DO PREZYDENTA MIASTA WARSZAWY

Warszawa, dnia 21 marca 2000 r.

Szanowny Panie Prezydencie

Zarząd Stowarzyszenia Warszawa–Kijów oraz Zarząd Towarzystwa Wolnej Wszechnicy Polskiej Oddział Warszawski protestują przeciwko lekceważącej wypowiedzi radnej, p. Edyty Złotkowskiej, na posiedzeniu Komisji Rady m. Warszawy, o największym poecie Ukrainy i jednym z największych wieszczów Słowiańszczyzny – Tarasie Szewczence, przy okazji propozycji nadania jego imieniem jednej z ulic Warszawy.

Niestety, p. Złotkowska jest w dziedzinie literatury europejskiej niedokształcona i jako radna kompromituje naszą Stolicę. Ponadto T. Szewczenko bawił w Warszawie w pierwszej połowie XX wieku, był emocjonalnie związany z wielkimi poetami romantyzmu polskiego oraz był przyjacielem wielu Polaków, dzieląc z nimi tragiczne losy: katorgę i deportacje carsko-rosyjskie, zakazy pisania (!) i publikowania ich twórczych prac i i obrazów. A był Szewczenko również wybitnym malarzem, podobnie jak u nas Stanisław Wyspiański.

Wypowiedź p. Złotkowskiej obraża zarówno Ukraińców jak i Polaków oraz podważa wspólną ideę porozumienia polsko-ukraińskiego, podobnie zresztą jak brak w Warszawie ulicy Tarasa Szewczenki.

Pozwalamy sobie przypomnieć, iż nasze Towarzystwa wystąpiły już 9 sierpnia 1996 r. do Komisji Nazewnictwa m. Warszawy o nadanie wybranym ulicom Stolicy nazwisk: Tarasa Szewczenki, Maksyma Rylskiego (kongenialnego tłumacza „Pana Tadeusza" na język ukraiński) oraz Symona Petlury. Wniosek nasz był pozytywnie rozpatrzony w październiku 1998 r. i podobno skierowany do Banku Nazw. Jak dotąd bez rezultatu, mimo naszych przypomnień i próśb do odpowiedzialnych urzędników.

Prezes Stowarzyszenia Warszawa–Kijów
prof. dr hab. Zbigniew T. WIERZBICKI

●

Szanowni Państwo, 4 marca 2000

Powodem, dla którego postanowiłem napisać, jest refleksja nad losem polskiej inteligencji w kraju. Wśród najważniejszych problemów wymieniłbym:

1. rażący spadek rzeczywistego poziomu wykształcenia; Liczba studentów i szkół „wyższych" nie jest tego najlepszym wykładnikiem ze względu na lawinowe tworzenie nowych wydziałów na uczelniach państwowych, prywatnych uczelni wyższych, których głównym celem jest sukces komercyjny;

2. brak właściwych form kształcenia podyplomowego;

Najlepszym tego przykładem jest fatalne rozporządzenie w sprawie specjalizacji lekarzy (Dz.U. 99;31,302), które drastycznie ogranicza możliwość kształcenia tej grupy zawodowej, mimo, że jest ono przepisem wykonawczym dla ustawy o zawodzie lekarza nakładającej obowiązek doskonalenia zawodowego (Dz. U. 97; 28, 152);

3. niski poziom polskojęzycznych wydawnictw fachowych;

4. uprzywilejowana pozycja pewnych kierunków nauki kosztem innych (moda na wybrane dziedziny);

5. spadek zainteresowania badaniami naukowymi na rzecz różnych form działalności gospodarczej wśród pracowników uczelni;

6. negatywna selekcja pracowników nauki i wiążący się z tym brak wzorców osobowych dla młodzieży studenckiej;

7. niesprawiedliwe traktowanie przez przepisy fiskalne osób zatrudnionych na umowę o pracę. Powoduje to, że każdy absolwent wyższej uczelni bez pokątnie otwartej działalności gospodarczej może odliczyć sobie jedynie po 285 zł na przyrządy i pomoce naukowe i odpłatne doskonalenie zawodowe, co przy obecnych cenach podręczników, komputerów, konferencji i kursów doskonalących wydaje się kwotą śmiesznie małą.

Intrygującym zjawiskiem jest jednak fakt, że po osiągnięciu władzy reprezentanci inteligencji nie robią nic, aby naukę – jedną z najpiękniejszych dziedzin ludzkiej działalności – usytuować na właściwym miejscu w życiu społecznym kraju. Takie instytucje jak izby lekarskie, Komitet Badań Naukowych, Polska Akademia Nauk nie wykazują w tym względzie właściwej aktywności. Mamy rosnącą liczbę osób z wyższym wykształceniem, co wydaje się być marnym sukcesem wobec faktu, że większość absolwentów uczelni wyższych podejmuje pracę nie w zawodzie wyuczonym. Słowem uzyskane na studiach kwalifikacje nie są w ogóle wykorzystywane, a pod względem kwalifikacji wymaganych na konkretnych stanowiskach absolwenci szkół wyższych nie przewyższają osób ze średnim wykształceniem. Podobnie jest w innych formach działalności tej grupy społecznej. Inteligencja polska chociaż coraz bardziej liczna to wydaje się więc być niezdolna do odegrania istotnej roli w życiu społecznym. Ilość kosztem jakości (nawiasem mówiąc jest to zjawisko ogólnospołeczne i o olbrzymiej skali).

Zwracam się więc do Państwa z prośbą i zachętą, aby na łamach *Kultury* umieścić dogłębną analizę poświęconą polskiej inteligencji. Nie czuję się kompetentny wypowiadać w kwestiach ogólnych – znana jest mi głównie problematyka lekarska, a poza tym zbyt płytkie są moje doświadczenia (medycynę ukończyłem w 1996 r.). Rzeczywistość budzi jednak niepokój, ale i wiele pytań.

Łączę wyrazy szacunku

Przemysław ZDZIARSKI

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Czytelników nadsyłających nam swoje artykuły i utwory prosimy o pamiętanie, że Redakcja nie zwraca rękopisów nie zamówionych. Wobec nawału pracy odpowiadać będziemy tylko w niniejszej rubryce.

Piotr G., Polska: – **Pańskie wiersze, choć są bez wątpienia wyrazem troski o los Kraju, do poezji trudno zaliczyć. A swoją drogą, niech się Pan zastanowi nad tym, czy przyszłością Polski jest izolacja od całego świata, czy może jednak jakaś forma współżycia ze światem jest możliwa. Ubolewanie nad tym, że z „Polski od morza do morza" została tylko połowa, nie jest już nawet śmieszne, jest głupie.**

Marcin N., Polska: – **Wiersze Philippe'a Jaccotteta wydają się interesujące, wszakże właściwsze byłoby zaproponowanie ich publikacji np.** ***Literaturze na świecie.***

Eruk O., Polska: – **Pisze Pan: „Oto rafa, o którą rozbija się świadomość", po czym słowem na temat tej rafy Pan nie wspomina. Budzi Pan zainteresowanie, lecz to za mało – przydałaby się tym wierszom większa dyscyplina intelektualna.**

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Commission Paritaire N° 60789.
Dépôt légal: 2ème trimestre 2000.

Akredytowany korespondent *Kultury* w Rosji:
Mariusz Wilk, Primorskaja 15, Archangelskoj obł.,
164409 SOŁOWKI

Skład komputerowy: MacWire Diffusion.

Imprimé en France.

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi par 78600 Maisons-Laffitte – Telefon 01-39-62-19-04
Fax: 01-39-62-57-52
e-mail: kultura@club-internet.fr

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata 1/2-roczna	Prenumerata roczna
	Ceny na rok 2000		
AFRYKA POŁUDNIOWA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
ARGENTYNA: «Libreria Polaca», Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
AUSTRALIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
AUSTRIA: Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: (1) 52-63-114	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
DANIA: W. Luterek (adres w Szwecji). Konto w BG-Bank A/S nr1-687-7179	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji «Kultury» i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
HOLANDIA: **Barbara Malak-Minkiewicz**, Reguliersgracht 46/II, 1017 LS Amsterdam. Tel.: (20) 62-61-623	Fl h 20,00	Fl h 110,00	Fl h 210,00
IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., P.O.B. 29443, 61239 Tel-Aviv. Tel. i fax: (3) 5606311	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5. Tel.: (450) 465-2362; **Księgarnia Polska w Ottawie, Andrzej Lifsches,** 512 Rideau Street, Ottawa, ON K1N 5Z6, tel.: (613) 789-8260,fax: (613) 789-1051; **Z. Micherdziński,** 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8, tel.: 545-2115	$ can.13,00	$ can.75,00	$ can.140,00
NIEMCY: Kubon & Sagner, Buchexport-Import, Hessstr. 39/41, D 80328 München, tel.: (089) 54-21-80; **Księgarnia Wawel,** Stephanstr. 11, 5000 Köln, 1, tel.: 0221/24-61-60	DM 17,00	DM 100,00	DM 185,00
NORWEGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
SZWAJCARIA: Krystyna Wasung, 27, rue de la Fontenette, 1227 Carouge/GE. Tel.: 343-05-84	F.S. 15,00	F.S. 90,00	F.S. 160,00
SZWECJA: Wojciech Luterek, Regnstigen 14-6 Tr., 169-60 SOLNA. Tel. (08) 83-13-33.	Sk 85,00	Skr 450,00	Skr. 850,00
U.S.A.: Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; **St. Kwiatkowski,** 4749 W. 11 St., Cleveland OH, 44109, tel.: (216) 351-8219; **POLONIA Bookstore,** 4738N Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60630, tel. (773) 481-6968; **Księgarnia Ludowa,** Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; **Szwede Slavic Books**, 2233, El Camino Real, Palo Alto, CA 94306-1541. Tel. (650) 327-5590 & (650) 851-0748; **Księgarnia «Nowego Dziennika»**, 333, West 38th Street, New York, N.Y., 10018, tel.: (212) 594-2266	$ US 11,00	$ US 60,00	$ US 116,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (171) 370-2210	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
WŁOCHY: Elżbieta Zahorska, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: (06) 77-20-15-58	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00

W krajach nie wymienionych prenumerata roczna – F. 600; półroczna – F. 320.
***Przesyłka* pojedynczego numeru – F. 6,00.**

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.
INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE – C.C.P. 18-228-56 W020 (*z Francji*)
lub C.C.P. 18-228-38 B020 (*z zagranicy*)

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

Tom 498

ANNA SUPRUNIUK – MIROSŁAW A. SUPRUNIUK

BIBLIOGRAFIA

„KULTURA" (1988-1996)

„ZESZYTY HISTORYCZNE" (1988-1996)

DZIAŁALNOŚĆ WYDAWNICZA (1988-1996)

Str. 464 **Cena F. 200,00**

●

Tom 510 – ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT
STO TRZYDZIESTY PIERWSZY

zawiera opracowania: A. Grzywacz, M. Kwiecień: ***Rada Narodowa Rzeczypospolitej Polskiej w walce z sanatorami 1939-41;*** **J. W. Solecki:** ***Sen o spadochronach;*** **G. Mazur:** ***Rozmowy polsko-ukraińskie w Rumunii 1940 r.;*** **D. Rogoyski:** ***List Domana Rogoyskiego do Władysława Poboga-Malinowskiego z 31.03.45;*** **M. K. Dziewanowski:** ***Jak szkolono oficerów kawalerii w Polsce przedwojennej;*** **T. Mianowicz:** ***Ku pokrzepieniu umysłów;*** **Cz. Karkowski:** ***„Holender";*** **T. Wyrwa:** ***Przewrotna działalność gen. Tatara;*** **Z.S. Siemaszko:** ***Polacy i Żydzi w ujęciu Sarnera;*** **A.F. Baran:** ***W stulecie urodzin Adama Bienia;*** **Z. Ponarski:** ***Za kulisami wielkiej polityki;*** **J. Szymański:** ***Polsko-ukraiński batalion sił pokojowych ONZ; Postępowa Organizacja Polska POP;*** **Krzysztof Muszkowski:** ***Angielski parasol;*** **A. Tyszkiewicz:** ***Nieznane listy Henryka Sienkiewicza do Adama Stefana Sapiehy;*** **oraz obszerny dział LISTÓW DO REDAKCJI.**

Str. 240 **Cena F. 90,00**

Cena 55 F

I.N., 93400 St-Ouen – 5412 - 2000